

SASCHA  
ARANGO

WYRAFINOWANA INTRYGA I JĘZYKOWA ELEGANCJA  
NA MIARĘ POWIEŚCI PATRICII HIGHSMITH.

Prawda i inne  
kłamstwa



SASCHA  
ARANGO

# **Prawda i inne kłamstwa**

Z języka niemieckiego przełożył  
Dariusz Guzik





Być może wszystko, co straszne, jest w istocie bezbronne  
i oczekuje od nas pomocy.

R.M. RILKE

Fatalnie. Rzut oka na zdjęcie wystarczył, by niejasne przeczucia minionych miesięcy przybrały rzeczywisty kształt. Embrion był poskręcany jak jakiś płaz, jedno z oczu patrzyło wprost na niego. Czy to noga, czy może macka wyrastająca z nad smoczego ogona?

W życiu niewiele jest chwil niezachwianej pewności. W tym jednak momencie Henry spojrział w przyszłość. Ten płaz urośnie, stanie się osobą. Otrzyma prawa, będzie rościł sobie pretensje, będzie zadawał pytania, aż kiedyś wreszcie dowie się wszystkiego, by stać się człowiekiem.

Na zdjęciu USG wielkości pocztówki na prawo od embrionu widniała skala szarości, z lewej litery, u góry zaś data, nazwisko matki oraz lekarki. Henry nie miał najmniejszych wątpliwości, że było autentyczne.

Betty, paląc papierosa, siedziała za kierownicą samochodu. Dostrzegła w jego oczach łzy, dotknęła dłonią jego policzka. Sądziła, że to łzy radości. On jednak był myślami przy swojej żonie Marcie. Dlaczego nie mogła mieć z nim dziecka? Dlaczego musi teraz siedzieć w samochodzie z inną kobietą?

Gardził sobą, czuł wstyd, było mu naprawdę przykro. Życie ofiaruje ci wszystko – przyjął za swoją dewizę – lecz nigdy wszystko naraz.

Było po południu. Od strony klifu dobiegał monotony szum kipieli, podmuchy wiatru uginały źdźbła traw i napierały na boczne szyby zielonego subaru. Wystarczyło uruchomić silnik i wdepnąć pedał gazu, a samochód runie z klifu i pograży się w otchłani. Pięć sekund i będzie po wszystkim, uderzenie uśmierci całą trójkę. Żeby tak się stało, Henry musiałby się jednak podnieść z siedzenia pasażera i zamienić z Betty miejscami. Za dużo zachodu.

– I co powiesz?

A co miałby powiedzieć? Sprawa tak czy owak przedstawiała się kiepsko. Ten stwór w jej macicy pewnie już się rusza, a Henry się nauczył, że lepiej nie wyjawiać czegoś, co winno zostać przemilczane.

W ciągu minionych lat Betty tylko raz widziała, jak płacze, wówczas gdy Smith College w Massachusetts nadał mu tytuł doktora honoris causa. Aż do tamtej chwili nie sądziła, że kiedykolwiek ujrzy w jego oczach łzy. Henry siedział milcząco w pierwszym rzędzie i rozmyślał o żonie.

Betty nachyliła się nad dźwignią zmiany biegów i objęła go. Bez słowa każde wsłuchiwało się w oddech drugiego, potem Henry otworzył drzwi i zwymiotował na trawę. Zobaczył lasagne, które przyrządził dla Marthy na obiad. Przypominały embrionalną maź z grudkami ciasta cielistej barwy. Na ich widok zakrztusił się i zaczął gwałtownie kasłać.

Zdjęła buty, wyskoczyła z samochodu, wyciągnęła Henry'ego z wnętrza, objęła go ramionami na wysokości klatki piersiowej i silnie je zacisnęła, aż lasagne popłynęły mu przez dziurki w nosie. Nadzwyczajne, że Betty bez zastanowienia czyniła to, co należało. Oboje stali w trawie obok subaru, a wiatr unosił wokół płatki morskiej piany.

– A teraz mów. Co zrobimy?

Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: Kochanie, to nie może się dobrze skończyć. Odpowiedź taka ma jednak konsekwencje. Zmieni bieg rzeczy lub sprawi, że zupełnie znikną. Żal także stanie się daremny. A kto chciałby zmienić coś, co jest dobre i wygodne?

– Pojadę do domu i opowiem o wszystkim mojej żonie.

– Naprawdę?

Henry dostrzegł zdumienie malujące się na twarzy Betty, sam także był zaskoczony. Czemu tak

powiedział? Nie był skłonny do przesady. *Opowiedzieć o wszystkim* – to nie było konieczne.

– Co masz na myśli mówiąc: *wszystko*?

– Wszystko. Po prostu wyznam jej wszystko. Dość już kłamstw.

– A jeśli ci wybaczy?

– Jak mogłaby mi wybaczyć?

– A dziecko?

– To dziewczynka, mam nadzieję.

Betty uściskała go i pocałowała w usta.

– Henry, potrafisz być wspaniały.

Owszem, potrafił być wspaniały. Wróci teraz do domu i prawdą zastąpi kłamstwo. Wreszcie opowie o wszystkim, bezwzględnie, nie pomijając żadnego okropnego szczegółu, no, może niezupełnie, ograniczy się do tego co najistotniejsze. Będzie jednak musiał sięgnąć głęboko, poleją się łzy, sprawi tym, również sobie, dotkliwy ból. Wyznanie to będzie oznaczać kres zaufania i harmonii łączących go dotąd z Martha – zarazem jednak stanie się aktem uwolnienia. Nie będzie już dłużej nikczemnym łotrem, nie będzie się musiał tak potwornie wstydić. Tak trzeba. Najpierw prawda, potem piękno, a wszystko jakoś się ułoży.

Objął szczupłą Betty w talii. W trawie leżał kamień, wystarczająco duży i ciężki, by zadać nim śmiertelny cios. Musiałby się tylko schylić, by go podnieść.

– Chodź, wsiadaj.

Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik. Zamiast ruszyć do przodu, w stronę klifu, wrzucił wsteczny bieg i powoli wycofał. Ogromny błąd, jak potem przyzna.

\*\*\*

Ledwie widoczna wąska dróżka wyłożona ażurowymi betonowymi płytami wiła się przez gęsty sosnowy zagajnik od klifu aż do leśnej drogi, gdzie osłonięty przez nisko zwisające gałęzie stał jego samochód. Betty opuściła korbką boczną szybę, zapaliła kolejnego mentolowego papierosa, zaciągnęła się dymem.

– Chyba nic sobie nie robi, prawda?

– Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Jak zareaguje? Powiesz jej, że to ja nią jestem?

„*Że niby kim jesteś?*” – chciał zapytać.

– Powiem, jeśli mnie o to zapyta – odparł.

Oczywiście, że Martha o to zapyta. Każdy, kto się dowiaduje, że jest systematycznie zdradzany, chce wiedzieć dlaczego, jak długo i z kim. To normalne. Zdrada to zagadka, którą pragniemy rozwikłać.

Betty położyła dłoń z tłącym się papierosem na udzie Henry’ego.

– Skarbie, przecież uważaliśmy. To znaczy, oboje nie chcieliśmy dziecka, prawda?

Jej słowa nie mogłyby się spotkać z gorętszą i żywszą aprobatą Henry’ego. Nie, nie chciał mieć dziecka, a już na pewno nie z Betty. Była jego kochanką, nigdy nie będzie dobrą matką, zupełnie nie miała do tego serca, była zbyt zajęta sobą. Mając z nim dziecko, zyskałaby nad nim władzę, zerwałaby jego kamuflaż i wywierałaby na niego presję aż po najdalsze tego konsekwencje. Już od dawna rozważał, czy nie poddać się sterylizacji, coś go jednak przed tym powstrzymywało. Może było to pragnienie, by jednak mieć dziecko – z Martha.

– Widocznie tak miało być – odpowiedział.

Betty się uśmiechnęła, jej wargi drżały. Henry trącił właściwą strunę.

– Sądzę, że to będzie dziewczynka.

Wysiedli, znów zamienili się miejscami. Betty usiadła za kierownicą, włożyła jeden but, machinalnie wcisnęła sprzęgło i zaczęła poruszać dźwignią zmiany biegów.

„Wcale się nie ucieszył” – pomyślała. Czy jednak nie wymagała zbyt wiele od mężczyzny, który postanowił właśnie zerwać z dotychczasowym życiem i zakończyć swe małżeństwo? Mimo długoletniego romansu Betty niewiele o nim wiedziała, jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: Henry nie był człowiekiem rodzinnym.

„Nie może się doczekać – przemknęło mu przez myśl. – Ona nie może się doczekać chwili, gdy wszystko dla niej rzucę”. Nie miał jednak zamiaru zamienić swego beztroskiego odosobnienia na życie rodzinne, do którego nie był stworzony. Po wielkiej spowiedzi u swej żony będzie musiał stworzyć sobie nową tożsamość. Sporo wysiłku będzie go kosztować wymyślenie innego Henry’ego, Henry’ego oddanego wyłącznie Betty. Sama myśl o tym go nużyła.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Rzuć palenie – przytaknął Henry.

Betty zaciągnęła się dymem, po czym wyrzuciła papierosa.

– To będzie straszne.

– Owszem. To będzie straszne. Zadzwoń do ciebie, gdy już będzie po wszystkim.

Wrzuciła bieg.

– Jak ci idzie praca nad powieścią?

– Niedługo skończę.

Nachylił się ku niej przez otwarte drzwi.

– Czy komukolwiek o nas mówiłaś?

– Absolutnie nikomu – odparła.

– To moje dziecko, prawda? To znaczy: *to pewne*, że się urodzi?

– Tak. To twoje dziecko. Na pewno się urodzi.

Podsunęła mu lekko rozchylone usta do pocałunku. Niechętnie się nachylił, jej język wniknął do jego ust niby gruba, pozbawiona gwintu śruba. Henry zamknął drzwi subaru. Ruszyła leśną drogą w kierunku szosy. Wiódł za nią wzrokiem, aż zupełnie zniknęła mu z oczu. Rozdeptał wciąż tłącego się w trawie, na wpół niedopalonego papierosa. Wierzył jej. Betty by go nie okłamała, brakowało jej wyobraźni. Była młoda i wysportowana, urodziwa i znacznie bardziej elegancka niż Martha, może niezbyt rozsądna, lecz niezmiernie praktyczna. A teraz zaszła z nim w ciążę, test na ojcostwo wydawał się zbyt skuteczny.

Chłodny pragmatyzm Betty zaimponował Henry’emu już przy pierwszym spotkaniu. Brała to, co jej się spodobało. Była osobą pełną polotu, miała wąskie stopy, piegi na pomarańczokształtnych piersiach, zielone oczy i kręcone blond włosy. Tamtego dnia włożyła sukienkę z nadrukowanymi wizerunkami zagrożonych gatunków zwierząt.

Ich romans rozgorzał podczas pierwszego spotkania. Henry nie musiał się wysilać, udawać kogoś innego, zabiegać o jej względy, nie musiał – jakże często – w ogóle nic robić, ona bowiem uważała go za geniusza. Zupełnie jej nie przeszkadzało, że był żonaty i nie chciał mieć dzieci. Wręcz przeciwnie. Wszystko było jedynie kwestią czasu. Długo czekała na kogoś takiego jak on, otwarcie to przyznawała. Jej zdaniem większości mężczyzn brakuje wielkości. Nie raczyła jednak wyjaśnić, co przez to rozumie.

Tymczasem Betty została redaktorką naczelną w domu wydawniczym Moreany. Zaczynała od pracy w dziale dystrybucji książek, choć uważała, że posiada po temu zbyt wysokie kwalifikacje, bo ukończyła studia literaturoznawcze. SeminaRIA w większości ją nudziły, żałowała, że nie posłuchała rodziców i nie podjęła studiów prawniczych. Mimo wysokich kwalifikacji możliwości awansu w wydawnictwie okazały się ograniczone. W czasie przerw obiadowych zakradała się do biur

redaktorów, by czytać rękopisy. Pewnego dnia z zakurzonego stosu nadesłanych, choć niezamówionych manuskryptów wyciągnęła dla zabicia nudy napisany na maszynie tekst Henry'ego i zabrała go z sobą do stołówki. Henry nadał go bez słowa komentarza jako przesyłkę książkową, by zaoszczędzić na opłacie pocztowej. W tamtym czasie mu się nie przelewało.

Betty przeczytała jakieś trzydzieści stron, zapominając całkiem o jedzeniu. Następnie pognęła na trzecie piętro do biura założyciela wydawnictwa Clausa Moreany'ego i wyrwała go z południowej drzemki. Cztery godziny później Moreany osobiście zadzwonił do Henry'ego.

– Dzień dobry, nazywam się Claus Moreany.

– Naprawdę? Mój Boże.

– Napisał pan coś cudownego. Coś naprawdę precudownego. Czy sprzedał pan już prawa?

Nie sprzedał. Pierwsza powieść, *Frank Ellis*, rozeszła się po całym świecie w nakładzie dziesięciu milionów egzemplarzy. Thriller, jak to się ładnie mówi, z mnóstwem przemocy i niewielką dawką pokrzepienia. Była to historia pewnego autyka, który zostaje policjantem, by dopaść mordercę swojej siostry. Pierwsze sto tysięcy egzemplarzy sprzedano w ciągu zaledwie miesiąca – i pewnie też przeczytano. Zyski uchroniły wydawnictwo przed bankructwem. Osiem lat później Henry był już bestsellerowym autorem tłumaczonym na dwadzieścia języków, laureatem licznych nagród i diabli wiedzą czego jeszcze. W wydawnictwie Moreany ukazało się pięć jego bestsellerowych powieści, wszystkie doczekały się ekranizacji, adaptacji scenicznych, a tekst *Franka Ellisa* wykorzystywano nawet w szkolnych programach nauczania. Stał się niemal klasyką. A Henry wciąż był żonaty z Martha.

Prócz Henry'ego jedynie Martha wiedziała, że nie napisał ani jednego słowa tych powieści.



## II

Henry często się zastanawiał, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby nie poznał Marthy. Odpowiedź, jakiej sam sobie udzielał, pozostawała niezmienna – jak dotąd. Nie stałby się kimś wybitnym, nie mógłby zatem żyć w dobrobycie i wolności, z całą pewnością nie jeździłby włoskim sportowym samochodem, nikt też nie znałby jego nazwiska. Henry nie miał co do tego wątpliwości. Pozostałby niewidzialny – to sztuka sama w sobie. Walka o przetrwanie jest oczywiście emocjonująca, dopiero niedostatek czyni rzeczy drogocennymi, pieniądze tracą swą wartość, kiedy ma się ich w nadmiarze. To wszystko prawda. Czyż jednak zniechęcenie i obojętność nie są możliwym do zaakceptowania trybutem za życie w dostatku i luksusie, znacznie lepszym niż głód, cierpienie i nadpsute zęby? Nie trzeba być sławnym, żeby być szczęśliwym, tym bardziej że popularność nazbyt często myłona jest ze znaczeniem. Niemniej od kiedy Henry wyszedł z mroku zwyczajności i stanął w blasku wyjątkowości, zaczął żyć nieporównanie bardziej komfortowo. Dlatego też od lat zajmował się wyłącznie utrzymywaniem status quo. Więcej nie mógł osiągnąć. W tej kwestii pozostawał realistą. Nawet jeśli oznaczało to okropną nudę.

Manuskrypt *Franka Ellisa* był jego odkryciem. Leżał pod cudzym łóżkiem, zawinięty w papier do pieczenia. Henry znalazł go, gdy z dojmującym bólem głowy szukał swojej lewej skarpety, chcąc ukradkiem, nie po raz pierwszy zresztą, wymknąć się z cudzego pokoju. Leżącej obok niego w łóżku kobiety nigdy przedtem nie spotkał, nie czuł też potrzeby, by ją poznać. Widział tylko jej stopę, kobiecą sylwetkę od doliny bioder aż po cienkie kasztanowobrazowe włosy. Dalej nie patrzył. Piec był zimny, pokój tonął w mroku, wokół unosiła się woń kurzu i nieświeżego oddechu. Najwyższy czas, by stąd czmychnąć.

Henry czuł potworne pragnienie, gdyż poprzedniej nocy wypił mnóstwo alkoholu. Była to noc jego trzydziestych szóstych urodzin. Nikt nie składał mu życzeń. Niby czemu, nikt przecież o nich nie wiedział. I kto miałby o nich pamiętać? Wędrując z miejsca na miejsce, nie zawiera się trwałych przyjaźni, a jego rodzice dawno już nie żyli.

Nie posiadał własnego mieszkania ani stałego dochodu, nie miał pojęcia, jak potoczą się jego dalsze losy. Bo i po co? Przyszłość jest niepewna, kto twierdzi, że ją zna, łże. Przeszłość to tylko wspomnienie, jest zatem czystym wymysłem – jedynie terażniejszość jest pewna, oferuje przestrzeń dla rozwoju – i zaraz też przemija. O wiele bardziej niż niepewność dręczyło Henry'ego wyobrażenie tego, co nieuniknione. Świadomość tego, co go czeka, przypominała wychylające się nad grobem wahadło. I cóż miałoby go spotkać prócz żalu, śmierci i rozkładu? Zgodnie z tym na wskroś realistycznym przekonaniem Henry zdefiniował swoje życie jako całościowy proces, który dopiero po jego śmierci winien zostać poddany osądowi historyków. A ktoś, kto nic po sobie nie zostawia, nie musi się obawiać ich wyroku.

*Milczenie jest wbrew naturze człowieka.* Zdanie to widniało na samym początku manuskryptu Marthy. Henry uznał, że sam mógłby je napisać. Było absolutnie trafne, a zarazem takie proste. Przeczytał następne zdanie, i jeszcze jedno, nie włożył już lewej skarpety, nie czmychnął z niewielkiego mieszkania, nie zabrał z sobą, jak to zazwyczaj robił, znalezionej gotówki czy innych kosztowności, by kupić sobie za nie coś do jedzenia.

Od pierwszego akapitu nie mógł się pozbyć wrażenia, że opisywana historia przypomina jego własne życie. Przeczytał manuskrypt w całości, starając się bezgłośnie przewracać kartki, by nie obudzić śpiącej obok, cicho pochrapującej nieznajomej. Na gęsto zapisanych stronach nie widać było

żadnych poprawek, nie dostrzegł też, na ile potrafił to ocenić, żadnych literówek czy choćby źle postawionego przecinka. Co pewien czas Henry przerywał lekturę, by przyjrzeć się dokładniej śpiącej kobiecie. Czy kiedyś już się spotkali? Czy opowiedział jej o sobie, a potem wyrzucił to z pamięci? Jak miała na imię? Czy w ogóle je wymieniła? Bądź co bądź nie mówiła zbyt wiele. Była niepozorna, drobnej budowy, miała długie rzęsy, osłaniające jej zamknięte teraz oczy.

Kiedy wczesnym popołudniem Martha się obudziła, Henry napalił już w piecu, rozwikłał zagadkę ciekących kranów, umocował zasłonę prysznicową, wysprzątał kuchnię i usmażył jajka sadzone. Naoliwił też stojącą na kuchennym stole niewielką maszynę do pisania i wyprostował nad płomieniem palnika zacinającą się dźwigienkę. Manuskrypt Marthy znów leżał zawinięty w papier pod łóżkiem. Usiadła przy stole i z wielkim apetytem zjadła sadzone jajka.

Zaproponował, by zamieszkali razem. Nie odezwała się słowem, uznał więc, że się zgadza.

Spędzili razem cały dzień. Opowiedziała mu, jak się zachowywał poprzedniej nocy, stwierdził jakoby, że jest człowiekiem zupełnie pozbawionym znaczenia. Henry przytaknął, nic więcej jednak nie pamiętał.

Po południu zjedli lody i włączyli się po ogrodzie botanicznym. Henry opowiedział co nieco o swoim dotychczasowym życiu. Mówił o dzieciństwie, które skończyło się tym, że matka zniknęła, a ojciec spadł ze schodów. O latach spędzonych w ukryciu nie wspomniał.

Martha ani razu mu nie przerwała, nie zadawała też żadnych pytań. Mocno trzymała go za rękę, gdy szli przez tropikalną szklarnię, a w którymś momencie wsparła głowę na jego ramieniu. Nigdy wcześniej Henry nikomu tyle o sobie nie opowiadał, a większość z tego była prawdą. Nie pominął żadnego istotnego szczegółu, nie koloryzował, niczego nie zmyślił. Szczęśliwe popołudnie w ogrodzie botanicznym, pierwsze z wielu szczęśliwych popołudni spędzonych z Martha.

Także następną noc przespali razem w łóżku Marthy, tuż obok pieca. Tym razem był czuły i trzeźwy, ostrożny, niemal nieśmiały. Ona milczała, jej oddech był gorący i szybki. Później, gdy zasnął twardym snem, Martha wstała i usiadła w kuchni przy maszynie do pisania. Henry'ego zbudził stukot uderzeń. Równomierny, przerywany na chwilę, kropka. Potem dźwięk dzwonka przy końcu wiersza. Kropka, nowy wiersz, kropka, akapit. Piskliwy grzechot, gdy wyciągała z maszyny zapisaną kartkę papieru, kilkukrotny krótki terkot przy nawijaniu nowego arkusza. „A więc w taki to sposób powstaje literatura” – przemknęło mu przez myśl. Stukot trwał przez całą noc, aż do świtu.

Następnie Henry naprawił łóżko. Potem zatroszczył się o gumową podkładkę pod maszynę do pisania, wystarał się o dwa nowe krzesła do kuchni oraz rozwiertł licznik prądu, by zaoszczędzić na kosztach ogrzewania. Uświadomił sobie przy tym, że nawet bez własnego kapitału można stworzyć sobie dom – był tego najlepszym przykładem.

Sprzątał, robił porządki, a Martha w ogóle nie oponowała. W zasadzie nie komentowała niczego. Henry podziwiał ją za to. Nie towarzyszyło mu przy tym uczucie, że to zwyczajny brak zainteresowania czy zupełna obojętność z jej strony, o nie, po prostu była zadowolona i nie miała mu nic do zarzucenia. Jakby wszystko to przewidziała.

Henry zauważył, że Martha nigdy nie czyta własnych powieści. Nie rozmawiała o nich, nie była z nich dumna. Kiedy skończyła pisać jedną, od razu rozpoczynała następną, była jak drzewo zrzucające jesienią liść za liściem. Kolejną historię musiała obmyślać już w trakcie pisania poprzedniej, pomiędzy jedną a drugą nie następowała bowiem żadna twórcza przerwa. Przez długi czas Henry nie miał pojęcia, z czego Martha się utrzymuje. Studiowała, nie zdradziła jednak, jaki kierunek. Miała chyba trochę oszczędności, rzadko jednak chodziła do banku. Kiedy nie miała w domu nic do jedzenia, po prostu nie jadła. Popołudniami regularnie wyruszała na pływalinię. Pewnego razu Henry poszedł za nią. Rzeczywiście, chodziła wyłącznie popływać.

W piwnicy Henry znalazł walizkę wypełnioną nadpleśniałymi manuskryptami, spiesznie ukrytymi niczym dziecięce zwłoki wśród szcurzych odchodów i kałuż wody. Kartki były posklejane w jedną wielką masę, dało się odczytać pojedyncze wyrazy. Utracone historie. Także manuskrypt *Franka Ellisa* pewnie by zgnił albo któregoś chłodnego dnia przemienił się w piecu w ulotne ciepło, gdyby Henry go nie ukrył. To jego zasługa. Uratował *Franka Ellisa*, choć go nie wymyślił, jak potem tłumaczył własnemu sumieniu. Przynajmniej tyle.

„Literatura mnie nie interesuje – wyznała Martha – chcę tylko pisać”. Henry zapamiętał to zdanie. Skąd Martha, zamknięta w tak hermetycznym świecie własnych przeżyć, czerpała pomysły do tworzenia tak dostojnych postaci, pozostawało dla niego zagadką. Niewiele podróżowała, a jednak znała cały świat. Gotował dla niej, rozmawiali, milczeli i sypiali z sobą. Ona wstawiała w nocy, by pisać, on wczesnym popołudniem przygotowywał posiłek, a potem czytał to, co stworzyła. Przechowywał każdą zapisaną stronicę, nigdy o nie nie pytał. I tak ich miłość wzrastała z bezgłośną naturalnością. Czerpali radość z tego, co wspólne, i oboje na tym zyskiwali. Henry miał wrażenie, że nie można być bardziej zadowolonym. Tylko od niego zależało, czy zniweczy tę harmonię.

Henry rozesłał podpisany swoim nazwiskiem manuskrypt *Franka Ellisa* jednocześnie do czterech wydawnictw, które wyszukał w branżowym katalogu. Przedtem jednak musiał Marcie solennie obiecać, iż pod żadnym pozorem nie zdradzi, kto jest jego autorem. Pozostanie to ich dożgonną tajemnicą, jeśliby cokolwiek miało się ukazać drukiem, to wyłącznie pod jego nazwiskiem. Henry przystał na to, złożył obietnicę. Na swój sposób dotrzymał słowa.

\*\*\*

Odpowiedź długo nie nadchodziła. Henry zdążył już zapomnieć, że wysłał manuskrypt; gdyby wiedział, jak mizerne są szanse sukcesu niezamówionego tekstu, oszczędziłby na kosztach przesyłki. Jakże często jednak ignorancja okazuje się prawdziwym błogosławieństwem.

Tymczasem Henry podjął pracę na targu warzywnym. Wstawiał o drugiej w nocy, wracał do domu około południa, potwornie zmęczony i przesiąknięty zapachem warzyw, by stanąć przy kuchence i ugotować coś dla Marthy.

Martha przedstawiła Henry’ego swoim rodzicom. Długo z tym zwlekała, Henry zrozumiał dlaczego, gdy poznał jej ojca. W trakcie rozmowy ojciec Marthy, emerytowany przedwcześnie strażak, siedząc w obłożonym welurem fotelu, przez cały czas taksował Henry’ego wzrokiem pełnym tłącej się złości. Reumatyzm wyniszczał mu stawy i doszczętnie pożarł już kciuk. Jej matka była kasjerką w supermarkecie, kobietą wesołej natury i czulej wrażliwości, matką, jakiej każdy by sobie życzył.

Wśród tapicerowanego krajobrazu pokoju dziennego popijano kawę z kardamonem i paplano o błahostkach. W stojącej na kredensie klatce Henry dostrzegł żółte ptaki czekające na śmierć. Dumą ojca była kolekcja historycznych hełmów strażackich, wystawiona w oświetlonej witrynie meblościanki. Opisał każdy egzemplarz, podając datę, pochodzenie i przeznaczenie, baczny wzrokiem doszukiwał się przy tym oznak znużenia i braku zainteresowania ze strony Henry’ego. Ten jednak zniósł wszystko ze stoickim spokojem, wtrącając nawet czasem ciekawe pytania.

Nadeszła mroźna zima. Henry postarał się o nowe drzwi, dwa fantastyczne koce elektryczne, uszczelnił też okna. Drzwi wypatrzył na składowisku drewnianych staroci. Podczas gwałtownej zamieci śnieżnej wdrapał się do kontenera i wyciągnął z niego ciężkie skrzydło, zarzucił je sobie na ramiona i niósł do domu na plecach niby mrówka dźwigająca na grzbiecie liść do mrowiska. Trochę je podheblował, spasował, dosztukował też kawałek u dołu. Dzięki temu chłód nie wdzierał się już do wnętrza. Martha była zachwycona. Manualne zdolności Henry’ego zawsze działały na kobiety podniecająco. Majsterkowanie oraz hobby przepędzają demony znużenia oraz złe myśli. Henry po prostu lubił reperować różne rzeczy, nie po to, by komuś zaimponować, lecz dlatego, że sprawiało mu

to przyjemność, a poza tym nie miał nic lepszego do roboty.

Następnej wiosny Henry uśmiercił swojego teścia. Podarował mu historyczny hełm wiedeńskiej straży pożarnej, notabene najstarszej zawodowej straży pożarnej na świecie. Radość i zaskoczenie starego kolekcjonera były tak wielkie, że pękł mu tętniak; mężczyzna padł martwy. Henry popełnił na tyranie morderstwo doskonałe, fachowo je wykonał, nieświadomie i w sposób niezamierzony. Dzięki temu nie dręczyły go wyrzuty sumienia, uznał, że to złośliwe naczynie krwionośne w mózgu równie dobrze mogło pęknąć podczas wypróżniania się. Wszyscy się cieszyli, nikt niczego złego nie podejrzewał.

Cała kolekcja hełmów zniknęła wraz z martwym strażakiem w ziemi. Matka Marthy odżyła, rozdała żółte ptaki, a pół roku później wyemigrowała razem z amerykańskim biznesmenem do Wisconsin, gdzie została trafiona przez piorun. Od tej pory pisała leworęcznie długie listy o swym nowym życiu w Ameryce.

A potem zadzwonił Moreany. Henry pojechał do wydawnictwa na rowerze. Gdyby przeczuwał, jak fatalny w skutkach obrót przybiorą sprawy, być może w ogóle by się tam nie wybrał.

W hallu czekała na niego Betty. Razem wsiedli do windy i wjechali na szóste piętro. Wnętrze windy wypełniła woń jej konwaliowych perfum. Zauważyła, że ma dłonie rzemieślnika, on zaś odkrył niewielką dziurkę w jej płatku małżowiny usznej, a na szyi ułożoną z uroczych piegów konstelację Wielkiego Wozu. W trakcie o wiele niestety za krótkiej jazdy w górę wyczuł, jak sekwencjonuje jego DNA. Kiedy otworzyły się drzwi, wszystko co istotne było między nimi wyjaśnione.

Moreany wyszedł mu naprzeciw zza biurka i dotykając oburącz, przywitał się z nim, jakby witał wyczekiwanego z utęsknieniem przyjaciela. Na biurku zalegały książki i manuskrypty. Na wierzchu leżał egzemplarz *Franka Ellisa*. Tak mniej więcej Henry wyobrażał sobie prawdziwego wydawcę.

Henry dotrzymał złożonej Marcie obietnicy i przedstawił się jako autor powieści. Było to, jak się okazało, całkiem proste. Nie musiał nic szczególnego mówić ani dowodzić, autor bowiem, jak wiadomo, nie potrafi nic poza pisaniem, a pisać potrafi każdy. Nie trzeba też nic specjalnego wiedzieć ani umieć, ani też mieć coś o sobie do powiedzenia, oprócz pewnego doświadczenia życiowego nie trzeba posiadać żadnego godnego wzmianki wykształcenia, nie trzeba przedkładać żadnego dyplomu. Pokazać trzeba wyłącznie tekst. Ostateczną ocenę pozostawia się krytykom i czytelnikom, im mniej autor mówi o własnym zajęciu, tym bardziej promienny otacza go nimb. Literatura go nie interesuje, wyjaśnił Henry, chce tylko pisać. Stwierdzenie to pasowało jak ulał.

Powieść sprzedawała się fantastycznie. Kiedy Henry otrzymał pierwsze pieniądze, przeprowadzili się z Marthą do większego, ciepłego mieszkania i pobrali. Wypłacano mu coraz większe sumy, całe góry pieniędzy. Nie wywołały one u Marthy odruchu zapamiętałego kupowania czy impulsu rozrzutności. Niewzruszona pisała dalej, gdy tymczasem Henry chadzał po sklepach. Kupował drogie garnitury oraz drogocenne chwile z pięknymi kobietami, nabył też włoski samochód. Moreany zapewnił Henry'emu udział w zyskach, które niczym złoty deszcz spłynęły na jego dom wydawniczy. Henry czuł się jak gangster, któremu udało się popełnić zbrodnię doskonałą, i zabrał Marthę swym maserati w podróż przez całą Europę aż do Portugalii. Zatrzymywali się w dobrych hotelach, poza tym niewiele się jednak zmieniło. Martha nadal pisywała nocą, Henry grywał w tenisa i troszczył się o wszystko. Robił sprawunki, wypisywał listy zakupów i uczył się gotować azjatyckie potrawy.

Każdego popołudnia czytał świeżo zapisane stronic. Nikt prócz niego nie widział na oczy ani linijki tekstu, zanim książka nie była w całości gotowa. Mówił tylko, czy się mu podoba czy nie. Zazwyczaj się podobało. W końcu osobiście zanosił ukończony manuskrypt do wydawnictwa. Betty i Moreany czytali go jednocześnie w wyłożonym drewnianą boazerią biurze, podczas gdy Henry leżał w sąsiednim pokoju na sofie i przeglądał *Iznoguda*, nawiasem mówiąc, najlepszy komiks na świecie.

W wydawnictwie całymi godzinami panowała absolutna cisza, aż oboje przeczytali manuskrypt do końca. Następnie Moreany wzywał do siebie kierownika działu sprzedaży. „Mamy książkę!” – wołał. Osiem tygodni później ogłaszano początek kampanii prasowej. Jedyne wybrani dziennikarze mogli w biurze Moreany’ego zobaczyć egzemplarz książki. Musieli przedtem podpisać klauzulę poufności, gdyż mieli co prawda głośno rozreklamować powieść w mediach, zarazem jednak zadrećzać opinię publiczną brakiem bliższych informacji.

Martha nigdy nie towarzyszyła Henry’emu przy okazji oficjalnych wystąpień. Na targi książki i wieczory autorskie jeździł razem z Betty. Wielu brało ją za jego żonę, nic zresztą dziwnego, gdyż wyglądali jak para idealna.

Wszędzie witano Henry’ego entuzjastycznie, przymilnie się doń uśmiechano, oprowadzano, gratulowano. Sam nie wyglądał przy tym na uszczęśliwionego, gdyż nie przepadał za bezpośrednim kontaktem z tłumem. To z kolei wzmagało tylko powszechny zachwyt nad jego skromnością, szczególnie wśród kobiet. Nieśmiałe niedopowiedzenia Henry’ego wynikały z czystej przezorności, nigdy bowiem nie zapominał, że nie jest pisarzem, lecz jedynie hochsztaplerem, żabą w skórze węża.

Poza tym z trudem zapamiętywał wszystkie owe uśmiechnięte twarze i nowe nazwiska. Gdzie tylko się zatrzymał, gromadziły się tłumy. Błyskały flesze aparatów, bezustannie pożerały go spojrzenia, wciąż pokazywano mu rzeczy, które go nie interesowały, albo objaśniano kwestie, których dobrze nie rozumiał. Udzielał krótkich wywiadów, rozmowy na temat stylu jego pracy odrzucał. Wzmagało się w nim poczucie oderwania od rzeczywistości, świat realny rozpływał się niczym akwarela w kroplach deszczu – najpierw jego kontury, później cała reszta. Martha go przed tym przestrzegala. Sukces to jedynie cień wędrujący za słońcem. „Któregoś dnia – myślał z obawą Henry – słońce zajdzie, a wówczas się przekonają, że ja nie istnieję”.

Od krytyków nauczył się, jak należy rozumieć jego dzieło. Wiedział, że powieści są dobre, bądź co bądź sam je odkrył. To jednak, *jak bardzo* były dobre i właściwie dlaczego, zaskoczyło go. Współczuł wielu biednym artystom, którzy zostali odkryci dopiero wtedy, gdy sześli z powodu obrzęku głodowego. Z ochotą przeczytałby Marcie kilka najbardziej entuzjastycznych opinii, ona jednak nie chciała o tym słyszeć. Pracowała już nad następną powieścią. Sława nie miała dla niej żadnego znaczenia. Z zasady nie czytała wcale recenzji, on natomiast czytał każdą, podkreślał linijką najpochlebniejsze fragmenty, wycinał je i wklejał. *Każde zdanie niczym twierdza*. To sformułowanie szczególnie sobie upodobał. Widniało na skrzydełku książki, wyróżnione tłustym drukiem, jego autorem był niejaki Peffenkofer, piszący dla dodatku literackiego jednego z dużych dzienników. „Sam mógłbym je wymyślić” – uznał Henry, było uroczo zwięzłe i trafne. A jednak nie on je ułożył. Nie był autorem ani jednego słowa.

### III

Śmierć poety na mokrej jezdni. Poślizg, krótkie spojrzenie wstecz na życie, potem wieczność. O tym rozmyślał Henry, wracając znad klifu do domu wzdłuż jaskrawożółtych pól rzepaku. Czy istniała bardziej tragiczna, a zarazem bardziej niesprawiedliwa śmierć niż ta zadana przez zimną dłoń przypadku? I jakże dlań odpowiednia. Camus doświadczył takiej śmierci, Randall Jarrell i Ödön von Horváth. Nie, najgorsza z nich to gałąź na Champs-Élysées.

Henry liczył sobie teraz lat czterdzieści cztery, opromieniało go słońce sukcesu, śmierć uczyniłaby go nieśmiertelnym, jego zaś sekret był u Marthy bezpieczny. Po jego śmierci będzie nadal pisać i pozwoli, by wszystkie jej manuskrypty zgniły w piwnicy. Świadomość ta bardzo go uspokajała, choć jak dotąd nie miał zamiaru umierać wcześniej niż jego żona. W tej jednak chwili tego właśnie zapragnął. Nic nie sprawiłoby mu większej trudności niż przyznanie się, że splodził dziecko z inną kobietą. I to akurat z Betty.

Henry ujrzał obie kobiety stojące nad jego grobem. Martha, utajone źródło jego sławy, tak drobna i nieprzenikniona, u boku Betty, istnej Wenus z piegami, matki jego dziecka. Miał nadzieję, że obie z sobą wytrzymają i nie będą prowadzić wojny, tak bardzo się przecież różniły. A pomiędzy nimi jego dziecko. Martha z miejsca odkryje w nim podobieństwo do Henry'ego. Czy potrafiłaby mu kiedykolwiek wybaczyć? Czy Betty miała zadatki na dobrą matkę? Raczej nie. Cóż go to jednak teraz obchodziło?! Nad jego grobem niejeden uroni łzę, niektórzy będą nawet cierpieć, inni serdecznie się cieszyć, najpiękniejsze będzie jednak to: on, Henry, nie będzie już musiał z nikim rozmawiać, niczego się wstydzić, nikogo udawać i niczego więcej obawiać. Cudownie.

Jezdnia była niestety sucha, żadnych drzew w pobliżu. Granatowe maserati Henry'ego naszpikowano wszelkimi możliwymi systemami bezpieczeństwa, posiadało ABS i ESP, i tak dalej, poduszka powietrzna zamortyzuje uderzenie, ładunek wybuchowy napnie pas bezpieczeństwa. Samochód nie pozwoli mu umrzeć – Henry ujrzał swe ciało leżące w półśnie, podłączone do płucoserca. Okropna perspektywa. Henry przyspieszył. Przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę na nic by się zdał najlepszy nawet system bezpieczeństwa, gdyby tylko rosło tu gdzieś drzewo.

Zadzwoił telefon. To Moreany. Henry zdjął nogę z gazu.

– Henry, gdzie jesteś?

– Na stronie numer trzysta.

– Och, to świetnie. To świetnie! – Miłe słowa Moreany lubił powtarzać dwukrotnie. Zupełnie bez potrzeby, uważał Henry.

– Mogę coś przeczytać?

– Wkrótce. Brakuje jeszcze jakichś dwudziestu stron.

– Dwudziestu? Ależ to fantastycznie, fantastycznie. Ile czasu jeszcze potrzebujesz?

– Dwadzieścia minut. – Moreany się roześmiał. – Dotrę tylko do domu i zaraz siadam do pracy.

– Posłuchaj, Henry, zdecydowałam, że zaczniemy od dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy.

Henry wiedział, że Moreany nie pożyczał pieniędzy w banku. Nie chciał. Zawsze inwestował cały swój osobisty majątek, by sfinansować druk oraz kampanię książek Henry'ego.

– Nie chcesz najpierw przeczytać, zanim znów zastawisz swój dom?

– Daję go w zastaw, kiedy mi się podoba, mój drogi, i dziś zrobię to chętniej niż kiedykolwiek. Wyobraź sobie, Peffenkofer poprosił mnie o przedpremierowy egzemplarz recenzencki. Poprosił mnie. I co ty na to?

Peffenkofer, autor sentencji *Każde zdanie niczym twierdza*, był wśród krytyków niczym magnes. Usuwał z literackiej produkcji wszelką miernotę i pozostawiał wyłącznie to, co dobre. Niewiele rzeczy mu imponowało, nic nie potrafiło zaskoczyć, wszystko zaś, co oryginalne, było mu już znane. Cokolwiek by jednak o nim sądzić, dostrzegał istotę rzeczy i odsłaniał jej piękno, pozwalając mu zajaśnieć pełnym blaskiem. Pracował w ukryciu, nikt nie miał pojęcia, jak wygląda ani czy może wciąż mieszka u matki.

– Każ mu poczekać, aż sam przeczytasz.

– Oczywiście! Masz już tytuł?

– Jeszcze nie.

– Coś wymyślimy. Powiedz, kiedy będę mógł przeczytać?

Henry dostrzegł na polu rzepaku sarnę. Jeszcze bardziej zwolnił.

– I znów dopiąłeś swego, Claus. Nie chciałeś wywierać na mnie presji. Być może się rozczarujesz.

– Zostaw to mnie.

Henry zatrzymał samochód na poboczu.

– Claus, jeszcze nie zdecydowałem, jak się zakończy ta historia.

– Jak dotąd zawsze wybierałeś właściwe zakończenie.

– Tym razem będzie to trudne.

– Rozmawiałeś o tym z Betty?

– Nie.

– Pomów z nią. Zadzwoń do niej. Spotkaj się z nią.

– Wszystko w swoim czasie, Claus.

– Jeszcze tylko dwadzieścia stron. Jestem zachwycony, zachwycony. Powiedzmy... połowa sierpnia?

– Dobrze, niech będzie połowa sierpnia.

\*\*\*

Dom Marthy i Henry'ego stał na wzniesieniu otoczonym trzydziestoma hektarami oddanych rolnikom w dzierżawę pól i łąk. Był to klasyczny dworek z muru pruskiego, do posiadłości należały też stodoły wzniesione na kamiennych fundamentach oraz własna kaplica. Posadzone symetrycznie po obu stronach drogi topole wytyczały prostą linię w kierunku domu. Zdziczałego ogrodu pełnego starych drzew nie ogradzał żaden płot, żadna tablica nie wzbraniała wstępu, na drzwiach nie wisiała żadna wywieszka z nazwiskiem. A mimo to wszyscy w okolicy wiedzieli, kto tu mieszka.

Czarny hovawart wybiegł Henry'emu naprzeciw, wywijając ekstatycznie w powietrzu. Radość Poncho, niezmacona znajomością ludzkiej natury, za każdym razem wzruszała Henry'ego. Maserati powoli wtoczyło się przed dom, koła cicho chrzęściły na kamieniach. Martha nie wróciła jeszcze z codziennej kąpieli w morzu, w przeciwnym bowiem razie jej składak stałby oparty o ścianę obok drzwi wejściowych, otwartych jak zawsze na oścież. Już prawie od roku wisiała w nich podarta moskitiera, rozerwana przez gnającego na oślepon Poncho. Henry często naprawiał rower Marthy i wciąż łątał opony. Choć w stodole stał jej saab, prawie w ogóle nim nie jeździła. Mogłaby kupić sobie samolot albo jacht, wystarczał jej jednak zwykły składak.

Henry pogładził kaszmirowo miękką sierść psa, dał mu do polizania grzbiet swojej dłoni, po czym wziął do ręki kamyk i rzucił nim daleko na łąkę. Obserwował, jak Poncho, wystrzelony niby z katapulty, zniknął wśród źdźbeł traw w poszukiwaniu zdobyczy. Prawdziwy szczęściarz, wystarczał mu zwykły kamyk.

„Skoro tylko Martha wróci do domu, wyznam jej wszystko” – postanowił Henry.

Na dębowym blacie kuchennej wyspy leżało sześć stron maszynopisu. Ułożone starannie obok siebie. Trzecia część rozdziału pięćdziesiątego czwartego. Martha skończyła go zeszłej nocy. Aż do

wczesnego rana słyszał stukot maszyny do pisania. Henry rzucił na blat kluczyki do samochodu, z drewnianej miski wziął marchewkę, ugryzł kawałek i zaczął czytać. Słowa Marthy następowały po sobie w klarownym i prostym porządku, każde dodatkowe byłoby zbyteczne, żadnego też nie można było odrzucić, nie niwecząc ich wewnętrznego rytmu. Rozdział płynnie łączył się z poprzednimi, opowieść zmierzała ku końcowi z tak niezachwianą pewnością, jakby nie została wymyślona, lecz rozwijała się samoistnie niczym roślina wyrastająca z nasienia. „To niepojęte” – pomyślał Henry. Skąd ona czerpie tę wiedzę, cóż to za głos do niej przemawia, skoro dla niego pozostaje niesłyszalny?

Po skończonej lekturze Henry otworzył wybrane listy od fanów, które każdego dnia przekazywano mu z wydawnictwa. Podpisał kilka egzemplarzy *Franka Ellisa*, w większości przesłanych mu przez kobiety. Niektóre z tych sygnowanych egzemplarzy pojawiały się później na eBayu, po zbyt wygórowanych zdaniem Henry’ego cenach. Niektóre kobiety dołączały swoje fotografie, zasuszone kwiaty, a nierzadko też odciski pocałunków. Wciąż też znajdował wklejone kosmyki włosów, a także propozycje małżeńskie, choć wszystkie media rozpowszechniły przecież informację, że jest żonaty.

Od czego powinien zacząć? Od najgorszego, od sprawy z dzieckiem. A może lepiej to jednak przemilczeć, nie mówić o wszystkim naraz? Z Betty łączyła go przecież nie tyle miłość, ile raczej cyklicznie powracające pragnienie, jakie ogarnia każdego mężczyznę, bez względu na obiekt jego pożądania. Jak długo to już trwa? Liczy się dzień pierwszego spotkania czy może wymiany płynów ustrojowych w położonym przy plaży motelu Morska Bryza? „Kiedy w ogóle do tego doszło?” – zapyta go Martha. Poprawna odpowiedź wymagała najściślejszej weryfikacji, Henry był jej to winien. Zabrał pocztę do swojego gabinetu, by sprawdzić w papierach, od jak dawna zdradza żonę. Jeśli miał mówić prawdę, niech będzie rzetelna.

Zanim to jednak zrobił, usiadł w swoim uszaku i zajął do „Gazety Sądowej”, niezmiernie pouczającego pisma poświęconego złu. Kto snuje plan morderstwa albo zajęty jest właśnie jego realizacją, powinien czytać literaturę fachową. Informuje ona o ryzyku zdemaskowania, uzależnionym od postępu techniki dochodzeniowej. Unaocznia zarazem i to, jak daremna jest walka z drzemiącym w człowieku złem, żadna bowiem metoda czy kara nie może się mierzyć z uwarunkowaną biologicznie żądzą mordowania, która jest nieodłącznym elementem naszej natury. Chciwość, pragnienie zemsty oraz głupota to, z perspektywy historyczno-kulturowej, naturalne przyczyny śmierci, nic innego jak faseta naszej *conditio humana*.

Henry obudził się w chwili, gdy w panoramicznych oknach podniosły się automatyczne żaluzje. Nastął już chyba wczesny wieczór. Wyznał wszystko Marcie. Bez ogródek, niczego nie pomijając, tak jak postanowił. Wybrał wersję nieczułą, by ułatwić żonie pożegnanie.

Posłuchaj, kochanie, zaczął, zostawiam cię, gdyż pożadam innej kobiety, a ciebie już ani trochę. Kobiety tej nie znoszę, lecz nie ma to teraz żadnego znaczenia. Kocham cię, lecz nie jesteś już dla mnie kimś obcym, dlatego nasza miłość to tylko przyjaźń. Zawsze nią była, nigdy nie potrafiłem tobą pogardzać na tyle, by ciebie pożądać – nie łączy nas już jakakolwiek ekscytacja, nigdy de facto nie łączyła. Poza tym ona jest młodsza i ładniejsza od ciebie. Znamy się już od dawna, ty także ją znasz. To Betty. Tak, właśnie Betty. Ona jest moim trofeum, moją muzą, moją niewolnicą, gardzę nią. Jesteśmy współsprawcami, moje niskie instynkty ją podniecają, ubóstwiam jej stopy i mam ci od niej przekazać, że jest jej przykro. Mnie również jest bardzo przykro. Proszę, nie zrozum mnie źle, żywię dla ciebie najczulsze uczucia. Wielbię cię niczym świętą, zawsze pragnąłem cię chronić. Tak też czyniłem, najlepiej jak potrafiłem, lecz zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Betty spodziewa się dziecka. Ty nie chciałaś mieć dzieci. Ja też nie chcę. Zupełnie sobie nie wyobrażam, bym miał wychowywać dziecko, wiesz przecież, jak bardzo działa mi na nerwy dziecięcy wrzask, a ono z pewnością będzie się bez przerwy wydzierać. Tak właśnie przedstawiają się sprawy. Dziękuję ci za wszystko, do końca życia



będzie mi z tym źle, przysięgam.

Martha cichym głosem wymówiła jego imię w chwili, gdy wspomniał o dziecku. A potem do wnętrza domu wtargnęło morze i porwało ją z sobą.

Henry wyprostował się na skórzanej sofie, jego prawa stopa nadal spała. Masował ją, aż krew znów napłynęła do palców. Wyrżał, wciąż oszołomiony, przez frontowe okna na pola. Morze zniknęło.

Pokuśtykał do kuchni zrobić sobie ristretto. To cholerne morze powinno było porwać *jego*, nie ją. Było mu naprawdę przykro z powodu słów, które powiedział Marcie, były one z gruntu fałszywe! Dlaczego nie mówił o respekcie i wdzięczności, o podziwieniu i miłości, jakie wobec niej żywił jak nikt inny w świecie! Lecz nie, on wyrwał jej serce niby jakiś chwast. Ona nigdy nie otrząśnie się z tego bólu, to pewne.

Stojąc na jednej nodze, czekał, aż woda w ekspresie się podgrzeje. Nie ulegało wątpliwości, że całą tę sprawę powinien był przedstawić w znacznie łagodniejszych słowach, a o dziecku w ogóle nie wspominać, wiadomość ta z łatwością mogła pozbawić ją rozumu. Skoro jednak miałby przemilczeć istnienie dziecka, po co w ogóle cokolwiek wyznawać? Czyż nie lepiej było zostawić wszystko po staremu? Im dłużej Henry nad tym rozmyślał, tym wyraźniej sobie uświadamiał, że powinien chronić swoją żonę, a całą prawdę wyznać Betty. Betty była bardziej odporna psychicznie, łatwiej by to zniosła niż Martha, mogłaby zacząć nowe życie, znaleźć sobie ojca dla swego dziecka. Była bowiem stworzona, by przetrwać.

Dostojne skrzywienie stopni z czereśniowego drewna towarzyszyło krokom Marthy schodzącej po schodach. Miała na sobie jedwabny strój domowy, japońskie słomkowe sandały, ciemne włosy upięła wysoko hebanową klamrą. Gdy go dostrzegła, spojrzała, jak zawsze, promiennym wzrokiem. Martha poruszała się niemal bezgłośnie, wciąż była subtelna i cicha. Przez ostatnie lata nie przytyła ani grama. Od dawna sypiali i pracowali oddzielnie. Ona na górze, on na dole. Nadal pisała wyłącznie nocami, odsypiała do popołudnia, on zaś o wszystko się troszczył. Mogliby zatrudnić służących, szoferów i ogrodników, lecz Martha nie zniosłaby wokół siebie nikogo prócz Henry'ego. Kiedy oglądał późnowieczorne wydanie wiadomości albo aż do świtu sklejał z zapalek ogromną platformę wiertniczą, słyszał, jak drepce w kółko po pokoju na piętrze. Szedł wtedy do kuchni i zaparzał herbatę rumiankową. Zanosił na górę dzbanek i stawiał go przed drzwiami. Czasem nasłuchiwał, lecz drzwi nie dotykał. Cicho wracał po schodach na dół. W którymś momencie rozległ się stukot maszyny do pisania. Tkwiący w niej demon rozpoczynał dyktowanie.

Henry nigdy nie widział swojej żony podczas pisania. Całkiem możliwe, że jej podbrzusze przemieniało się wtedy w marmur, a z włosów wylaniały się syczące węże. Nie odważył się tego sprawdzić.

- Henry, mamy na poddaszu kunę.
- Kogo?
- Kunę. Zostawia po sobie szare linie.
- Szare linie?
- Szare paski tworzące długie linie.
- Jak wiewiórki?
- Dłuższe i równoległe.

To rzeczywiście wskazywałoby na kunę. Gdy Martha zauważała krótkie szare pasy, chodziło zazwyczaj o małe gryzonie, jeśli jednak pasy były długie i równoległe, pozostawiło je z pewnością większe zwierzę.

Martha była od urodzenia synestetką. Każdy zapach, każdy odgłos wywoływał w niej wrażenie, że widzi kolory i wzory. Już w szkole, kiedy uczyła się pisać pierwsze litery, dostrzegała fotyzy my barwiące

całe słowa, zazwyczaj wedle odcienia początkowej litery. Uznała, że to normalne. Dopiero w wieku dziewięciu lat stwierdziła, że nie każdy człowiek zauważa cudowną emanację słów, a szkoda. Opowiedziała o tym matce, ta natychmiast zaprowadziła ją do lekarza. Medyk reprezentował starą szkołę, był daltonistą. Zapisał dziecku lekarstwa, które powodowały jedynie otyłość i ociężałość. Po zażyciu tabletek Martha dostała torsji i nigdy więcej nie wspominała o barwnych zjawach. Pozostały jej tajemnicą do chwili, gdy spotkała Henry'ego.

– Pójdiesz na górę i sprawdzisz?

„Skarbie, niestety, jestem deprymująco bezwartościowy – chciał wyznać Henry – wręcz ciębie niegodny. Zasłużyłem na śmierć, czemu nie możesz mnie od tego wybawić? Miejże litość i przejrzyj mnie wreszcie na wylot”.

– Co byś powiedziała, gdybyśmy zjedli dziś wieczorem rybę, hm?

– Henry, ja się boję tego zwierzęcia.

– Chodź do mnie, skarbie. – Objął ją, ucałował jej włosy. Martha wsparła głowę na jego piersi, chłonęła aromat jego skóry.

– Pachniesz dziś troszkę pomarańczami – stwierdziła. – Czy to coś poważnego?

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

Słowa nie chciały mu się precyzyjnie przez usta. Mruknął coś niezrozumiałego, zaśmiał się niepewnie. Kiedy się śmiał, Martha widziała wyskakujące z jego ust intensywnie błękitne spirale. Żaden inny mężczyzna na świecie nie śmiał się czystą ultramaryną z tańczącymi gwiazdzistymi plamkami.

Martha pocałowała Henry'ego w usta.

– Jeśli to kobieta, zachowaj to dla siebie. A teraz poszukajmy razem kuny, zgoda?

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą na górę. Henry ruszył za nią po schodach, uradowany. A więc wiedziała i wcale nie była zła. Jej wyrozumiałość dla jego słabostek szczególnie sobie cenił. Kiedy spotykał się z innymi kobietami, starał się to czynić z dyskrecją i taktem. Nierzadko było mu wstyd, niejednokrotnie przyrzekał sobie, że się zmieni. A jednak za każdym razem, gdy po takim skoku w bok wracał do domu, winę miał wymalowaną na twarzy. Martha prześwietlała wzrokiem jego nieczyste sumienie. Tylko w przypadku Betty dostrzegła poważne zagrożenie, nie bez racji, jak wiemy. Obie kobiety spotkały się jeden jedyny raz, na koktajl party w ogrodzie Moreany'ego.

Był nadzwyczaj łagodny wieczór, rozkwitające o zmierzchu rośliny rozchylały swe kielichy i kusily zapylające je motyle. Betty stała przy bufecie, wycięcie jej sukni na plecach sięgało aż do dołeczków łędźwiowych. Właśnie grzebała widelcem w misie z truskawkami. „*Ta nie, Henry*” – napomniała cicho Martha, podążywszy za wzrokiem męża, który niczym igła kompasu skierował się na magnetyczne dołeczki Betty. Henry od razu zrozumiał, kogo Martha ma na myśli, a także i to, że nigdy nie zostawi Betty w spokoju. Przyrzekł, że nigdy więcej się z nią nie spotka. Od tej pory widywali się wyłącznie w miejscach odosobnionych. Kupił sobie komórkę na kartę prepaidową, za motele i kolacje przy świecach płacił tylko gotówką. Mimo to ich romans pełen był śpiesznych dotyków, którym ustawicznie towarzyszyło zasmucające przecucie.

\*\*\*

Niewielki pokój Marthy utrzymany był w kolorze kremowej bieli. Nie lubiła pomieszczeń z wysokim sufitem, zbyt mocno przypominały jej okres pobytu na oddziale psychiatrycznym. Jej nieduże biurko z obrotowym stołkiem stało pod skosem dachu przy oknie, białe zaś obleczone łóżko pomiędzy lukarną i drzwiami do łazienki. Za pierwszy milion wypłacony mu za *Franka Ellisa* Henry chciał kupić jakiś francuski pałac, jednakże Martha uważała pałace za nazbyt duże i zimne, upierała się

przy czymś skromniejszym. Kiedy pracowała nad kolejną powieścią, Henry odkrył stary dworek blisko wybrzeża, bzyknął agentkę obrotu nieruchomościami, po czym niezwłocznie przystąpił do renowacji posiadłości.

Henry rozejrzał się po pokoju Marthy, nasłuchiwał. W maszynie do pisania tkwił pusty arkusz papieru. Wokół nie leżała ani jedna pomięta kartka, niewielki kosz był pusty. Żadnych notatek, nic nie wskazywało na to, by robiła szkice czy nanosiła jakieś poprawki. Kaskada słów spływała z jej mózgu wprost na nawinięty na wałek maszyny papier, ani jedno słowo nie trafiało w próżnię.

– Słyszysz ją?

– Nic nie słyszę.

– Może śpi.

Nasłuchiwali w milczeniu. „Nadeszła ta chwila” – przemknęło mu przez myśl. Musi jej powiedzieć, teraz. A jednak jego myśli nie przemieniły się w słowa.

– To pewnie był bocian na dachu.

– Bociany nie zjawiają się nocą, Henry.

– To prawda. Gdzie ją usłyszałaś?

Martha wskazała miejsce na suficie.

– Tam. Nad łóżkiem.

Henry zdjął buty, wszedł na łóżko i przyłożył ucho do skosu dachu. Pomiędzy oszalowaniem ściany a belką więźby dachowej ciągnęła się przez całą długość dachu wąska przestrzeń. Wypełniająca ją powietrze doskonale izolowało wewnątrz. Wstrzymując oddech, Henry wytrwał w tej pozycji kilka sekund. Wtem coś dosłyszał. Rzeczywiście, tuż nad nim coś chrobotło wśród belkowania. Dało się słyszeć tarcie ostrych zębów. Po chwili ucichło. Zwierzę chyba ich zwietrzyło.

Z miną zatroskanego fachowca Henry zszedł z łóżka.

– Coś tam jest.

– Jak duże?

– Przestało się ruszać.

– Kuna?

– Być może.

– Większa czy mniejsza od kota?

– Mniejsza. Nie martw się. Złapię ją.

– Ale jej nie zabijesz?

Włożył buty.

– Ależ skąd. A teraz idę kupić rybę.

## IV

Niewielka nadmorska miejscowość położona była nad zatoką. Niskie domy, naturalny port, drobne sklepiki i niepotrzebne klomby, żadnego pomnika, za to niewielka księgarnia, w której wisiała oprawiona fotografia Henry'ego – z myślą o turystach, którzy tu pielgrzymowali, by spotkać sławnego autora.

Obradin Basarić, miejscowy handlarz ryb, rodem z Serbii, odłożył właśnie na bok nóż i przemywał ręce, gdy usłyszał nadjeżdżające maserati Henry'ego. Jako że witrynę swego sklepiku okleił zdjęciami ryb, mógł się jedynie domyślać, co się działo na ulicy przed wejściem. Po śmierci Ivo Andricia Henry był dla Obradina największym z żyjących pisarzy. Fakt, że na miejsce swego pobytu wybrał akurat tę niepozorną miejscowość na wybrzeżu, nie mógł być przypadkiem, gdyż przypadki zdarzają się wyłącznie ateistom. Co najmniej raz w tygodniu Henry zachodził do niego, by kupić ryby, wypalić bośniacką trawkę i popilozofować o życiu. Ten najsympatyczniejszy i zarazem najgenialniejszy z ludzi był miłośnikiem ryb – on zaś, Obradin Basarić, je sprzedawał. I gdzie tu miejsce na przypadek?

Henry prosił Obradina, by nikomu nie wyjawiał jego adresu, Obradin mu to przyrzekł. Owa tajemna wiedza przysparzała mu tylko kłopotów. W rozmowach z turystami, w większości płci żeńskiej, którzy zjawiali się w jego sklepiku, by nieśmiało lub zgoła bezczelnie wypytywać o Henry'ego, kłamał w żywe oczy, twierdząc, że nie mieszka tu nikt o takim nazwisku, gdy tymczasem z chęcią by im opowiedział, iż jest z nim w szczególny sposób zaprzyjaźniony. Jego żona Helga często słyszała, jak krzyczy nocami przez sen: *Znam go! To mój przyjaciel!*

– Nie masz nawet pojęcia, jakie to straszne trzymać coś w tajemnicy – wyznał któregoś dnia Henry'emu podczas wędkowania na muchę. – Taki sekret – ciągnął – to prawdziwy pasożyt. Żywi się tobą i coraz bardziej rozrasta. Chce się z ciebie wydostać, przeżera ci serce, wylewa się przez usta, wypełza przez oczy!

Henry milcząco mu się przysłuchiwał.

– Zrób tak jak ja – zaproponował. – Wygrzeb sobie jakiś dołek i wyrzycaj do niego tę swoją tajemnicę. Kiedy się jej pozbędziesz, nie będzie ci już ciężyć.

Obradin uznał ten komentarz za niegodny znamienitego pisarza. Henry jednak tylko się roześmiał i przez resztę dnia się z tego cieszył.

Kiedy Henry zjawił się w sklepiku rybnym, miał ponurą minę.

– Mój przyjacielu – rzekł do Obradina na powitanie – mamy problem na poddaszu. To kuna.

Obradin ucałował Henry'ego w oba policzki.

– Zabiję ją dla ciebie.

– O nie, zapomnij. Martha tego nie chce. Jak można złapać to bydlę?

– W pułapkę. A co zamierzasz potem z nią zrobić?

– Gdzieś ją wypuszczę.

– Wróci, bo już będzie wiedziała, że jej nie zabijesz.

– Okay. Kiedy ją złapię, przyniosę ją do ciebie, a wtedy zabijesz ją ty.

Henry nie pytał, jak się kręci interes, wiedział bowiem, że marnie. Błękitny kuter rybacki Obradina, „Drina”, liczył już lat czterdzieści, wkrótce pewnie wyzionie ducha. Obradin coraz częściej musiał kupować mrożonki u hurtownika, gdyż diesel na łodzi szwankował. Henry wielokrotnie proponował mu nieoprocenowaną pożyczkę na zakup nowego kutra, Obradin jednak kategorycznie odmawiał. Nie chciał nawet przyjąć od niego poręczenia kredytowego. Przyjaźń, wciąż powtarzał, to

nie lombard. To dlatego Henry zaczął ukradkiem podsuwać jego żonie Heldze gotówkę, by mogła opłacać najpilniejsze rachunki. Bez dyskretnego wsparcia ze strony Henry'ego Obradin już dawno by zbankrutował. Bez wątpienia oznaczałoby to koniec ich przyjaźni, gdyby Obradin się o tym dowiedział.

Mężczyźni zapalili bośniackie zioło i rozmawiali o pogodzie, morzu i literaturze. Obradin opowiadał czasem o wojnie, o masowych egzekucjach w Bratunac oraz o swoim pobycie w obozie dla internowanych w Trnopolje. Gdy zaczynał swą opowieść, jego wzrok spowijał mrok, a głos brzmiał twardo, relacjonował w czasie terażniejszym, jakby wydarzenia rozgrywały się tu i teraz. Słuchając go, Henry tak naprawdę nie wiedział, czy Obradin stał się ofiarą, czy sam był oprawcą. Kiedy czetnicy zgwałcili jego córkę, po czym nabili ją na pal, Obradin przez całe lata wracał w każdy weekend w rodzinne strony, górzyste okolice Sarajewa, by zabić kilku z nich. Henry nie mógłby przysiąc, że potajemnie nadal tego nie robi.

– Jak idzie praca nad powieścią?

– Nie zostało już wiele. Może ze dwadzieścia stron.

– Musimy to uczcić. Mam dla ciebie żabnicę.

– Ale za nią zapłacę.

– Jak chcesz – odparł Obradin. – Czytałem, że chcą sfilmować *Franka Ellisa*.

– Tak, okropna sprawa – odpowiedział Henry. – Jestem temu przeciwny.

– To czemu na to pozwoliłeś? Moja Helga twierdzi, że literatury nie można ekranizować. A ja uważam, że nawet nie wolno. Film... wiesz, czym jest film? – Obradin przetaił palcem po zakrwawionej stolnicy, wyciągnął przezroczyste włókno i podsunął Henry'emu pod nos. – Masz, to jest film, pasta, śluz, ekskrementy.

– Masz rację – przyznał Henry. – To samo wciąż powtarza Martha. Ale ja nie potrafię stanowczo mówić *nie*. Rozumiesz?

Obradin zwiesił owłosiony palec jak wahadło.

– Nie podoba mi się twój dzisiejszy sposób mówienia. Coś się stało?

– Nic. Nic się nie stało.

– W takim razie miejże dla siebie litość, Henry. I cóż cię jeszcze obchodzi sława? Przecież nawet się nią nie cieszysz! Ukrywasz się przed nią, bo jesteś dobrym człowiekiem. Ciągle tylko źle o sobie mówisz. Czemu to robisz?

– Bo taki właśnie jestem, Obradynie. Jestem do cna złym, nic nieznaczącym człowiekiem, wierz mi.

Obradin zmrużył oczy.

– Wiesz, co mawiają Żydzi? Myśli przemieniają się w słowa, a słowa w czyny. Znam złych ludzi, mam kilku we własnej rodzinie, mieszkałem z nimi, spałem i jadałem. Nie jesteś jednym z nich, jesteś dobrym człowiekiem. I dlatego wszyscy cię kochamy.

– Kochacie mnie, bo dokładam do gminnej kasy.

Henry zaciągnął się smolistym dymem, po czym stłumił kaszel, unosząc przy tym jedną nogę jak ptak brodzący.

– Cholera, ależ to mocne. Wiesz, co mawiają Japończycy, Obradynie?

– A kogo obchodzi, co gadają Japończycy?

– Mawiają: Bycie kochanym to przekleństwo.

– Możliwe, Henry. Ale niby skąd akurat *oni* to wiedzą? – Obradin splunął na wyłożoną płytkami podłogę. – Pisarzem nie zostaje się ot tak, Henry. Ja to wiem, to prawdziwe fatum. Ja tego nie potrafię, Helga tego nie potrafi, i dziękujemy za to Bogu. To musi być kara.

– Coś w tym jest – odparł Henry, po czym wskazał na zarys dwóch postaci za zaklejoną szybą. –

Widzę klientów.

Obradin tylko zerknął.

– Turyści – stwierdził z dezaprobatą.

– Jesteś pewien?

– A kto niby ogląda moje zdjęcia ryb? Kto tak robi?

– Wyłącznie turyści.

– A widzisz. Przychodzą ze względu na ciebie. Uważaj teraz.

Obradin stanął wyczekująco za ladą i odłożył papierosa na zakrwawioną stolnicę. Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Do środka weszły dwie pulchne kobiety o zarumienionych policzkach. Przystanąły przed ladą i znudzonym wzrokiem spojrzały na martwe ryby. Nie, nie dla nich tu wstąpiły. Irytował je papierosowy dym. Starsza z pań podniosła wzrok znad ryb i spojrzała na Obradina, przymknęła powieki, które zaczęły wibrować, jak to się często zdarza, nie wiedzieć czemu, anglosaskim kobietom.

– *Do you speak English?*

Obradin potrząsnął głową. Obie kobiety nosiły białe sportowe buty i plecaki z goreteksu. Miały krótko przystrzyżone włosy, wąskie usta, zaróżowioną cerę, starszej trząśł się podbródek, kiedy szeptała coś do młodszej. Henry odchrząknął.

– *Can I help?*

Młodsza uśmiechnęła się nieśmiało do Henry'ego. Miała równe alabastrowobiałe zęby.

– *Perhaps you know Henry Hayden?*

Nim Henry zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Obradin.

– *No.*

Serb oparł owłosione ramiona na ladzie.

– *No here. Here only fish.*

Kobiety bezradnie spojrzały po sobie. Młodsza się odwróciła, nieco się pochyliła, starsza zaś wyjęła z jej plecaka podniszczoną przez częste czytanie książkę. Było to angielskie wydanie *Franka Ellisa*. Podsunęła ją Obradinowi. Nieskazitelnym czystym paznokciem wskazała na zamieszczone na okładce zdjęcie.

– *Henry Hayden. Does he live here?*

– *No.*

Henry rozdeptał papierosa. Sprężystym krokiem podszedł do kobiet.

– *Allow me.* – Wyciągnął rękę.

Zaskoczona kobieta podała mu egzemplarz.

– *Masz coś do pisania, Obradynie?*

Obradin wręczył mu swój wysmarowany rybimi trzewiami ołówek.

– *What's your name, Ma'am?*

Starsza, przerażona, zakryła delikatną dłonią usta. Poznała go.

– *Oh my God...*

– *Just Henry, Ma'am.*

Henry lubił takie chwile. Czynić dobro i dobrze się przy tym pocuć. Czy istnieje bardziej sensowne i zarazem przyjemniejsze zajęcie? W końcu przyjechały tu Bóg raczy wiedzieć skąd tylko po to, by go zobaczyć. Tyle zachodu za jałmużną chwili.

Henry wpisał dwie krótkie dedykacje, Obradin zrobił im wspólne zdjęcie, obie kobiety wyszły ze sklepiku wniebowzięte. Obradin powiódł za nimi wzrokiem, mruczając coś pod nosem.

– To ja za każdym razem wylażę ze skóry, żeby cię nie wydać, a ty się zjawiasz i mówisz: *Oto jestem.*

– Wróć tu, zrobią u ciebie zakupy, bo już wiedzą, że ich nie zabijesz.

\*\*\*

Na kolację Henry upiekł na grillu otrzymane od Obradina medaliony z żabnicy à la plancha. Jedli na werandzie, w chłodnym nocnym powietrzu przesyconym aromatem świeżo skoszonej trawy, i popijali Pouilly Fumé.

– Czy powinnam się martwić? – zapytała Martha w ten swój niezrównany lapidarny sposób, wobec którego wszelkie dalsze pytania stawały się zbyteczne. Henry wystarczająco dobrze znał swą żonę, by wiedzieć, że niesłyszalny kontekst tego pytania brzmiał: „Oszczędź mi szczegółów, nie chcę żadnych wyjaśnień, a przede wszystkim *nie udawaj głupiego*”.

Henry nadział kawałek ryby na widelec, a na wierzch nałożył nożem nieco piany z rieslinga.

– Ani trochę – odparł zgodnie z prawdą. – Nie martw się, zajmę się tym.

Tym samym wszystko, co istotne, zostało powiedziane. Kontakt telepatyczny, jaki wraz z upływem lat rozwija się między małżonkami, przez osoby trzecie odbierany jest często jako milczenie. Także Henry, zanim sam się ożenił, sądził, że pary spożywające bez słowa posiłek przy restauracyjnych stolikach nie mają sobie nic do powiedzenia, teraz jednak już wiedział, że prowadzą one w milczeniu elokwentne konwersacje. Niektóre nawet opowiadają sobie w ten sposób dowcipy.

Martha wcześniej niż zwykle wróciła do siebie na górę, by dokończyć pięćdziesiąty czwarty rozdział, zamykający całą powieść. Stojąc w prowadzących na taras drzwiach, raz jeszcze zwróciła się do Henry’ego.

– Czy nadszedł czas na nowy początek, Henry? Czy nie jest dobrze tak, jak jest teraz? – Nie czekała, aż odpowie.

Henry pozmywał naczynia, nakarmił psa, po czym zaszył się w swoim atelier, by obejrzeć wiadomości sportowe i dokleić kolejne zapalki do platformy wiertniczej.

Obok szaf na akta, wypełnionych artykułami prasowymi, stały wysokie regały z nieprzeczytanymi książkami. Wszelkie poświęcone mu publikacje były uporządkowane według daty, języka i autora. Szczególnie pochlebne fragmenty podkreślał od linijki, przyzwyczajenie, za które w szkole zawsze go chwalono. Najważniejsze nagrody i wyróżnienia wisiały na ścianach lub stały w przeszklonych witrynach. Już we wczesnym dzieciństwie Henry zauważył u siebie zamiłowanie do sporządzania odpisów i archiwizowania. Z każdą opublikowaną powieścią jego kolekcja powiększała się o nowy regał. Marcie jej nie pokazywał, na samą myśl o tym oblewał go rumieniec wstydu.

Przy oknie stało jego biurko. To przy nim odpisywał na listy, porządkował dokumenty dla doradcy podatkowego oraz sklejał z zapalek rozmaite platformy wiertnicze. Ukończone powędrują do piwnicy, a w dniu letniego przesilenia posłużą za podpałkę na grilla. Do sporządzenia pomniejszonego modelu norweskiej „Sea Troll”, nawiasem mówiąc, największej na świecie platformy wydobywczej ropy naftowej typu condeep, zużył już ponad czterdzieści tysięcy zapalek. Na koniec Henry obejrzał dwa odcinki *Bonanzy* i pełen inspiracji położył się spać. Tej nocy nie śnił, spał spokojnym, mocnym snem, jak Hoss Cartwright z rancza Ponderosa, wiedział już bowiem, co należy uczynić.

Obudził go szum automatycznych żaluzji. Do wnętrza pokoju wniknęło słoneczne światło. Odrzucił na bok kołdrę, cień jego pałeczki w stanie porannej erekcji wskazywał kwadrans po siódmej. Poncho spał obok łóżka. Henry wypił kawę, wziął porządny prysznic, po czym wyjął z szafy buty turystyczne. Kiedy tylko Poncho je zauważył, zaczął się wiercić i podskakiwać przed drzwiami, merdając przy tym ogonem. Pognał przed Henrym do samochodu i wskoczył na siedzenie pasażera. Pora na codzienną wędrówkę.

Aby mieszkańcy okolicy nie rozpoznali go podczas wycieczek z psem, Henry wybierał zawsze odległe miejscowości rozrzucone w promieniu stu kilometrów, autor powieści bądź co bądź nie jest

wędrowcem. Dzięki szczegółowej wojskowej mapie, na której zaznaczono nawet najdrobniejsze leśne dukty, w ciągu ostatnich dwu lat przemierzył ogromne obszary łąk i lasów, wędrował przez malownicze torfowiska i położone na uboczu regiony wybrzeża, widywał rozmaite rzadkie gatunki ptactwa i dzikiej zwierzyny, a przy tym zrzucił nawet kilka kilogramów. Nie obawiał się, że zabłądzi, gdyż dwieście dwadzieścia milionów komórek węchowych w nosie Poncho zawsze odnajdowało drogę powrotną do samochodu.

Tym razem Henry wybrał obszar lasu ciągnący się czterdzieści kilometrów na zachód od miasteczka, który już kilkakrotnie przemierzył z psem. Wysiadł z samochodu na wspaniale zacienionym parkingu. W pobliżu, wśród paproci, pluskała kaskada, w powietrzu unosiła się woń świeżej żywicy, światło słoneczne przenikało przez wierzchołki drzew i oblewało blaskiem miliony liści.

Z kieszeni kurtki wyjął czerwony telefon, by włożyć do niego baterię. Nigdy nie dzwonił do Betty dwukrotnie z tego samego miejsca, to jeden z zapobiegliwych nawyków, jakie wyrobił w sobie przez lata ukrywania się w przeludnionym świecie. Wpisał kod i odczekał. Za korzystanie z tego ślicznego urządzenia nie otrzymywał zresztą rachunków, działało na kartę prepaidową, którą można było doładować na każdej stacji benzynowej, praktycznie, tanio i anonimowo. Henry lubił pozostawać incognito.

Betty odebrała po pierwszym sygnale. Jej głos brzmiał ochryple, paliła.

– Powiedziałeś jej?

– Opowiem ci wszystko dziś wieczorem. Jesteś w wydawnictwie?

– Zostaję dziś w domu. Jak zareagowała?

Henry zrobił znaczącą pauzę. Najlepiej sprawdzała się podczas rozmów telefonicznych, natomiast przy spotkaniach *en face* niezrównany okazywał się tajemniczy uśmieszek. Nie sposób się było pomylić.

– Martha jest szalenie dzielna.

Usłyszał metaliczny trzask zapalniczki. Betty zaciągnęła się mentolowym dymem.

– Moreany mnie zwolni, jeśli się o nas dowie.

– Od Marthy nie dowie się niczego.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie.

– Musi być na mnie strasznie wściekła, prawda?

– Pewnie, że jest. Boisz się o swoją pracę, Betty?

– Ja? Nie. Po prostu mi przykro. Szczerze mówiąc, trochę mi wstyd.

– Czemu dopiero teraz?

Zaciągała się papierosem, Henry niemal poczuł tłący się żar.

– Co to ma znaczyć, Henry? Sądzisz, że jest mi to obojętne?

– Jak dotąd było ci wszystko jedno.

– *Nigdy* nie było mi wszystko jedno. Znowu jesteś taki oziębły. Nie wyzywaj się na mnie, rozumiem, że to dla ciebie trudne, ale proszę, nie zrzucaj winy na mnie.

– Tu chodzi tylko o jedno: prawdę.

– Jasne. Tylko o to. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, przez co teraz przechodzisz.

Tak będzie lepiej, uznał Henry. Zauważył, że pies podjął trop i biegł zygzakiem przez połyskującą od rosy łąkę.

– Chyba nie sądzisz, że umyślnie zaszłam z tobą w ciążę, prawda, Henry? Powiedz szczerze.

– Z tobą zawsze jestem szczerzy, skarbie. Zawsze.

Nie przyszło mu to do głowy. Teraz jednak, kiedy sama o tym napomknęła, uznał to za całkiem



możliwe. Betty miała prawie trzydzieści pięć lat, długo czekała, on nie zachował ostrożności – i po prostu: stało się.

– Kończmy już, Betty.

– Co masz na myśli?

– Mówię poważnie. Kończy mi się karta, zostało mi jeszcze trzydzieści sekund. Porozmawiamy wieczorem.

– Trochę mnie przeraziłeś, Henry. O to ci chodziło?

– Tylko odrobinę. Przecież mnie znasz. Czekaaj na mnie, będę o ósmej. I rzuć palenie. Pomyśl o naszym dziecku.

– Tak zrobię, kochany. Ty...

– Tak?

– Kocham cię.

– Mylisz się.

– Wciąż to powtarzasz. Zaakceptuj to, dopuść do siebie tę myśl. Lubię cię, lubię, lubię. Całuję.

Henry wyjął baterię z telefonu i tym samym znów stał się niewidzialny. Betty się bała, że Martha mogłaby ją zdradzić przed Moreanym. Bała się nie bez powodu, że straci posadę redaktor naczelnej, którą, choć tego nie wiedziała, zawdzięczała wyłącznie Marcie. Moreany ją zwolni, gdyż nie była już w stanie bezstronnie wykonywać swej pracy. To jednak miało i dobrą stronę: myślała tylko o sobie, uczyniła go częścią swego planu – i to się Henry’emu podobało. Betty była ekscentryczką, pragnęła sukcesu, a zarazem intymności, w pewnym sensie tęskniła za przygodą w dzikiej głuszy, nie chcąc jednak rezygnować z noclegu w komfortowych warunkach. W głębi duszy była zepsuta i pozbawiona skrupułów, jak on. To ułatwiało sprawę.

Henry gwizdnął na psa. Dostrzegł go w odległości jakichś stu kroków. Poncho szarpał coś kłami. Rzecz sporych rozmiarów. Henry przeszedł polanę, jego buty grzęzły w piaszczystym gruncie. Do polowania na zające hovawart był zbyt ociężały i powolny, a leżący na ziemi przedmiot był większy od zająca. Im bliżej podchodził, tym bardziej zawzięcie Poncho targał swą zdobycz. Z odległości mniej więcej dwudziestu kroków Henry rozpoznał, że to sarna. Poncho wydierał z jej boku spory kawał mięsa, tylna noga dyndała w powietrzu.

Sarna wciąż żyła. Może została postrzelona, może była chora. Patrzyła na Henry’ego błędnym wzrokiem, podczas gdy kły psa wpijały się w jej ciało. Dygocąc, unosiła głowę, zwiesiła niebieski jęzor, wydawała z siebie spieniony oddech.

– Zostaw, Poncho, odejź!

Krwistoczerwonym pyskiem hovawart wyrwał z ciała sarny ostatni kawałek, położył go na ziemi kilka metrów dalej i zaczął przeżuwać swą zdobycz wielkości dłoni. Henry przyklęknął obok umierającego zwierzęcia. Biała sierść na brzuchu była szeroko rozdarta, jelita zwisały na zewnątrz, wszystko w tym rozszarpanym ciele pragnęło żyć. Henry obmacał kieszenie. Prócz telefonu nie miał przy sobie niczego. Sarna wydała z siebie skargliwy dźwięk. Poglaskał ją dłonią po cieplej, pulsującej szaleńczym rytmem szyi. Jak okiem sięgnąć nie było w pobliżu żadnego kamienia, by jednym uderzeniem uwolnić ją od męczarni.

Henry chwycił ją oburącz za szyję i zacisnął dłonie. Ciało sarny zaczęło drgać, Henry nie zwolnił jednak uścisku, póki zwierzę nie padło martwe. Następnie pogładził ręką ciepłe jeszcze zwłoki. Życie już z nich uszło, zaczął się proces rozkładu. Henry przysiadł obok sarny i rozmyślał o pożegnalnym podarunku dla Betty. Będzie wściekła i rozczarowana. Czyż jednak rozczarowanie nie jest kresem każdego oszustwa? Prognoza pogody zapowiadała na noc opady deszczu. Za dziesięć godzin powie Betty o wszystkim.

Długi korytarz w budynku sądu kryminalnego był opustoszały. Siedząc na drewnianej ławce pod oknem, Gisbert Fasch trzymał w dłoniach brązową aktówkę i starał się nie myśleć o bólu zęba. Przechodzili obok niego ludzie, niektórzy spiesznym, inni niezdecydowanym krokiem, i znikali za szarymi drzwiami. W *oubliette* archiwum sądowego natknął się na dwa szare segregatory, leżące w skrzyni z naklejonym znakiem zapytania. Jakiś biurokrata dopisał na nich koślawym pismem uwagę „do zniszczenia”; oba segregatory popadły w tej skrzyni skarbów w zapomnienie. Cóż za znalezisko, niech będzie błogosławiony biurokratyczny bałagan.

Akta sądowe w sprawie Haydena były niezbyt obszerne i na pierwszy rzut oka nieszczególnie interesujące. W zwięzłych słowach opisano w nich zniknięcie matki Henry’ego, Charlotty Hayden z domu Buntknopf, drugiego grudnia 1979 roku. Jako że nikt nie zgłosił jej zaginięcia, nie wszczęto poszukiwań. W następnym akapicie odnotowano śmierć urzędnika skarbowego Martina E. Haydena; późnym wieczorem tego samego dnia spadł ze schodów, był pod wpływem alkoholu. Nie insynuowano związku obu zdarzeń, nie było mowy o morderstwie. Bez wątpienia tragedia, zagadkowa i wystarczająco przerażająca, by dziewięcioletniego chłopca załamać, przemienić w geniusza, uczynić przestępcą lub też sprawić, by na zawsze zamilkł.

Miejsce pobytu małego Henry’ego Haydena zaznaczono jedynie na marginesie, o jego dalszych losach miało zadecydować osobne postępowanie. Jako że najwyraźniej nikt nie liczył się z możliwością powrotu zaginionej matki, Henry’emu nadano status sieroty i umieszczono go w sierocińcu.

Rok po zniknięciu Charlotty Hayden kwestie wychowania i opieki nad małym Henrym uporządkował sąd opiekuńczy.

\*\*\*

A więc Henry wówczas skłamał. Nie doszło do żadnej tragicznej w skutkach katastrofy statku, w wyniku której utonęli wszyscy – oprócz niego. Jego ojciec nigdy też nie był myśliwym polującym na grubego zwierza, lecz urzędnikiem skarbowym zajmującym się podatkiem dla posiadaczy psów. A mały Henry nie został jako jedyny z ocalałych wyłowiony z lodowatych głębin Morza Północnego. Po prostu pozostał przy życiu. Moczył się podczas snu, był kłamcą i nieobliczalnym psychopata.

Fasch przypomniał sobie, jak przed ponad trzydziestu laty spotkał Henry’ego Haydena w katolickim sierocińcu w Sankt Renata. Henry miał wówczas około jedenastu lat, nie był miłym chłopcem. Możliwe, że kariera każdego psychopaty zaczyna się od jakiegoś tragicznego zdarzenia, nierzadko jednak owym zdarzeniem są po prostu narodziny. Zło przychodzi na świat niewinnie. Wzrasta, wyszukuje sobie jakąś postać, po czym beztrąsko rozpoczyna swoje dzieło. W owym czasie Henry miał już za sobą sporo doświadczeń nabytych w rozmaitych sierocińcach, z każdego go wyrzucano albo sam się ulatniał. Nie zdradził się jednak o tym ani słowem. Jakby każdy miniony dzień zostawiał za sobą niczym zmrożoną szklaną kulkę.

Kiedy Henry przybył do Sankt Renata, był przedwcześnie dojrzałym, silnym młodzieńcem z meszkiem nad górną wargą. Wysportowany, w dobrym humorze, miał w sobie coś kociego. Zawsze skory do drobnych żartów, chętnie kosztem innych, lecz niepozbawiony pewnego uroku. Henry miał więcej doświadczenia niż większość pozostałych chłopców – w kontaktach z dziewczętami, w obchodzeniu się z autorytetami oraz w walce o największą porcję. I dlatego zawsze dostawał najwięcej. Emanował obojętnością, jak dorosły, dzięki niej stawał się odporny i przerażająco silny. Czy to podczas zajęć szkolnych, czy też w obecności wychowawców z napiętą uwagą wciąż szukał dla siebie

korzyści. A przy tym postępował dyskretnie, niewielu w ogóle zauważało, że zostali właśnie ograbieni.

Miał szczególny talent do spijania śmietanki za innych i zapewniania sobie w ten sposób pochwał i przywilejów. Sumienie rodzi respekt, on zaś nie miał ani jednego, ani drugiego, ból pewnie odczuwał, lecz nie zwracał nań uwagi, strach przed karą udziela się wyłącznie słabeuszom. Henry'ego chronił jakiś niewidzialny pancerz.

Na lekcjach Henry siadał zawsze obok najlepszych z danego przedmiotu, by móc od nich odpisywać. Odpisywał jednak niechlujnie i robił przy tym błędy. Arogancja ta mogła oznaczać tylko jedno: interesowała go wyłącznie kradzież, trofeum natomiast go nudziło, skoro tylko trafiło do jego rąk. A gdy czasem udało się go przyłapać, winę zrzucał na innych. Nikt nie ważył się go zadenuncjować, gdyż Henry nałożył fatwę mogącą osiągnąć każdego, bez względu na porę dnia i miejsce pobytu. *Nigdy nie wiesz kiedy* – tak brzmiała jego obietnica zemsty. Kryjące się w tych słowach niedopowiedzenie było właściwą groźbą, która trafiała w ofiarę jak zatruta strzała. Gisbert czytał wówczas podanie o Grendelu, owym niepokojącym stworze ze świata legend, który przychodzi nocą i porywa śpiących, by pożreć ich w swojej pieczarze na bagnach. Henry był kopią tego potwora. Nikt nie wiedział, kiedy się zjawi, z pewnością jednak będzie to straszne.

Jego gościnny występ w sierocińcu Sankt Renata trwał rok i trzy miesiące. Aż któregoś dnia zimą Henry zniknął, a wraz z nim pieniądze kierownika placówki. Nikt nie miał pojęcia, dokąd uciekł i dlaczego. I nikt nie pytał. Dzień ten stał się świętem radości. W uszach Gisberta wciąż dudniło echo wypełniające niczym odpustowa muzyka długie korytarze, nawet siostry poczuły ulgę. Według relacji dozorca Henry wybił niewielkie okno w kotłowni i wydostał się przez nie na zewnątrz. Ślady krwi na odłamkach szkła świadczyły o dość głębokich ranach. Gisbert podejrzewał, że uprowadził z sobą jednego z wychowanków, nikogo jednak nie brakowało. Czekano na jego powrót, nikt nie wszczął poszukiwań. O ile Gisbert dobrze pamiętał, ani nie wezwano policji, ani też nie powiadomiono władz. Zamierzano po prostu odczekać, by się przekonać, czy może sam powróci. Kiedy dzień dobiegł końca, chłopcy w sali sypialnej długo nie mogli zasnąć, nasłuchiwali. Henry nie wrócił. Grendel zstąpił w otchłań pieczary, do swej paskudnej matki.

\*\*\*

Gwoli ścisłości, Travis Forster to pseudonim. Każdy ma prawo nadać sobie bardziej melodyjne nazwisko niż Gisbert Fasch, nikt jednak nie ma prawa kraść innym życia i nazywać siebie pisarzem, skoro nim nie jest. Gisbert Fasch złożył swój artystyczny pseudonim z nazwisk dwóch idoli i kazał je sobie wpisać do paszportu. Imię przejął od fikcyjnej postaci Travisa Bickle'a, podziwiał jego walkę o uznanie i respekt, od kiedy obejrzał *Taksówkarza Scorsesego*. Nazwisko natomiast przybrał na cześć poszukiwacza przygód Georga Forstera, który nie znalazł dość uznania w oczach światowej historii.

Gisbert Fasch, jak go dla ułatwienia będziemy nazywać, siedząc na drewnianej ławce w siedzibie sądu, powrócił myślami do dusznej sali sypialnej w Sankt Renata, wyposażonej wówczas, niby trzewia galery, w małe świetliki. Sankt Renata przypominało gułag, najbardziej brutalne jednostki rządziły słabszymi, Henry zaś był najgorszy ze wszystkich, a zatem i najpotężniejszy. Na powitanie wybił Gisbertowi dwa przednie zęby, gdyż chciał zająć górne łóżko. Górne łóżko mu jednak nie przysługiwało. Jako nowicjusz Henry musiał spać na dole. Dwa tuziny chłopców słyszało w ciemności, co się wtedy stało. Kiedy zgaszono światło, Henry, niczym przerażający Grendel, wspiął się na górę i uderzył bez ostrzeżenia. Chwycił Gisberta i ściągnął na dolne łóżko. Nikt nie pospieszył z pomocą, wszyscy drżeli ze strachu. Gisbert nigdy nie zapomniał tamtej nocy. Czuwał, mając usta pełne krwi – nad nim zaś psychopata krzyczał przez sen i moczył się do łóżka.

Kiedy całe dziesięciolecie później Fasch natknął się w dodatku literackim na artykuł o Henrym Haydenie, uznał, że to przypadkowa zbieżność nazwisk. Krytyk pisał o wspaniałym osiągnięciu,

zamieścił istny pean na cześć stylu i siły – niemożliwe, by chodziło o Henry’ego. A jednak fotografia autora nie pozostawiała wątpliwości. To był on. Szarzielone oczy, ten sam złośliwy uśmiezek zwycięzcy. Grendel powrócił. Wybite zęby Gisberta już dawno zostały zastąpione zębami sztyftowymi, wspomnienie wciąż jednak boleśnie kłuło. Kupił powieść w księgarni za rogiem, zerwał folię ochronną i od razu zaczął czytać.

*Frank Ellis* był rzeczywiście porządnym thrillerem, naprawdę dobrze napisanym, powściągliwie, a zarazem starannie aż do ostatniego szczegółu – w żadnym wszakże razie nie była to powieść stulecia, nie ma to jednak teraz nic do rzeczy. *Każde zdanie niczym twierdza* – taka pochwała krytyki widniała na obwolucie. Książkę kupiły i przeczytały miliony. Fasch poczuł ból zębów. Nie potrafił zrozumieć, jak ów nieczuły potwór mógł własnymi siłami napisać bestseller. Skoro jednak to *on* stworzył tę powieść, w takim razie kto? Czym się zajmował przez te wszystkie lata od dnia opuszczenia dziecięcego gułagu do chwili wydania swej pierwszej powieści? Nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Żadnego szkolnego świadectwa, własnej publikacji, choćby drobnego artykułu w antologii. Można by przypuszczać, że psychopata figuruje przynajmniej w rejestrze skazanych. Nic z tego. Hayden nigdzie nie studiował, nie pozostawił żadnej próbki swej twórczości artystycznej czy też wskazówek na temat kręgu przyjaciół lub kolegów po fachu. Czy publikował może pod pseudonimem? Jeśli tak, to pod jakim? Czyż każdy, choćby i najbardziej tajemniczy artysta, nie zdradza się poprzez zmianę stylu życia, czyż nie szuka zawsze publiczności? Z pewnością nie Henry Hayden. Zniknął, uciekając z ośrodka wychowawczego, by dziesięciolecia później przeszyć niczym kometa literacki nieboskłon.

Gisbert rozpoczął poszukiwania po cichu i niepostrzeżenie, jak zresztą wszystko, co robił, przynajmniej na polu artystycznym. Jego marzenie o karierze pisarskiej zestarzało się wraz z nim. Od dawna nie rozsyłał już swych manuskryptów. Nieprzespane noce spędzane na zszywaniu arkuszy papieru w punktach ksero były już *passé*, nie mówiąc o wszystkich owych bezużytecznych odczytach w obecności literackich pedantów o poźółkłych od papierosów palcach i z okruchami tytoniu między zębami. Jedenaście lat spędził Fasch na pisaniu swej powieści o wędrowcach epoki kamiennej. Ponieważ dostawał wyłącznie standardowe odpowiedzi odmowne, dzieło swego życia opublikował ostatecznie własnym sumptem pod pseudonimem Travis Forster. Doprowadziło go to prosto do bankructwa. Przez kolejne sześć lat musiał wegetować pod knutem syndyka. Nieprzeczytane egzemplarze piętrzyły się w jego niewielkim mieszkaniu, w końcu kazał je przerobić na wełnę izolacyjną. Po owym wewnętrznym akcie palenia książek zaprzestał dalszego pisania. Jego nowele, sztuki teatralne oraz słuchowiska trafiły na dno szuflady. Powrócił do nazwiska Gisbert Fasch i polecił usunąć z paszportu swój pseudonim. Basta.

Fasch pracował obecnie jako nauczyciel, prowadził kursy językowe dla obcokrajowców, głównie Afrykanów. Pomagał im zacząć nowe życie. Przeprawiali się łodziami wiosłowymi przez Atlantyk, uciekali przed suszą, wojną i biedą, a w krainie mlekiem i miodem płynącej nie mogli otrzymać prawa pobytu bez dyplomu znajomości języka. Praca Gisberta była ważna i słuszna, lubił to robić. Miał dobry zawód. Hobbystycznie pisywał recenzje literackie dla Amazona. Wyłącznie, podkreślmy, pozytywne, negatywne opinie uważał za kompletnie bezproduktywne. Zamieszczał je pod swoim dawnym pseudonimem Travis Forster. Przez pamięć o minionych czasach. Zadowolony z siebie jednak nie był.

Fasch objechał w ślad za Henrym wszystkie europejskie stolicy, słuchał jego wystąpień na rozmaitych sympozjach, studiował rzadko udzielane wywiady, analizował każdy z jego cytatów. Wielokrotnie stali naprzeciw siebie, ich spojrzenia się spotykały, jednakże Henry go nie rozpoznał. Jak na tak skrupulatnego znawcę ludzkiej natury miał zadziwiająco kiepską pamięć do twarzy.

Henry mógłby wypełnić publicznością całe hale, a jednak na swe odczyty zawsze wybierał

księgarnie. Na każdym z nich obecny był Fasch. W pierwszych rzędach siedziały prawie wyłącznie kobiety. Większość z nich w interesującym wieku między trzydziestką a pięćdziesiątką. Fasch widział na własne oczy, jak słuchały Haydena z zapartym tchem, jak wilgotniały im uda, jak pozwalały się penetrować jego słowom, udając przy tym, że przyszły jedynie przez wzgląd na kulturę. Odczyty te były jednym wielkim tajemnym festiwalem lubrykacji.

Mocna rzecz, przyznajmy. Prezentowane przez Henry'ego książki trzymały w napięciu, były ciekawie napisane, bez jednego zbędnego słowa. Kiedy mając na sobie buty szyte na miarę i tweedową marynarkę, czytał z nonszalancją ich fragmenty, w jego głosie pobrzmiwała jednak nuta znudzenia, jakie odczuwali chyba cesarowie na widok wieńca laurowego. Nie czytał z ekspresją, lecz oschle i beznamiętnie, jakby chciał pozostać skromnym człowiekiem, zdążyć na ostatni pociąg do domu i znaleźć się na powrót w swoim pisarskim lochu. „Biedny stary Henry – pomyślał Fasch – nawet czytać dobrze nie umiesz”.

Podpisywaniu książek Henry poświęcał sporo czasu. Szarmancko przy tym gawędził i pozwalał się fotografować ze swymi ckliwymi czytelniczkami. Potrafił je wszystkie oczarować, a jednak żadnej nie zapraszał do siebie do domu. Któregoś razu Fasch postanowił poddać go próbie – stanął w kolejce oczekujących. Podsunął Henry'emu egzemplarz *Szczególnego brzemienia winy*.

– Dla Gisberta Fascha, poproszę.

Henry uniósł wzrok, popatrzył mu w oczy. Spojrzenie sytego lwa, obok którego przemykają gazy. Skinął uprzejmie, po czym wpisał: *Dla Gisberta Fascha od Henry'ego Haydena*. To wszystko. Bez mrugnięcia okiem. Rzeczywiście o nim zapomniał, podobnie jak o zębach, które mu wybił, i wypracowaniach, które od niego odpisał. Tym lepiej.

Od tej pory Fasch unikał dalszych spotkań twarzą w twarz, by nie ostrzec swego wroga. Zamiast tego zaczął gromadzić wszelkie dostępne fragmenty dotyczące zaginionej biografii Henry'ego Haydena. Zajęcie to bez reszty go pochłonęło. Rzucił palenie, ot, drobnostka. Znów przesypiał całą noc, odstawił antydepresanty, po których, nawiasem mówiąc, okropnie się tyje. Nawet włosy przestały mu wypadać. Kto odnajdzie w życiu wroga, temu żaden lekarz nie jest już potrzebny.

\*\*\*

W porze obiadu Henry pojechał do miasta. Zaparkował w podziemnym garażu przy dworcu, a czerwony telefon wyrzucił do kosza przy parkomacie. W windzie się zastanawiał, czy w prezencie pożegnalnym powinien podarować Betty mieszkanie, porzucił jednak ten pomysł. W bufecie tuż obok parkingu, gdzie zimą ogrzewały się męskie prostytutki, zjadł kotlet mielony. Henry lubił okolice dworca, lubił też kotlet przyprawiony pikantną musztardą. Nikt go tu nie rozpoznawał, panowała łagodna forma beznadziei. Co raz upadło, leżało przez długi czas.

Propozycja, by Betty dokonała aborcji, nie wchodziła w rachubę. Być może sama wpadnie na ten pomysł, wówczas pokryłby rzecz jasna wszelkie koszty. „Pozostaniemy przyjaciółmi” jako formuła pożegnalna było równie niestosowne, bądź co bądź nigdy przyjaciółmi nie byli. Wręcz przeciwnie, bardziej jej pożądał, niż ją lubił. Musiała to wyczuwać, gdyż każde w nią wniknięcie aktywowało jej system immunologiczny. Wzbraniała się, a to go dodatkowo podniecało, choć każdy odbyty stosunek przypominał po trosze gwałt. Jak mogło przy tym dojść do poczęcia dziecka, pozostawało dla Henry'ego zagadką. Betty sformułowała kiedyś mimochodem seksualny aspekt ich związku: „Jeśli nie stąpamy się w jedno, Henry, zbrylmy się przynajmniej w grudki”.

Nadszedł jednak czas, by to zakończyć. Rozstanie musi być szybkie i ostateczne, nie miejsce tu na pozostawienie choćby odrobiny nadziei. Musi wreszcie powrócić spokój sumienia oraz otworzyć się przestrzeń dla czegoś nowego. Owszem, będzie za nią tęsknił. Nawet bardzo. Ale dopiero po rozstaniu.

Naprzeciwko bufetu Henry zauważył lombard. „Bezzwłoczna zapłata” – wytrawiono na kuloodpornych szklanych drzwiach. Spodobała mu się ta pusta obietnica. Henry dokończył posiłek, oblizał do czysta palce, po czym sprężystym chwiejnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy.

Ryglowane drzwi otwały się z brzękiem, za pancernymi szybami siedziało dwóch mężczyzn w okularach i dotykało biżuterii. Natychmiast zwiertzyli, że ma pieniądze. Henry kazał sobie pokazać brylantową kolie, wydała mu się jednak zbyt pompatyczna, bądź co bądź rozstanie nie jest uroczystą ceremonią. Brosza była zbyt staromodna, a kolczyki? Co za spektakularne niezrozumienie tematu! Już ruszył ku wyjściu, gdy nagle zauważył patka philippe’a. Spodobał mu się jego dyskretny kształt, był elegancki i praktyczny, a Betty lubiła praktyczne rzeczy. Nadto zegarek, jak każdy przedmiot oddany do lombardu, wiązał się z jakąś tragedią. Bo kto sprzedaje zegarek, jeśli nie jest do tego zmuszony? Być może właściciel znalazł się w potrzebie, może kierowała nim nienawiść albo jakaś mroczna tajemnica. Cokolwiek sprowadziło tu ów zegarek, jego historia przydawała mu patyny. Henry postanowił go kupić. Jeśli Betty rzuci mu nim w twarz, zawsze może go podarować Marcie na rocznicę ślubu.

Popołudnie, godzina czwarta. Najpiękniejsza pora dnia, kiedy za późno już na nadrobienie zaległości, gdy światło łagodnieje, a w szklance pobrzękują kostki lodu. Zamiast południowej drzemki człowiek pozwala sobie na long drink, wybaczając swoim nałogom, pisze niewidzialne listy i sam siebie eskortuje z tego strwonionego, niedorzecznie przeżytego dnia.

Henry spacerował po deptaku pełnym sklepów i kawiarni. Nałożył baseballówkę i duże ciemne okulary, by wyglądać jak prominent, który nie chce zostać rozpoznany. Nikt go jednak nie rozpoznał. Jakże często towarzyszyło mu uczucie, że niczego jeszcze w życiu nie dokonał, był niezdecydowany, czy nie powinien sobie tego wynagrodzić krótką wizytą w księgarni. Z okolicznych budynków tłumnie zaczęli wychodzić ludzie, większość z nich po ośmiu godzinach pracowicie spędzonych w biurze. Harowali za śmiesznie niską stawkę, odpowiedzialnie i sumiennie pracując dla rodziny, narodu i emerytury. Henry pragnął niekiedy być jednym z nich, wieść normalne życie, poczuć, jak to jest mieć czas wolny i być w zgodzie z samym sobą.

Wszedł do księgarni. Na stoliku tuż przy wejściu zobaczył dwie swoje powieści, ładnie wyeksponowane na podeście. Podpisał po kryjomu jeden egzemplarz, po czym opuścił księgarnię. Wciąż miał jeszcze trzy godziny. W opustoszałym sklepie z materiałami budowlanymi znalazł drewnianą pułapkę na kuny i kazał sobie objaśnić zasadę jej działania. Była zaskakująco tania, miała ponad metr długości i zasuwki na obu końcach. Sprzedawca zdjął ją z ogromnego regału.

– To jest nasz hotel dla kun – rzekł nie bez skromnej dumy w głosie. Otwierał i zamykał zasuwki. – Bydlę wchodzi do środka i nigdy więcej stamtąd nie wychodzi.

Henry poczuł mikroskopijne żyjątko, które skolonizowały żółtawy język sprzedawcy. Jakim sposobem, na litość boską, ten biedak znosił monotonię swego istnienia wśród tych wszystkich nowiutkich rupieci? By nie musieć wdychać dalszych wyjaśnień, pognął do kasy. Jeszcze dwie godziny.

W kinie mieszczącym się w pasażu zauważył anons koreańskiego filmu, w którym pewien człowiek, nie wiedząc z jakiego powodu, zostaje zamknięty na piętnaście lat w jednym pokoju. Henry się dziwił, dlaczego jemu się to nie przytrafiło. Kupił dwa bilety, jeden dla siebie, drugi dla pułapki na kuny. Leżała na sąsiednim fotelu, wyglądała jak dziecięca trumienka. Zanim film dobiegł końca i zapalono światło, Henry zabrał drewnianą skrzynkę i czmychnął z kina. Już czas.

Około godziny dziewiętnastej Henry znów podążał szosą w kierunku wybrzeża. Zapadał zmierzch. Nie wyminął go żaden samochód, deszcz padał przejrzystymi strumieniami. Minąwszy opuszczony przystanek autobusowy, skręcił w piaszczystą leśną drogę i z przygaszonymi światłami sunął powoli po betonowych płytach w stronę klifu.

Deszcz parował w zetknięciu z ciepłą ziemią, wokół unosiły się kłęby mgły. Na skraju klifu

rozciągał się teren porośnięty wysoką trawą i osłonięty od wiatru przez korony sosen. Spośród traw wyzierały gdzieś tam stare fundamenty i zardzewiałe żelazne pręty. Być może stał tu niegdyś bunkier albo stacja meteorologiczna. Henry poczuł, jak wilgotniejszą mu dłonie, a serce mocniej uderza. Skoro tylko ujrzał Betty, chciał wskoczyć do jej samochodu i od razu wszystko jej wyznać. Zerknął na zegarek, było przed ósmą. Wszystko musi się potoczyć sprawnie. Jego wiadomość będzie jak ostry nóż rzeźnika, bezboleśnie prowadzony pewną ręką. Być może będzie krzyczeć i go uderzy, z pewnością zaleje się łzami.

Zielone subaru Betty stało jak zawsze w pobliżu klifu. Henry wyłączył światła i podjechał od tyłu. Dostrzegł sylwetkę siedzącej za kierownicą Betty, oświetloną niewielką lampką przy wstecznym lusterku, w prawej ręce trzymała papierosa. Prawdopodobnie jak zwykle słuchała głośnej muzyki i jeszcze go nie zauważyła.

„Musi w końcu rzucić ten przeklęty nałóg – pomyślał. – Może zrobi to, gdy podaruję jej zegarek”.

Kiedy samochody zetknęły się zderzakami, Henry poczuł lekkie szarpnięcie. Dodał nieco gazu, jego maserati bez trudu pchnęło subaru do przodu. Henry spostrzegł zapalające się światła stopu, po czym samochód przechylił się przez krawędź klifu i zniknął mu z oczu.

Przez chwilę Henry siedział bez ruchu, nie wyłączył silnika. „Miejmy nadzieję, że *airbag* nie zadziałał” – przemknęło mu przez myśl. Zamknął oczy i oparł głowę o skórzaną zagłówek. Z pewnością próbuje teraz rozbić szybę i otworzyć drzwi. Tam w dole jest ciemno, zimna słona woda pomoże jej umrzeć. Być może zginęła od uderzenia o taflę wody, dziecko w jej brzuchu niczego nie zauważy, nawet nie wiedziało, że żyło, biedactwo.

Po jakichś dziesięciu minutach ponownie otworzył oczy i wyłączył silnik. Wsiadł, by się rozejrzeć. W jednej chwili deszcz przemoczył mu koszulę. Stał nad krawędzią klifu i spojrzał w dół. Stroma ściana opadała pionowo, pojazd spadł prosto do wody, nie uderzając o skały. Nie sposób było cokolwiek zobaczyć, mroczne, obojętne morze pochłonęło samochód. Byłby to stosowny moment, by skoczyć. Henry wszakże nie czuł nic prócz zimnych strug deszczu oraz pewności, że zrobił coś nieodwracalnego. Sprawdził przód swojego maserati. Żadnego wgniecenia przy tablicy rejestracyjnej. Przetarł miejsce kciukiem, deszcz kapał mu do oczu. Stał się oto przestępcą, mordercą. Dokładnie tak, jak to przewidział.

W drodze powrotnej wstąpił na stację benzynową i kupił paczkę gum do żucia, by zabić nieprzyjemny posmak w ustach. Zapłacił gotówką, otyła kasjerka wyglądała jak królik albinos, któremu powiodła się ucieczka z laboratorium. Spojrzał przy tym na swoje odbicie w wiszącym nad kasą lustrze. „No popatrz – przemknęło mu przez myśl – wyglądam jak zawsze”. Najpóźniej jutro po południu ktoś powiadomi policję. Kto to zrobi? Prawdopodobnie Moreany. Dobry człowiek, zawsze szybko dopadały go zmartwienia, a złe wieści błyskawicznie się rozchodzą. Wówczas nastąpi czas wyczekiwania, pojawi się nadzieja, rozpoczną dywagacje – aż w końcu spełnią się najczarniejsze obawy albo coś zgoła gorszego. Najgorsze zaś będzie samo oczekiwanie, co do tego Henry nie miał żadnych wątpliwości.

Rodzice oraz zatroskani przyjaciele prawdopodobnie zaczną jej szukać. Wystarają się o klucz i wejdą do mieszkania Betty. Tam znajdą przypięte w widocznym dla każdego miejscu, na tablicy korkowej obok lodówki, zdjęcie USG jego dziecka. Ależ skąd, kobieta w ciąży nie wiesza takiego zdjęcia na lodówce, już raczej nosi je wszędzie przy sobie, na przykład w torebce. Być może Betty zdradziła swojej ginekolog, kto jest ojcem. Ale właściwie po co? To nie miało nic do rzeczy. Przy okazji uświadomił sobie, że zawsze chciał zapytać Betty, czy pisze pamiętnik. Czyż każda kobieta nie prowadzi dziennika w pewnym okresie swego życia? Betty z pewnością nie jest tu wyjątkiem. Powinien był ją o to zapytać.

Henry stał już niemal w drzwiach, gdy usłyszał za sobą głos.

– Halo... proszę pana!

Przystanął, odwrócił się. Olbrzymi królik przy kasie machał paczką gum do żucia. Zapomniał ją zabrać.

Henry zawrócił, wziął paczuszkę, po czym wsiadł do samochodu. Ta kobieta będzie o nim pamiętać. Wcześniej czy później zjawi się u niego policja. Był na to przygotowany, przejdzie każdy test, gdyż nie ma sobie nic do zarzucenia. Zrobił to, co należało. Ruszył do domu, by zaparzyć Marcie herbatkę rumiankową.

W pokoju Marthy paliło się światło. A więc wróciła już na górę, na spotkanie ze swym nocnym pisarskim demonem. Henry odstawił po cichu na stopniu schodów pułapkę na kuny i czmychnął do kuchni, by nastawić wodę na herbatę i nakarmić psa. Ogromna kuchnia była jak zawsze wysprzątana, pachniało natłuszczonym metalem, Poncho jak zawsze merdał ogonem. Wszędzie panowała absolutna cisza, jak zawsze. Wszystko było jak zawsze. A potem zaświtała mu w głowie myśl o telefonie. Usiłował sobie przypomnieć, czy wyjął z niego małą kartę SIM. Postąpił nierozważnie.

Co, jeśli telefon nadal działa, a Betty, znalazłszy się w tarapatkach, zadzwoniła do niego? Bo i do kogo innego? Nie mogła przecież wiedzieć, że to *on* był owym mrocznym cieniem, który zepchnął ją z klifu, kto by się tego domyślił? Telefon w koszu na śmieci obok parkomatu pewnie zadzwonił, przecież go nie wyłączył. Może ktoś usłyszał dzwonek i odebrał? Ależ skąd, będąc pod wodą, nikt nie telefonuje. Żaden człowiek nie potrafi mówić pod wodą, usta i nos przeszywa mu przecież chłód. Człowiek chce żyć, przebiera rękami i nogami, wydmuchuje pęcherzyki powietrza, walczy, krwawiąc sobie ręce – nikt rozsądny nie telefonuje w takiej chwili. Prawda?

Henry oparł się ręką o blat kuchennej wyspy i łyknął szkockiej prosto z butelki. Papierosy. Betty zawsze rzucała w trawę tłące się niedopałki. Ileż to razy rozdeptywał je poirytowany, zapobiegając pożarom lasu. A to właśnie niedopałki zbierają zawsze śledczy, każde dziecko widziało to w telewizji. Pozostawiona na nich ślina Betty była wyraźnym śladem. A do tego jeszcze zwymiotowane przez niego lasagne, pełne DNA mordercy. Jakieś pół kilograma. Równie dobrze mógłby rozwiesić na drzewach tabliczkę ze swoim zdjęciem i numerem telefonu. Wystarczyło przyporządkować wymiociny. Czy nie powinien od razu zadzwonić do adwokata? Co jednak miałyby mu powiedzieć? Że bez żadnego planu zamordował swoją kochankę? Że zrobił to nieumyślnie, że po prostu zapomniał zahamować?

Nikt nie da temu wiary. Nie, najpierw powinien porozmawiać z Marthą, wszystko jej wyjaśnić, bądź co bądź zrobił to dla niej. Martha z pewnością go zrozumie i mu wybaczy. Martha nigdy nie żywiła do niego złości. Chociaż – może tym razem będzie jednak inaczej. Ale na pewno go nie zadenuncjuje. Biedaczka, kto by się o nią troszczył, gdyby go zabrakło?

Pod wpływem impulsu Henry podszedł do okna. Wciąż padało. „Tylko ja wiem, co zrobiłem – pomyślał. – Kto mógłby mnie podejrzewać? I kto będzie szukał akurat w pobliżu klifu? Nie sposób już znaleźć wyraźne ślady opon. To dobrze”. Deszcz i morze to jego sprzymierzeńcy, a przecież dotąd ich nie cierpiał.

Henry się odprężył. Na dobrą sprawę mógł to być przecież zwyczajny wypadek, nie, to nawet *był* wypadek. Wszystko bowiem potoczyłoby się tak samo i bez jego udziału, to był wyłącznie błąd Betty. Fatalna w skutkach nieuwaga. Zatrzymała się tuż przy krawędzi klifu, nie wrzuciła biegu, nawet nie zaciągnęła ręcznego hamulca – ot, bezmyślność, jaką wykazują czasem kobiety. Po prostu podjechała trochę za blisko. Kto pomyśli inaczej, kto mógłby twierdzić coś przeciwnego? I kto ją kiedykolwiek odnajdzie?

Odzyskawszy nieco spokoju, Henry włożył pantofle, wziął z sobą butelkę scotcha i zszedł po cichu do piwnicy na wino, by zapalić papierosa. Nie żeby miał co świętować, tytoń odpędza jednak złe myśli.



Przysiadł na drewnianym stolku pod nieoprawioną żarówką i wypalił całego papierosa. Jak wówczas, gdy zapalił pierwsze cygaro z zabarwioną pokrywą, znalezione w rzeczach zmarłego ojca.

Owej fatalnej, tragicznej w skutkach nocy, która z psychologicznego punktu widzenia wyznaczyła kres jego dzieciństwa, pijany ojciec Henry'ego wtoczył się, hałasując po schodach, by ukarać syna. Henry schował się pod łóżkiem, przesiąknięte moczem spodnie od piżamy kleiły mu się do ud. Ojciec wszedł do pokoju, sapiąc jak wół, jego cierpki piwny oddech zatruwał powietrze. Nawet nie włączył światła, od razu sięgnął pod łóżko i wyciągnął stamtąd chłopca. Henry wciąż czuł ten przeszywający uścisk, tę potężną siłę, z jaką stary złapał go za koszulę od piżamy, po czym dotknął spodni.

– Znowu wszystko zsikaleś, synu?!

Jasne, że tak. Zdarzało się to co noc. Ojciec targnął nim w kierunku schodów. Henry mocno uchwycił się poręczy i zaczął krzyczeć za mamą. To jeszcze bardziej rozwścieczyło starego. Szarpał chłopca, ten kurczowo trzymał się słupka poręczy – aż w pewnej chwili podarł się materiał piżamy, masywny mężczyzna stoczył się z hukiem po schodach aż na sam dół. Nigdy już nie wstał. Wyniesiono go z domu w czarnym plastikowym worku, przyglądali się temu wszyscy sąsiedzi. To, co się potem wydarzyło, miało się okazać znacznie gorsze.

Dziś, po tylu latach, pijany w sztok Henry wyszedł z piwnicy, potknął się o śpiącego psa i upadł bokiem na twarz. Ujrzał przed sobą powabnie tańczące światełka.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Poncho zerwał się na równe nogi, zaczął szczekać. Henry zerknął na zegarek, dochodziła jedenasta. „Policja” – z miejsca przyszło mu na myśl. Czy mogli być aż tak szybcy? Nowoczesna kryminalistyka, jak powszechnie wiadomo, dokonuje istnych cudów, ale jakim u licha sposobem tak szybko to wszystko ustalili? Może jednak to Betty zadzwoniła z samochodu. Wybrała nie jego numer, lecz policji. To była jej ostatnia zemsta, dom został otoczony, snajperzy ukryci wśród pól, lepiej żeby leżał, gdy wtargną do środka.

Henry leżał zatem jeszcze przez chwilę i obserwował, jak tłący się niedopałek wypala niewielką dziurę w drewnianej podłodze. Nie to jednak było teraz istotne. Przypomniał sobie wspaniały opis pióra Dostojewskiego, opis ostatniej minuty skazanego na śmierć człowieka, stojącego przed plutonem egzekucyjnym. Już nigdy żadna inna minuta nie będzie wypełniona taką intensywnością. Poza tym nie przepadał za Dostojewskim, gdyż był gadatliwy i zawile przeplatał swoje historie.

Znów rozległ się dzwonek.

Tym razem zadzwieczał energicznie, długo-długo-krótco, jakby ktoś nadawał morse'em. Henry ponownie spojrzął w przyszłość. Martha zejdzie zaraz po schodach. Będzie świadkiem okropnej sceny, gdy założą mu kajdanki i odczytają prawa. Prawdopodobnie spakuje szczoteczkę do zębów i bieliznę na zmianę. Z pewnością się przy tym rozplacze. Czemu to zrobiłeś? – zapyta. „Muszę przygotować sobie stosowną odpowiedź” – postanowił w myślach, po czym podniósł się, by otworzyć drzwi na spotkanie z nieuniknionym.

Na zewnątrz stała w deszczu Betty.

Była sama. Błada, z wyrazem powagi na twarzy. Pod płaszczem przeciwdeszczowym miała na sobie kostium w pepitkę, w którym wyglądała bajecznie. Blond włosy upięła wysoko, pewnie dlatego, że wiedziała, jak bardzo to lubił. Prezentowała się zaskakująco dobrze, wydawało się, że nie żywi do niego jakiegokolwiek urazy.

– Henry, twoja żona wie o wszystkim – oznajmiła.

Skomplikowane uczucie. Z jednej strony radość. Tak, ucieszyło go, że Martha zna prawdę, a Betty nie jest ranna. Na jej nieskazitelnej cerze nie było widać jakiegokolwiek zadrapania, nawet się nie przeziębila w lodowatej wodzie, to jednak mogło jeszcze nastąpić. Z drugiej jednak strony poczuł nie lada zdziwienie. Jakim sposobem Betty zdołała się uwolnić z tonącego subaru, nie niszcząc sobie przy

tym fryzury? Musiała jakoś dotrzeć do domu, by się przebrać. Dlaczego jednak zjawia się teraz u niego w świetnym humorze, zamiast udać się na policję? Brzmi zagadkowo. Cóż, z pewnością istnieje proste wyjaśnienie.

– Piłeś, Henry?

– Ja? Tak.

– Słuchaj, dzwoniłam do ciebie z pięćdziesiąt razy, ale ty nie raczyłeś odebrać telefonu.

Henry stwierdził, że w jej głosie nie czaił się żaden wyrzut. Dałby sobie głowę odciąć, że przynajmniej będzie mu czynić wymówki, bądź co bądź usiłował ją zabić. Zamiast tego zrobiła krok naprzód, by skryć się przed deszczem, pocałowała go w usta. Jej pocałunek smakował mentolem. Po raz pierwszy przekroczyła próg jego domu. Henry wyczuł woń konwaliowych perfum, które jej podarował. Nawet i na to znalazła czas.

– Tak tu ciemno. Skaleczyłeś się, mój biedny skarbie?

– Upadłem.

– Krwawisz. Zrozumiałeś, co powiedziałam?

– Nie. A co powiedziałaś?

– Mówiłam, że była u mnie Martha.

– Kto?

– Twoja żona. – Betty zaczęła mówić do niego jak do dziecka. Henry tego nie lubił, nie była to jednak odpowiednia chwila na takie błahostki. – Ona o wszystkim wiedziała. Czemu cały czas o tym milczałeś?

Henry dosłyszał własny oddech.

– Ile wie Martha?

Betty głośno się roześmiała.

– Nie zgrywaj durnia. Ona o nas wie. Wszystko. Wiedziała przez cały czas.

Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do piwnicy, by sprawdzić, czy pałac papierosa, przypadkiem nie zasnął.

– Opowiedziałaś jej? – zapytał.

– Ja? Nie, to ty jej o wszystkim powiedziałeś. – Betty ubodła go palcem wskazującym w pierś. Nie znosił tego.

– Odwiedziła mnie. W domu. Wszystko jest znacznie prostsze, niż sądziliśmy.

– Skąd wiedziała, gdzie mieszkasz?

Ta rozmowa zaczynała Betty nużyć. Zdjęła płaszcz.

– No więc, *to* mogła wiedzieć tylko od ciebie. Była smutna, rozzłoszczona i bardzo o ciebie zatroskana. Napiliśmy się razem herbaty, opowiedziała mi o twoim kryzysie twórczym. Ona naprawdę cię rozumie. I bardzo cię lubi. Potem pojechała w kierunku klifu.

Coś zmroziło pierś Henry'ego. Chłód wdarł się przez zębra, przeszył go na wylot. Betty spostrzegła, jak bardzo poszarzał na twarzy.

\*\*\*

Pokój Marthy był jak zawsze wysprzątny. Paliła się stojąca lampa, w maszynie do pisania tkwiła biała kartka papieru, kosz był pusty. Jej łóżko było starannie zasłane, na poduszce leżała otwarta książka, obok łóżka szlafrok. W łazience także jej nie było. Henry otworzył okno, przed domem stał w deszczu biały saab Marthy. Paliły się reflektory, działały wycieraczki. Głośno krzyknął jej imię, nikt jednak nie odpowiedział.

Kiedy schodził powoli po schodach, dostrzegł przeciwdeszczowy płaszcz Betty porzucony na pułapce na kuny. Obok stały jej smukłe buty. W toalecie dla gości było ciemno, drzwi uchylone,

również w kuchni nie paliło się światło. Henry podążył za wonią papierosa, przeszedł przez wyłożony drewnianą boazerią korytarz do swojego atelier. Bezgłośnie wyszła mu z mroku naprzeciw.

– Co się stało, Henry?

– Nie ma jej. Martha zniknęła.

– Jak to zniknęła? Tak po prostu?

– Dlaczego tu przyszłaś?

– Uzgodniłyśmy z Marthą, że znów zamienimy się samochodami. Poprosiła mnie o to. Jeszcze nie wróciła?

Betty chciała przejść obok niego ciemnym korytarzem. Chwytał ją mocno.

– Co robisz w moim atelier?

– Sprawiasz mi ból! Szukałam Marthy. Na pewno zaraz wróci. Nie martw się.

Henry zauważył, że nie trzyma już w palcach papierosa.

– O czym rozmawiałyście?

– A jak myślisz? Jasne, że o *tobie*. Rozmawiałyśmy przez dobrą godzinę. Ona cię ubóstwia. Potem jej powiedziałam, gdzie się zawsze spotykamy.

Henry jeszcze mocniej ją przytrzymał.

– Dlaczego? *Dlaczego* to zrobiłaś?

Betty aż się zwijała od uścisku.

– Chciała pojechać do ciebie. To dlatego ruszyła w kierunku klifu.

Wpatrywał się w jej twarz.

– Jak znalazła drogę?

– Cóż, to dlatego zamieniliśmy się autami. Ona nie ma nawigacji. W życiu by tego miejsca nie znalazła, rozumiesz? Tylko nie mów, że tam byłeś?

– Daj mi papierosa.

– Byłeś tam, prawda?

– Tak, byłem tam. Daj papierosa.

Betty wyjęła jednego z paczki, podała mu ogień. Ręce tak bardzo mu drżały, że Betty musiała je przytrzymać. Jej wzrok padł na drewnianą skrzynkę przy schodach, lecz o nią nie zapytała.

Nie było żadnych wątpliwości, Martha nie żyła. To ona siedziała w samochodzie, który zepchnął z klifu. Zniszczył swoje życie i zabił jedyne go człowieka, który kiedykolwiek naprawdę go kochał. Martha odeszła, a wraz z nią całe to dobre życie. Powróciły obrazy. Henry ujrzał, jak krzycząc bezgłośnie, uderza o szyby, jak usiłuje otworzyć drzwi, gdy przeraźliwie zimna woda wdziera się do płuc. Zobaczył umierającą Marthę.

Kiedy odwoził Betty do domu, Henry zaczął odczuwać postępującą odrętwiałość prawej połowy twarzy. Rozchodziła się od brwi przez skroń aż do ucha.

– Czy powiedziałaś jej o dziecku?

– Nie. O niczym nie wie.

– Nie okłamuj mnie, Betty!

– Czemu miałabym kłamać?

– Dzwoniłaś do kogoś? Rozmawiałaś z kimś?

– Czemu o to pytasz? Czy ona już *nigdy* nie wróci?

Betty siedziała obok niego dziwnie zeszywniała, kurczowo splotła palce z lakierowanymi paznokciami. Nie paliła, nie spoglądała na niego, nie zadawała więcej pytań, przynajmniej nie na głos. Henry patrzył skupiony na drogę. W myślach wrócił już do domu, zabił psa i opróżnił we wnętrzu kanister z benzyną. Zacznie od cholernej platformy wiertniczej, potem książki. Płomienie

błyskawicznie je strawią. Następnie drewniane schody. Pożar szybko obejmie też piętro, przekłeta kuna na poddaszu spłonie razem z nim. Tak to bywa, gdy ktoś się zakrada do obcego domu.

– Z nikim o tym nie rozmawiaj, słyszysz? Z nikim.

Betty wysiadła. Przeszła pięćdziesiąt kroków dzielących ją od mieszkania, czując na sobie odprowadzający ją wzrok Henry'ego.

Deszcz zelżał. Gdy Henry wrócił do domu, wszystkie okna spowijał mrok, jedynie w pokoju Marthy na piętrze jarzyło się światło. Choć wiedział, że jej nie znajdzie, przeszukał cały dom. Z palącą pewnością, która przemieniła się już w ból fantomowy, otwierał drzwi, wołał jej imię, z latarką w dłoni zaglądał za regały, do szaf i kątów, jakby to była dziecinna zabawa w chowanego. Oczywiście nie odpowiedziała na jego okrzyki, gdyż leżała na dnie morza, świadomość tego była jednak zwyczajnie nie do zniesienia, toteż zawołał jeszcze z tuzin razy.

W swoim atelier znalazł zgaszonego papierosa Betty. Żaluzje były opuszczone, nie mogła wiele zobaczyć, nie dość, by zrozumieć. Tak czy owak, wślizgnęła się w pończochach do jego pokoju na przespiesi.

Odstawił saaba Marthy do stodoły. Przeszukał samochód, znalazł jednak tylko stary drewniak, pożółkłe mapy i puste butelki. Całe wnętrze wciąż wypełniała woń konwaliowych perfum Betty. Pies podreptał za nim, dysząc, gdy z łopata i dwoma kanistrami benzyny wyszedł ze stodoły i skierował się do kuchni. Zamierzał najpierw podpalić dom, a potem rzucić się do studni za kaplicą. Odstawił kanistry, położył ostrą łopatę na blacie i wypił resztę whisky prosto z butelki. Skoro tylko będzie już dość pijany, odetnie Poncho głowę. Choć nie przestawał pić, nadal był trzeźwy. „Smakuje jak whisky, ale to musi być woda, w przeciwnym razie byłbym już zalany w trupa” – przemknęło mu przez myśl. Wyjął ze zlewu gumowe rękawice. „Dobra, miejmy to już za sobą. Chodź no tu, cholerny kundlu”.

Pies umknął. Henry zataczał się po całym domu, uderzył się w piszczel, po czym zmienił swój plan.

Sięgnął po zieloną parkę Marthy, z kosza na bieliznę wyjął brudne ubranie, potem upchał bieliznę, sandały, koszulę i spodnie do plastikowej torby. Następnie ostrożnie umieścił jej składak w bagażniku swego maserati i ruszył w drogę. W lusterku wstecznym dostrzegł dwa żółte błyszczące punkty. Były to oczy psa, odprowadzał go wzrokiem. Zwierzę o wszystkim wiedziało.

Czwarta nad ranem, na godzinę przed wschodem słońca. Wąska droga prowadząca do zatoki wiodła przez osadę. Jasna poświata księżycy połyskiwała na dachach domów. Henry, wyłączwszy światła w samochodzie, przemykał powoli między zabudowaniami. Jakiś kot przebiegł mu drogę. W pysku niósł nocną zdobycz.

Nie mogąc zasnąć, jak zawsze przy pełni księżycy, Obradin stał przy oknie. Palił właśnie papierosa, gdy maserati przetoczyło się pod jego domem. Usłyszał znajomy bulgot silnika i rozpoznał płynną linię karoserii. Bez istotnego powodu nikt nie jedzie nocą bez włączonych świateł w stronę portu. Jeśli Henry nie zamierza umieścić samochodu na statku i wysłać go za ocean, prędzej czy później będzie musiał wracać tą samą drogą. W łóżku pod ścianą zasnana Helga odwróciła się i wyciągnęła za nim mięsistą rękę. Obradin wyjął z trzymanej w szafie blaszanej skrzyni swój rosyjski noktowizor, napoczął nową paczkę papierosów, stanął na powrót przy oknie i czekał.

Zatoka ciągnęła się za niewielkim portem rybackim. Henry przeniósł rower po kamienistej plaży i oparł go o rozłupaną skałę, tak jak zwykła to robić Martha. Parkę z kapuzą przewiesił przez kierownicę, ubranie ułożył starannie obok roweru, jak zrobiłaby to Martha. Następnie spojrzał na zimno połyskujące morze. Czy ryby pożerały już jej ciało, czy może zwłoki zostaną wyrzucone na brzeg? Czy będzie miała jeszcze na sobie ubranie? „Jakże dyletancko postąpiłem – pomyślał – czemu w ogóle to zrobiłem?” Odwieczny metronom morskiej kipieli toczył kamyki tam i z powrotem, by z wolna zetrzeć je na piasek. Martha zawsze lubiła morze. Właściwie dlaczego?

Zgodnie z przewidywaniami Obradina pół godziny później pod jego oknem przetoczyło się maserati. Reflektory nadal były wyłączone. Na zielonym obrazie noktowizora dostrzegł siedzącego za kierownicą Henry'ego. Po gruntownych przemyśleniach Obradin doszedł do wniosku, że poeta może mieć wiele powodów, by jechać nocą do portu z wyłączonymi światłami, ot, na przykład pogoń za *mot juste*, by wymienić tylko jeden przekonujący argument. Poszukiwanie odpowiedniego słowa wyganiało Flauberta nocą z domu, Prousta zapędzało do łóżka, Nietzschego zaś wpędziło w obłąd – czemu do diaska miałyby to ominąć Henry'ego Haydena? Elegancka konkluzja, która przyniosła Obradinowi chwilową ulgę. Gdy szum silnika ucichł, położył się do łóżka obok żony i natychmiast zasnął.

Tuż przed wschodem słońca Henry wrócił do domu. Pies czekał na niego w tym samym miejscu. Poczłapał za nim do środka. W kominku spalił kostium kąpielowy Marthy, usiadł w fotelu i przyglądał się, jak płonący poliester stapia się w kulę ognia. Kupił go okazjnie przy nadbrzeżnej promenadzie w horrendalnie drogim San Remo. Świetnie na niej leżał, podkreślał jej szczupłą, lecz nie wychudzoną talię. Przeglądała się w nim w lustrze i cieszyła jak dziecko. Potem napili się razem campari i pisali kartki pocztowe. „Szczęścia można zakosztować jedynie we dwoje” – pomyślał wówczas. A teraz wszystko minęło. Zwęglone w twardy kawałek plastiku.

Wskutek ciepła bijącego z kominka Henry poczuł zdrętwienie prawej połowy twarzy. Sięgało przez policzek aż do nozdrzy. Koniuszkami palców dotknął skóry. „Zaczynam gnić – skonstatował. – Rozkładam się od środka. Masz za swoje”.

A potem usłyszał nad sobą zgrzyt ostrych zębów.

## VI

– Martha?

Henry wszedł z ogrodu do wnętrza domu. Zdjął kalosze przy pacholku do butów i zaczął nasłuchiwać. Zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Właściwie powinna jeszcze spać, ale... Zastanawiające, jej rower nie stał tam, gdzie zazwyczaj. Nie był oparty o ścianę przy drzwiach.

W kuchni Henry gotował właśnie zupę jarzynową, wybiegł na chwilę do ogrodu po parę szalotek. Położył je na kuchennym blacie obok ładnie zapakowanego patka philippe'a. Pies obwąchiwał jego spodnie.

– Gdzie Martha, Poncho?

Pies przekrzywił łeb. „Czego ty chcesz ode mnie?” – zdawał się pytać.

– W takim razie sam poszukam.

Henry wszedł po schodach na piętro, zapukał cicho do drzwi jej pokoju.

– Martha?

Położył dłoń na klamce, ostrożnie otworzył drzwi.

– Kochanie? Nie śpisz już?

Lampa się paliła, łóżko było starannie zasłane, na poduszce leżała otwarta książka. W ślad za Henrym wślizgnął się do pokoju pies, zaczął węszyć. W łazience także jej nie było. Henry otworzył okno, krzyknął głośno jej imię, lecz nie odpowiedziała. To do niej niepodobne. Lecz to jeszcze nie powód do zmartwień. Może jest w stodole.

Nieco szybciej zbiegł po schodach, włożył kalosze i wyszedł z domu. Otworzył drzwi do stodoły, w środku wciąż stał jej saab. Może po prostu wcześniej wstała, zabrała rower i pojechała nad morze.

Henry zamknął drzwi do stodoły. Zamyślił się. Przecież wie, że już nie śpię, nie wyszłaby z domu ot tak, po prostu, nie mówiąc mi o tym. Nie, tak by nie postąpiła. Henry postanowił pojechać nad morze i tam jej poszukać.

Otworzył boczne drzwi, by wpuścić Poncho na siedzenie pasażera. Pies uwielbiał jazdę samochodem. A jednak nie wskoczył do środka, lecz położył się i przywarł pyskiem do ziemi. Robił tak tylko wtedy, gdy Henry zjawiał się z ogrodowym węzem, by go opłukać po tym, jak wytarzał się w padlinie. Henry wyjął z torby kawałek suszonego mięsa, uniósł, lecz pies ani drgnął. Rzucił mu przysmak, wsiadł i uruchomił silnik. Pies o wszystkim wiedział.

Obradin właśnie podnosił żaluzje w oknie wystawowym, gdy Henry przystanął przed jego sklepem i opuścił boczną szybę.

– Obradynie, widziałeś moją żonę? Przechodziła tędy?

Obradin potrząsnął głową.

– Widziałem tylko moją. Mam dorsza. Chcesz?

– Później.

– Złapałeś kunę?

– Jeszcze nie.

Henry powoli odjechał. W lusterku wstecznym zauważył, że Obradin za nim patrzył. Na rozwidleniu dróg przed portem skręcił na zachód i minutę później dotarł do zatoki. Wiatr powiewał od strony morza, czerwona flaga ostrzegająca przed niebezpiecznymi prądami gwałtownie trzepotała. Henry zostawił kluczyk w stacyjce, wysiadł i przebiegł sto metrów po kamienistej plaży aż nad samą wodę. Rower Marthy nadal stał oparty o skałę. A jednak jej zielona parka nie wisiła już na kierownicy.

Wiatr rozrzucił po plaży ubranie, części jej garderoby widniały między skałami. Dostrzegł jeden z jej zielonych gumowych sandałów, schylił się, podniósł go. Wysuszone strzępy wodorostów tańczyły po kamieniach. Morska kipiela miała teraz barwę popielatą, połyskiwały na niej białe korony piany.

Tuż nad wodą stała Martha w zielonej parce.

Kiedy ją zobaczył, jego serce wstrzymało swój rytm, oblała go fala gorąca, kolana się pod nim ugięły. Stała odwrócona do niego plecami, boso, wysoko podkasała nogawki spodni. Włosy skryła pod kapuzą. Właśnie się pochyliła, podniosła kamyk. Henry ruszył ku niej po kamieniach.

– Martha!

Przeżona odwróciła się ku niemu. Henry stanął jak wryty. Nie, to nie ona. Była znacznie młodsza, miała zaróżowioną od wiatru twarz, uśmiechała się wystraszona.

– Przepraszam. Myślałem, że to moja żona. To jej parka.

Kobieta zsunęła z głowy kapuzę, Henry ujrzał jej czerwonobrunatne krótkie włosy. Była młoda, nie miała nawet trzydziestki, zaczęła rozpinać parkę. „Jeśli Bóg jest równoznaczny z naturą – pomyślał Henry – to wówczas nie ma powodu, by wątpić w jego istnienie”.

– Nie, proszę ją sobie zatrzymać.

Trzymając w dłoni sandał Marthy, przysłonił oczy i spojrzał uważnie w morze. Kobieta podążyła za jego wzrokiem.

– Szuka pan kogoś?

– Mojej żony. Jest mniej więcej pani wzrostu i w moim wieku.

Obejrzała się.

– Przykro mi, nikogo tu nie widziałam. – Przepraszający uśmiech odsłonił jej białe zęby w mocnych różowych dziąsłach.

– Jak długo pani tu jest?

– Z pewnością godzinę albo dłużej.

Henry wskazał na rozlupaną skałę za plecami.

– Tam stoi jej rower. Ona musi gdzieś tu być.

Pognał przed siebie. Biegł wzdłuż linii wody i spoglądał w morze. Młoda kobieta rozejrzała się wokół, ruszyła w kierunku roweru, przeszukała skały. Henry dostrzegł kątem oka, jak pochyła się nad bielizną, by ją pozbierać.

Henry biegł z jednego krańca plaży na drugi, woda chlupotała mu w butach. Bez tchu dobiegł w końcu do miejsca, gdzie stał rower. Młoda kobieta przysiadła na kamieniu, na kolanach trzymała zebraną bieliznę. Widziała, jak Henry opadł na kolana i skrył twarz w dłoniach.

Wciąż siedziała na kamieniu, gdy ratownicy wodni ze straży pożarnej opuszczali na wodę zmotoryzowane pontony. Dwie godziny później nadleciał helikopter marynarki i zaczął zataczać kręgi. Miejscowi rybacy razem z psami przeszukiwali okolice zatoki.

Mimo hałasu w maszynowni starego kutra Obradin dosłyszał huk wirników. Wyszedł przez kłęby dymu na pokład „Driny” i ujrzał, jak ciężki helikopter marynarki krąży nisko nad zatoką. Mogło to znaczyć tylko jedno: szukano topielca albo uszkodzonego statku. Obradin zszedł pod pokład i wyłączył silnik. Diesel jego „Driny” długo już nie pociągnie. Wyraźnie tracił moc sprężania i wyrzucał nawet olej. Jego czas dobiegał końca, Obradin nie miał pojęcia, skąd miałby wziąć pieniądze na nowy silnik. „Drina” nie była trawlerem dalekomorskim. Od kiedy śledzie nie występowały już w nieprzebranych ilościach, Obradin wypływał coraz dalej w głąb morza. Nawet przy wysokiej fali bezlitośnie zamęczał starego diesla, a teraz silnik odmawiał posłuszeństwa. Nadszedł jego kres.

Gdy Obradin dotarł do plaży i wyskoczył z samochodu, ujrzał Henry’ego stojącego po pas w morskiej kipieli. Dwaj mężczyźni pochwycili go i wyciągali z wody. Przytrzymywali go w krótkiej

drodze do karetki. Miał pobladałą twarz, czuł zawroty głowy. W zatoce zgromadziła się już połowa miasteczka, nikt nie odezwał się słowem, wszyscy myśleli o tym samym. Obradin zauważył spojrzenie Henry'ego, jego oczy były ciemne jak stopiony kwarc, w jaki piorun zmienia piasek.

Elenor Reens, krótkowłosa niska burmistrzynie w żółtej wodoodpornej odzieży, podała Obradinowi lornetkę i podsumowała nieuchronną prawdę:

– Nie będzie pogrzebu. Uniosło ją już bardzo daleko.

Obradin zerknął przez lornetkę, po czym się przeżegnał. Nic więcej nie mógł zrobić.

Pod wieczór wiatr jeszcze się wzmógł. W pobliżu plaży krążyły dwa trawlerzy ze szperaczami, zjawił się też statek straży przybrzeżnej z nurkami, choć od dawna nie było już żadnej nadziei. O północy zakończono poszukiwania. Jedno za drugim gasły w okolicy światła. Jedyne w gospodzie przy porcie jeszcze długo popijano i rozmawiano o wydarzeniach dnia. Nikt nie wątpił w to, że cicha, niepozorna żona pisarza została podczas kąpieli porwana przez prąd i uniesiona na otwarte morze, gdzie w końcu utonęła. Każdy ją widywał, nikt jednak nie znał, zawsze była tylko żoną pisarza. Rzadko wychodziła na zakupy albo spacerowała po osadzie. Bez względu na aurę przyjeżdżała na rowerze nad zatokę, by się kąpać, zawsze sama. Mieszkańcy współczuli samotnemu mężczyźnie, który tę noc będzie musiał spędzić bez żony, bez pocieszenia i nadziei na jej powrót.



## VII

Nie istnieje cisza, która mogłaby dorównać nieobecności drugiego człowieka. Wyzuta z wszelkiej zażyłości, cisza ta jest wroga i pełna wyrzutów. Bezgłośnie pojawiają się cienie wspomnień i zaczynają swą grę obrazów. Urojenia i rzeczywistość mieszają się, wzywają nas głosy, powraca przeszłość.

Henry długo stał w mrocznym domu, zamknąwszy za sobą drzwi, nasłuchiwał. Nie był to już ten sam dom. Martha zniknęła – on zaś w nikczemny sposób został sam, uwięziony z demonem sumienia, który bez wątpienia go zaatakuję. Uśmiercił niewłaściwą kobietę, odebrał sobie wszystko, zniweczył w pochopnym akcie, pozbawionym konieczności i jakiegokolwiek sensu. Kara już się dlań zaczęła, każdego dnia, wciąż na nowo będzie w nim ożywać wspomnienie. *Strzegąc swej tajemnicy, nigdy nie możesz poniechać ostrożności* – tymi słowami Martha zaczęła pierwszy rozdział książki *Szczególne brzemie winy* – *nikomu nie możesz się zwierzać, nigdy też zapomnieć*. Pisząc to zdanie, Martha z całą pewnością miała na myśli jego. Bo i kogóż innego?

Jego iście teatralne poszukiwania na plaży okazały się przekonujące. Spotkanie z młodą kobietą było darem przypadku, co bowiem może być bardziej autentyczne niż przypadek? Niczego niepodejrzewająca kobieta zbiera na plaży kamyki i staje się świadkiem tragedii. Wraz z oszalałym z bólu człowiekiem przeszukuje okolicę, wzywa straż pożarną i zbiera osieroconą bieliznę Marthy, płacze wraz z nim, razem z nim cierpi, dokładnie wszystko widzi. To zaiste autentyczne.

Kłamcy spośród nas będą wiedzieć, że każde kłamstwo musi zawierać kwant prawdy, by stało się przekonujące. Zazwyczaj wystarczy jej odrobina, a jednak jest nieodzowna, jak oliwka w martini.

Pomysł, by poszukać Marthy, nasunął się Henry'emu w chwili, gdy zamierzał powiadomić policję. Trzymając w dłoni słuchawkę telefonu, uzmysłowił sobie, że lepiej samemu przeżyć to, w co się chce uwierzyć. O kłamstwie szybko się zapomina, kłamstwo musi się wryć w pamięć. To uciążliwe, z czasem każde kłamstwo staje się niewypałem, a tym samym robi się niebezpieczne. Henry miał tego świadomość. Kłamstwa pущzone w niepamięć nierzadko tkwią długo pod powierzchnią, pokrywają się rdzą, gdyż nikt ich nie zauważa. Człowiek staje się beztroski, nieostrożny, zapomina. Inni jednak nie zapominają. Kto zatem nie wie już, gdzie kryją się zapomniane kłamstwa, powinien je szerokim łukiem omijać. Biografia Henry'ego pełna była takich niebezpiecznych kwestii, to dlatego nigdy nie wracał do swej przeszłości, owego terenu najeżonego minami. To, co autentycznie przeżyte, pamięć przechowuje przez długi czas. Zawierając temu doświadczeniu, Henry ruszył na poszukiwanie martwej żony, by doświadczyć narastającego niepokoju oraz troski, jaką odczuwałby pewnie każdy porządny mąż. Doszło do tego, że na plaży rzeczywiście bardzo źle się poczuł. Ogarnęło go prawdziwe przerażenie, zapłakał gorzkimi łzami płynącymi z głębi jego serca. A młoda kobieta wszystko to widziała. Jak dotąd szło doskonale.

Wciąż poruszony, Henry przysiadł na pułapce na kuny i zdjął wypełnione piaskiem buty, woda z mokrych skarpet kapąła na drewnianą podłogę. Uniósł wzrok, spojrzął na schody. Pierwsze stopnie były jeszcze widoczne w słabej poświacie księżycy, wyższe niknęły w ciemnościach. Tam na górze nikogo już nie ma – prócz kuny, nią jeszcze się zajmie. Od tej pory będzie żył wspomnieniami, nie ukáže się żadna nowa powieść.

Henry aż podskoczył. Powieść! W sierpniu obiecał Moreany'emu ukończony manuskrypt. Gdzie on jest? Czyżby go w tym zamęcie przeoczył?

Henry wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Przed zamkniętymi drzwiami do pokoju Marthy leżał pies, przywarł pyskiem do drewnianej podłogi. Manuskrypt nie leżał jak zwykle na

stoliku obok maszyny do pisania. Kosz na papiery był jak zawsze pusty. Henry padł na podłogę i zajrzał pod łóżko, przetrząsnął szafę, łóżko, łazienkę – manuskryptu ani śladu. Otworzył okno, rozpiął koszulę, było mu nieznośnie gorąco. Przysiadł na łóżku Marthy. Do pokoju przydreptał Poncho, ułożył się przy jego stopach i przystąpił do pielęgnacji sierści.

Martha o wszystkim wiedziała. Zanim pojechała wczoraj do Betty, spaliła powieść w kominku – albo, co gorsza, wysłała ją Moreany'emu. Przesyłką poleconą, z dołączonym bilecikiem, na którym swym ładnym, kształtnym, kobiecym pismem odręcznym dopisała pozdrowienia. Na przykład takie:

*Milej lektury, Claus. Henry nie napisał z tego ani linijki, nigdy nic nie napisał, on nie potrafi nawet sklecić szkolnego wypracowania. To nie żart, mówię całkiem serio. Jedyne, czego mój mąż przez lata naszego małżeństwa dokonał, to splotzenie bękartu. Jeśli akurat ty, Betty, zajmiesz się redakcją mojej ostatniej powieści, bądź pewna, że dziecko w twoim brzuchu będzie takie samo i skończy tak samo jak jego ojciec. Bezwartościowe od urodzenia, stworzenie pozbawione znaczenia. Notabene, Henry zabił własnego ojca. Zapytaj go przy okazji, gdzie jest pochowana jego matka. Prośba do ciebie, Claus, jeśli jutro nie będę już żyła, bądź tak dobry i powiadom odpowiednie władze.*

Henry podniósł się z łóżka Marthy. Nie. Tego by mu nie zrobiła, denuncjacja to nie w jej stylu. Uraza i odwet były jej równie obce jak pragnienie sławy. Henry nigdy by zresztą nie poślubił kobiety o tak niskich instynktach. Zemstą Marthy będzie cisza, która pokrywała już wszystko dokoła niczym trujący kurz. I znów to okropne chrobotanie. Przenikało przez ścianę. Kuna musi się czaić tuż nad jego głową.

Henry przeszukiwał dom do bladego świtu. W kominku nie było spopielonego papieru, jedynie drobne kulki stopionego kostiumu kąpielowego Marthy. Również w starannie segregowanych śmieciach w kuchni niczego nie znalazł. W końcu dał za wygraną, zmęczony i zrezygnowany poszedł do sypialni, by się położyć. Tam, na poduszce, leżał manuskrypt. Na pierwszej stronie widniał napisany ołówkiem tytuł *Biały mrok*. A więc Martha obmyśliła także tytuł. Manuskrypt spięty był gumką do weków. Henry ją zerwał. Brakowało ostatniego rozdziału. *Najdroższy... – zanotowała Martha ołówkiem na ostatniej stronie – ...jeszcze odrobina cierpliwości. Domyślasz się, jak to się zakończy? Całuję. Martha.*

\*\*\*

Betty nie przyszła. Claus Moreany schował ostatnie wyniki RM do szuflady biurka i zamknął ją. Przerzuty nowotworu z okolic biodra objęły już kręgosłup, zostało mu jednak jeszcze trochę czasu. W sierpniu Henry przedłożył mu manuskrypt. Nim książka się ukaże, zdąży jeszcze wyruszyć w podróż poślubną do późnoletniej Wenecji. Betty lubiła Wenecję. Uwielbiała sztukę renesansu, zielone od glonów wody laguny oraz słońce Italii. Jako jego żona odziedziczy po nim cały majątek – czemu miałaby powiedzieć „nie”? Moreany niczego za to od niej nie oczekiwał ani nie wymagał, prócz okazjonalnego przywileju jej bliskości. Nawet nie musiała go dotykać. Wstręt młodości do starczych wyziewów wciąż był obecny w jego pamięci. Nie tak dawno znów poczuł woń starości, gdy dzielił łożę operową z dawną koleżanką z ostatniej klasy gimnazjum. Jej pokryty meszkiem byczy kark wystawał spod wieczorowej sukni, zapach przeżytej egzystencji obrzydził mu całą *Traviatę*. Dręczyła go myśl, że sam tak będzie pachniał i nic na to nie poradzi.

Moreany miał obecnie lat siedemdziesiąt jeden, prawie czterdzieści więcej niż Betty. Chemioterapia nie wchodziła w rachubę, pozbawiłaby go włosów oraz resztek męskości. Może zyskałby jakiś dodatkowy rok, ale za jaką cenę? Na szczęście rak dokonywał dzieła zniszczenia w sposób tak powolny, jakby przed ostatecznym końcem sam chciał raz jeszcze zobaczyć Wenecję. Moreany nie wierzył, że dożyje następnego lata – nie mówiąc już o tym, że doczeka narodzin potomka. Betty była jednak młoda, po jego śmierci może ponownie wyjść za mąż, mieć dzieci z innym

mężczyzną i założyć rodzinę. Jej dzieci wychowywałyby się wówczas w ich wspólnym domu, bawiłyby się w jego ogrodzie i dorastały w cieniu klonów zasadzonych przez jego ojca w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Betty byłaby zabezpieczona do końca życia, prowadziła wydawnictwo i czuwała nad jego przyszłością z takim samym oddaniem, z jakim obecnie wykonywała swoją pracę. Claus Moreany nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Drzwi do jego wyłożonego drewnem biura były jak zwykle otwarte. Wybiła właśnie dziesiąta. Zniecierpliwiony Moreany wstał zza biurka, z drewnianego pudełka wyjął kartkę papieru przeznaczonego do wewnętrznej korespondencji i wyszedł do sąsiedniego pokoju, w którym pracowała jego sekretarka.

Honor Eisendraht przerwała korektę tekstu i zerknęła na niedorzeczny papier, który jej podsunęto. Od ponad dwudziestu lat pracowała w sekretariacie Moreany'ego. Po kilku tłustych latach zaczął się powolny upadek wydawnictwa, Honor była świadkiem zmagania Moreany'ego z własną starością oraz spadającą sprzedażą. Kiedy firma zaczęła przynosić straty, stroiła się w żywsze kolory i poszła do fryzjera, by tchnąć w Moreany'ego nadzieję.

Wierzyła w moc niewidzialnych znaków, które, podobne ukrytym drogowskazom, wszystkim prawdziwie poszukującym wskazują cel. Stopniowo, z dyskretną systematycznością wymieniła w biurze Moreany'ego ponure kalendarze, usunęła z regałów słabo sprzedające się pozycje planu wydawniczego, od lat parzyła też bezkofeinową mokrą ze szczyptą kardamonu. Odprężające działanie tej rośliny z rodziny imbirowatych zapobiegło już wybuchowi niejednej wojny. Moreany zdawał się nie zauważać żadnego pozytywnego jej wpływu, co tylko utwierdziło Honor w przekonaniu, że dawkowanie było właściwe. Czuł się znacznie lepiej, odkąd cienisty półmrok jego biura pachniał subtelnie maghrebską miętą i drewnem sandałowym, a kwiaty na jego biurku już nie przekwitały.

Mimo tej delikatnej interwencji groźba bankructwa coraz bardziej ciążyła nad wydawnictwem. Słabła energia, z jaką Moreany przez tak długi czas kierował firmą. Tymczasem Honor zajmowała się jego prywatną korespondencją i przejęła również kontrolę nad największą świętością – księgowością. Intuicyjne rozumienie liczb i miar to dar, którego nie można nabyć ani się wyuczyć. Na partyturze rocznego bilansu Honor dostrzegała procesową naturę przedsiębiorstwa, źródło dodatkowych dochodów znalazła w sprzedaży licencji i praw do ekranizacji. Nie uszło jej uwagi, że na przestrzeni lat wydawnictwo przynosiło jednak straty. Podobnie jak i to, że Moreany przygotowywał rozporządzenia testamentowe oraz regularnie odwiedzał lekarza. Pojawili się pierwsi inwestorzy. Zwiertrzyli krew, przyprowadzali z sobą audytorów. Gdy sępy taksowały wzrokiem inwentarz, Honor podawała kawę parzoną w starej wodzie spod kwiatów oraz pieczywo, po czym wracała do swojego pokoju. Nie musiała długo czekać, aż pierwszy zapytał o drogę do toalety. I z niej już nie wrócił.

A jednak wszystko wskazywało na to, że krach wydawnictwa jest tylko kwestią czasu. Cicha nadzieja Honor Eisendraht, że jej godzina u boku Moreany'ego wkrótce wybije, rozwiła się w chwili, kiedy do jej biura weszła ta zarozumiała, głupiutka i o wiele za młoda kobieta z manuskryptem *Franka Ellisa* pod pachą.

Honor oceniła, że Betty jest od niej dwukrotnie młodsza. Miała gładką cerę, jędrne ciało i piękną figurę. W ramach otwartego wypowiedzenia wojny nosiła krótką spódnicę w czarno-białą kratę. Lufy strzelnicze jej ud były wycelowane prosto w Moreany'ego, który zerwał się zza biurka, gdy weszła do jego gabinetu. Po wymianie kilku słów Moreany zamknął drzwi, czego nigdy dotąd nie robił. To był koszmarnie długi dzień. Ta kobieta przebywała u niego ponad trzy godziny. Honor słyszała, jak jej szef telefonuje, nie kazał jednak, jak dotychczas, łączyć rozmowy przez sekretariat, lecz sam wybrał numer. To był również zły znak. W końcu wszedł podekscytowany z manuskryptem w ręce do jej pokoju i poprosił, by postarała się o szampana. Z jego biura roznosiła się woń papierosów i konwaliowych

perfum. Honor dostrzegła szew pończoch na stopie Betty, kołyszącej się w Eames chair Moreany'ego.

Honor poszła do supermarketu za rogiem, kupiła szampana, a ze stołówki zabrała także kilka kieliszków. Sama na toast nie została zaproszona. Po zamknięciu biura przewietrzyła pokój i posprzątała biuro Moreany'ego. Umyła kieliszki, opróżniła stojącą na biurku pełną popielniczkę i przeliczyła niedopałki ze śladami szminki. Był dwudziesty trzeci marca. Moreany zapomniał o jej urodzinach. Największym wrogiem mężczyzny jest on sam, wrogiem kobiety jest inna kobieta.

Sukces *Franka Ellisa* wszystko zmienił. Moreany rozkwitł. Betty zjawiała się codziennie na Bóg raczy wiedzieć jakie konsultacje. Witła ją jak jakąś służącą, wypowiadając wyraźnie protekcyjne „Dzień dobry, Honor”, po czym zamykała drzwi do gabinetu Moreany'ego, zostawiając za sobą jedynie woń swoich wstrętnych, pachnących taniochą konwaliowych perfum.

Powiadają, że draceny spełniają ciche życzenia. Honor zakupiła jedną i postawiła w swoim biurze przy oknie. Roślina wypuszczała mieczowate liście, przypominające kształtem małe sztylety. I rzeczywiście, pół roku później wizyty Betty stały się rzadsze. Na drzewku Honor zauważyła pierwsze, przyjemnie pachnące kwiaty. „Betty zabiera pracę do domu” – wyjaśnił jej Moreany z miną człowieka niezbyt szczęśliwego. O jaką to pracę chodziło, tego Honor wiedzieć nie chciała. A więc zrozumiał wreszcie, że jest dla niej za stary. Albo i lepiej, to Betty znalazła sobie innego faceta, młodego durnego samca, który uległ jej powabom. Drzwi do gabinetu Moreany'ego znów pozostawały uchylone – dracena zakwitła.

– Betty jeszcze nie przyszła? – zapytał Moreany z arkuszem papieru w dłoni.

Honor Eisendraht wstała, podeszła do okna i zerknęła na parking.

– Nie ma jej samochodu.

Moreany się zirytował. Dlaczego zdradził niecierpliwość swego serca, zamiast samemu wyjrzieć przez okno? W tej właśnie chwili w progu stanęła Betty. Miała na sobie zielonoszary kostium podkreślający jej fenomenalną talię. Wyglądała na nieco zmęczoną, była bledsza niż zazwyczaj.

– Przepraszam, Claus, samochód mi nawalił. Musiałam wynająć inny.

Honor Eisendraht przyjęła do wiadomości, że przeprosiny Betty nie były skierowane do niej. Obie kobiety już od dawna nie raczyły nawet na siebie spojrzeć. Moreany wycofał się do swego gabinetu, by nie zmoknąć, kiedy bowiem ciepły front Betty zderzał się z niżem Honor, w sekretariacie zrywała się ulewa.

Betty jak zwykle zamknęła za sobą drzwi, po czym położyła na biurku dwie opinie redakcyjne. Wyjęła z paczki nieodzownego mentolowego papierosa, Moreany podsunął jej ogień.

– Rozmawiałem wczoraj z Henrym. Jego manuskrypt będzie gotowy w sierpniu. Zadzwoił do ciebie?

– Do mnie? Nie.

– Napomknął, że ma kłopoty z zakończeniem.

Betty zaciągnęła się dymem.

– Czyż nie każdy je ma? To znaczy, czy nie trzeba ich mieć, czy to nie jest całkiem normalne?

– On nie potrafi się zdecydować.

– Tak powiedział? Co miał na myśli?

Honor podała kawę, oboje odczekali w milczeniu, aż wyjdzie. Moreany dostrzegł ziarenka suchego piasku na prawym obcasie Betty. Zatrzymał przez chwilę wzrok na drobnych żyłkach na jej kostce.

– Odezwij się do niego, Betty. Może potrzebuje pomocy.

Wzruszyła ramionami.

– Mogę spróbować, ale kto zdoła pomóc Beethovenowi przy *Dziwiątce*, hm?

Moreany się roześmiał. „Natychmiast zostań moją żoną! – chciał zawołać. – Pozwól mi ucałować

swoje stopy, dotknąć swych piersi, pozwól mi uczesać swe złote włosy!” Nic takiego jednak nie powiedział. Betty zgasła napoczętego papierosa w mosiężnej popielniczce, którą Moreany postawił na biurku specjalnie dla niej. Sam nie palił. Dotąd tego nie zauważyła.

– Co z samochodem?

– Dziś rano w ogóle nie chciał zapalić. Może nie wyłączyłam świateł.

– Masz czas pojechać ze mną do Wenecji?

Wydawała się nieszczerze uradowana, zachowała powagę.

– Kiedy?

Stojący na jego biurku telefon zaczął brzęczeć. Migąca biała lampka, Honor próbowała przełączyć do niego rozmowę. Moreany to zignorował.

– Co z twoim samochodem?

– Przed chwilą już mnie o to pytałeś. Po prostu nie chce ruszyć. Nie odbierzesz?

A więc Wenecja.

Moreany podniósł słuchawkę.

– Proszę łączyć, Honor. – Dał Betty znak, że to Henry na linii, ona jednak już się tego domyśliła.

– Henry, mistrzu, jak się miewasz?

Moreany na chwilę zamienił się w słuch. Betty spostrzegła, jak twarz mu pochmurnieje. Usłyszała mroczny głos Henry’ego, mówił powoli.

– Zaraz przyjadę.

Moreany z wolna odłożył słuchawkę, utkwiał przy tym wzrok w podłodze, jakby szukał zagubionej odpowiedzi.

– Co się stało?

– Żona Henry’ego utonęła.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy.

– To niemożliwe.

– Utonęła. Właśnie mi o tym powiedział. Przed chwilą.

– W nocy? Wczorajszej nocy?

Moreany uniósł wzrok.

– Muszę natychmiast do niego pojechać.

Betty podała mu płaszcz, zastanawiając się przy tym, czy Henry wiedział już o śmierci Marthy w chwili, gdy przyjechała do niego jej samochodem. Czy pognałby wtedy na górę do jej pokoju, by to sprawdzić?

Honor Eisendraht weszła do gabinetu i z poszarzałą miną usiadła w Eames chair, zarezerwowanym wyłącznie dla najważniejszych gości.

– Z pewnością wszystko pani słyszała, Honor. Proszę odwołać moje spotkania, także jutrzejsze. Betty...

– Tak?

– Wenecja musi poczekać. Proszę, chodź ze mną.

Honor obserwowała przez okno, jak oboje wsiadają na parkingu do ciemnozielonego jaguara Moreany’ego. Otworzył jej drzwi i pozwolił wsiąść pierwszej. Honor wyjęła z torebki talię kart tarota i dokładnie je przetasowała. Następnie wyciągnęła jedną z nich i położyła przed sobą na stole. Była to karta przedstawiająca wieżę. Bardzo niepomyślna karta.

W trakcie godzinnej jazdy samochodem nie zamienili z sobą ani słowa. Moreany jechał szybko, był skupiony. Dziesięciolecia wcześniej ukończył Mille Miglia na drugim miejscu, nadal był świetnym

kierowcą. Samochód pędził cicho, jedynie gdy skręcał, słychać było tykanie kierunkowskazu. Betty czuła coraz dotkliwsze mdłości, zastanawiała się, czy to objaw strachu, czy może tylko symptom ciąży. Nieoczekiwane odwiedziny Marthy nie były przyjacielską wizytą. „Powinna pani wiedzieć – odezwała się już w progu – że wcale nie czuję do pani nienawiści. Mężczyzna, którego obie kochamy, przeżywa głęboki kryzys. Nie potrafi ukończyć powieści, widzę, jak cierpi”. Martha była tak wzruszająco pogodna, gdy siedziała u niej na sofie. Mówiła o przyjaźni w miłości, o dobrych latach i niecierpiących zwłoki zmianach. Zrozpaczeni znajdują, jak wiadomo, ukojenie, gdy poważą się na ostateczny krok. Przedsmak radości ze zbawiennej śmierci poprawia im nastrój.

Betty opuściła boczną szybę. Dlaczego Martha dopiero zeszłej nocy skoczyła do morza, skoro już od dawna o wszystkim wiedziała? Może to jednak była zemsta. „Swoją samobójczą śmiercią chciała zniszczyć nasze szczęście” – pomyślała Betty. Całkiem możliwe, że Henry właśnie ją obarczy winą za śmierć Marthy. Jak zareaguje Moreany, gdy się o wszystkim dowie? Wenecja byłaby teraz właściwym rozwiązaniem. Wystarczająco daleko, by wszystko przemyśleć, dość blisko, by w trzy godziny wrócić do Henry’ego. Znowu rwący ból w podbrzuszu. Jego dziecko. Tkwiło w niej, rosło, nawiązywało z nią kontakt. Będzie je miała całe tylko dla siebie.

## VIII

Ciało z twarzą do dołu i szeroko rozpostartymi ramionami unosiło się na falach, dryfując równoległe do wybrzeża. Młody kormoran usiadł na plecach topielca, rozłożył skrzydła i osuszył upierzenie. Ptak minął kuter Obradina i popłynął z prądem dalej w kierunku cypla, którego północny kraniec wrzynał się kilka kilometrów w głąb morza.

Obradin wypłynął w morze nie po to, by łowić, lecz by uporządkować myśli. Płynął powoli, oszczędzając ledwie zipiącego diesla. Kiedy łódź zniknęła mu z pola widzenia, wyłączył silnik i pozwolił kutrowi swobodnie kołysać się na falach. Przysiadł na przednim pokładzie, by zapalić bośniacką trawkę. A zatem pewnie się pomylił. Samochód, który tak wyraźnie widział minionej nocy, nie należał do Henry'ego. Mężczyzną za kierownicą nie był więc Henry, lecz pewnie jakiś sobowtór w skradzionym maserati. Ot, niepokojąco realistyczny sen, nie wspominając o wypalonych papierosach, które Helga uprzątnęła z parapetu i postawiła mu na nocnym stoliku.

A nawet gdyby się nie mylił – niejedno za tym przemawiało – to przecież człowiek może jechać nocą bez włączonych świateł, dokąd tylko chce, a jego żona może utonąć, gdzie i kiedy chce. Koincydencja pozbawiona jakiegokolwiek związku, która nadto nikogo nie powinna obchodzić. Pozostawała jeszcze sprawa z rowerem.

Obradin obudził się przed wschodem słońca, po zaledwie godzinie snu, i od razu wstał z łóżka. Ubrał się po cichu i kilka minut później ruszył do portu. „Drina” kołysała się leniwie przy molo. Obradin sprawdził liny oraz umocowanie sieci, otwierał i zamykał wszystkie luki, upewnił się, że kotwica dobrze trzyma, po czym znów zszedł na molo i zaczął się wspinać po betonowych falochronach ułożonych przez przymusowych robotników w ostatnich miesiącach wojny.

Słońce wstało, kilkaset metrów dzielących go od plaży pokonał na piechotę. Obradin rozpoznał rower Marthy oparty o skałę, codziennie przejeżdżała nim obok jego sklepu w drodze nad zatokę. Nigdy jednak przed południem. Obok roweru leżała jej starannie poskładana bielizna. Oslonił oczy przed intensywnymi promieniami wschodzącego słońca. Obszedłszy daremnie zatokę w poszukiwaniu żony Henry'ego, wrócił na pokład swego kutra.

Obradin powiódł wzrokiem za kormoranem przelatującym ponad masztem radiowym w kierunku wybrzeża. Ponownie uruchomił silnik. Prąd zniósł go kilka mil morskich na otwarte morze. Powoli wrócił do portu, przycumował „Drinę” i wkrótce potem wszedł do swego sklepu rybnego.

– Silnik zdycha – oznajmił. – Bez kutra jesteśmy skończeni.

Bez dalszych wyjaśnień przeszedł obok Helgi, która zamiast pracować, jak zwykle rozmawiała przez telefon, otworzył drewnianą klapę w podłodze i zniknął w piwnicy. Wrócił stamtąd z beczką śliwownicy na ramieniu, właz zamknął nogą.

Helga zakryła dłonią słuchawkę.

– Co robisz?

– A jak myślisz?

– A co ze sklepem?

– Zamykamy.

– Co będzie z zupą rybną?

– Nic.

– Kiedy wrócisz?

Obradin obszedł ładę, zbliżył się do Helgi, pogładził ją włochatymi palcami po policzku, pocałował

na pożegnanie w usta.

– Wiesz przecież.

Ledwie parę minut później Helga zadzwoniła do strażnika leśnego i do lekarza z sąsiedniej miejscowości. Obaj mają czekać w pogotowiu, za jakieś dwie godziny znów będzie po wszystkim. Lekarz spakował więc swoją torbę, a strażnik otworzył szafę z bronią i wyjął z niej specjalny karabin.

\*\*\*

Błady i nieogolony Henry stał w kaloszach przed domem, koszula wystawała mu ze spodni. Podparł się łopatą, gdy jaguar Moreany'ego wjechał na wzniesienie. Samochód ciągnął za sobą chorągiew pyłu. Już z daleka Henry zauważył, że Moreany nie jest sam. Poncho wybiegł naprzeciw i szczerkając, podskakiwał wokół auta. Na siedzeniu pasażera Henry dostrzegł Betty. Nie zamierzała wysiąść. Poncho stanął zaciekawiony na tylnych łopach i zaczął obwąchiwać boczną szybę jaguara.

Mężczyźni uściskali się bez słowa. Starannie ogolone, zaróżowione policzki Moreany'ego z białymi bokobrodami pachniały old spice'em. Henry zerknął ku siedzącej w samochodzie Betty. Dlaczego nie wysiadła? Czyżby wyznała już wszystko Moreany'emu? Moreany uwolnił się z objęć, miał zaczerwienione oczy.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Henry poklepał go po ramieniu.

– I cóż tu mówić?

– Prosiłem Betty, by mi towarzyszyła. Była u mnie w biurze, kiedy zadzwoniłeś.

Henry otworzył drzwi od strony pasażera i podał Betty rękę. Z wnętrza jaguara dobiegł się aromat konwalii. Kiedy ją objął, poczuła jego ostrzegawczo mocny uścisk, nieogolonym podbródkiem podrapał ją po policzku. Ucałowali się jak rodzeństwo, ból w podbrzuszu się nasilił.

– Proszę, spróbuj mnie nie znienawidzić, najdroższy.

– Kocham cię. Jak się miewa nasze dziecko?

– Właśnie się poruszyło. Czuję je.

– Powiedziałaś o nas Moreany'emu?

– Oczywiście, że nie. Jesteś pewien, że ona nie żyje?

Henry spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Chcesz, żeby wróciła? – zapytał cichym głosem.

W atelier Henry'ego pachniało zimnym tytoniem. Manuskrypt leżał na biurku obok maszyny do pisania. Na nim wieczne pióro, a obok zerwana i zwinięta gumka. Żaluzje w ogromnych panoramicznych oknach były opuszczone do połowy. Na podłodze leżały porzrzucone notatki oraz zmięte kartki papieru.

Henry przez cały ranek zmieniał wystrój swego atelier, tworząc w nim wrażenie kreatywnego bałaganu. Wzdłuż starannie wytyczonych ścieżek myślowych ustawił w niewielkich stosach nieprzeczytane książki, opatrzone gdzieś dodatkowo zakładkami. Nie brakowało nawet w połowie pełnej filiżanki z kawą oraz pogryzionego niedopałka papierosa, zniknęły wszystkie gazety sportowe i magazyny dla panów. Na koniec, w kącie pokoju pod Boterem z otyłymi dziećmi ustawił platformę wiertniczą. Pokój wyglądał jak miejsce przerwanej na chwilę pracy. Wszystko oprócz manuskryptu było jego dziełem.

Betty natychmiast wypatrzyła manuskrypt, podeszła do niego, wyciągnęła rękę.

– Nie dotykać! – powstrzymał ją głos.

– Proszę, nie. Jeszcze nie jest gotowy.

– Sorry. Piszesz na *maszynie*?

– Tak. Czemu nie?



– Masz kopię tekstu, prawda? – upewnił się Moreany.

– Jeszcze nie. To oryginał. Wieczorem trafi do sejfu.

Moreany i Betty wymienili krótkie spojrzenia.

– To, delikatnie mówiąc, ryzykowne.

Henry otworzył butelkę single malt i napełnił trzy szklanki. Moreany zniknął w toalecie dla gości, szedł chwiejnym krokiem. Betty rozglądała się wokół. Pokój był wysprzątanym, gdy po nim myszkowała w mroku minionej nocy. Teraz panował w nim bałagan, nadto wypełniał go intensywny zapach tytoniu. Zlustrowała wzrokiem pokryty sierścią koc dla psa obok stojącego przy biurku krzesła, kosz przepelniony odrzuconymi pomysłami, prawdopodobnie nawet w połowie pełny wart miliony. W ciemnościach zauważyła wówczas nieokreślony kształt platformy wiertniczej, która teraz gdzieś zniknęła.

Moreany wrócił do pokoju, wyglądał jeszcze gorzej, jego dłonie pachniały mydłem. Henry podał mu szklankę.

– Lodu?

– Odrobinę, jeśli masz.

– Martha nie zostawiła żadnej wiadomości – zaczął Henry swoje sprawozdanie, gdy tylko wrócił z kuchni z lodem. – Jej rower stał na plaży.

Moreany palcem wskazującym zakręcił w szklance kostkami lodu.

– To ty ją znalazłeś?

– Nikt jej nie znalazł. Prąd poniósł ją na otwarte morze. Jej gumowe sandały, jej rzeczy, rower, wszystko zostało na plaży.

– Na plaży? – zapytała Betty.

Henry dostrzegł jej zdumione spojrzenie.

– Tak. W małej zatoczce w pobliżu portu, gdzie zawsze przychodziła popływać.

Henry pociągnął spory łyk scotcha, ssał przez chwilę kostkę lodu, po czym wypluł ją z powrotem do szklanki. „Nie wygląda na kogoś, kto w szczególny sposób cierpi – przemknęło Betty przez myśl. – Ale jak właściwie wygląda cierpienie?”

– Kiedy nie wróciła na obiad, pojechałem na plażę. Nad wodą stała jakaś kobieta w zielonej parce Marthy. Ale to nie była ona.

I znów dostrzegł w oczach Betty zaskoczenie.

– Wiatr porwał parkę Marthy i niósł po plaży. Kobiecie było zimno, więc ją włożyła.

– Ile miała lat?

– Nieco mniej niż ty.

– Znasz ją?

– Nie. Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Moreany odchrząknął.

– Wybaczcie, że powiem to w sposób tak bezpośredni, ale czy to absolutnie wykluczone, by Martha nadal żyła? To znaczy, czy nie mogło się wydarzyć coś niezwykłego?

– Niby co? – zapytał Henry.

– Cóż... życie tu zupełnie bez ochrony. Niewykluczone, że Martha... – Moreany przerwał na chwilę, by ostrożnie sformułować myśl – ...została uprowadzona po to, by cię szantażować, nie sądzisz?

– Kto byłby na tyle głupi, Claus? Każdy rozsądny człowiek porwałby *mnie*, a potem szantażował Marthę.

Betty zapaliła papierosa i ostentacyjnie zatrzasnęła zapalniczkę.

– Tacy ludzie istnieją, Henry. Głupi, źli ludzie.

Henry nie lubił tego tonu.

– I kto miałby to być?

W pokoju zapanowała całkowita cisza. Henry obserwował dym dobywający się niczym smoczy oddech z wąskich dziurek w nosie Betty. Karała go, gdyż wiedziała, że kłamie.

– Kto powiadomił policję? – przerwał milczenie Moreany.

– Jak dotąd nikt.

– Ja zadzwonię – oznajmił Moreany i zaczął przeszukiwać kieszenie.

Henry odstawił szklanę.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli ja to zrobię.

Wyszedł do kuchni, by skontaktować się z policją. Już dawno powinien był to uczynić. A niech to! Zwyczajnie o tym zapomniał.

Betty bawiła się z hovawartem w ogrodzie, podczas gdy Moreany i Henry czekali w kuchni na przyjazd funkcjonariuszy. Pies podskakiwał dokoła, ona rzucała mu kij. Wśród psów musiała się rozejść wieść, że ludzie niezmordowanie rzucają kijami i piłkami, jeśli się je im przynosi. Słońce rozświetliło nieskazitelną cerę Betty, nieba nie przesłaniała żadna chmura. Obaj mężczyźni przyglądali się jej, każdy zatopiony we własnych myślach.

Henry zauważył, że Moreany lekko się zachwiał na nogach i oparł o blat kuchennej wyspy. Przez ostatnie miesiące bardzo się postarzał, stracił na wadze. Drobne kropelki potu połyskiwały u nasady jego włosów. Kiedy Henry podawał mu scotcha, poczuł, jak zimne ma palce u rąk.

– Chcesz coś zjeść, Claus? Ugotowałem zupę z soczewicy. Podgrzeję w minutę.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął z lodówki miskę z zupą, ostrożnie zdjął z niej folię, powąchał dla pewności.

– To nie dzień na takie wyznania, Henry, ale... zamierzałem się oświadczyć Betty.

– Komu?

Henry odwrócił się do Moreany'ego plecami, włożył miskę z zupą do kuchenki mikrofalowej i zaczął się zastanawiać, czy to zła, czy może absurdalnie dobra wiadomość. W przeszklonych drzwiach kuchenki dostrzegł rozmyte odbicie postaci Moreany'ego.

– Nie przesłyszałeś się, chciałbym poślubić Betty. Wiem, że jestem dla niej za stary, ale ją kocham. Co o tym sądzisz?

Henry wyjrzał przez okno. Betty gdzieś zniknęła.

– To stało się *dzisiaj*?

– Przed naszym przyjazdem, w moim biurze. Ona wchodzi, ja zamierzam ją zapytać, czy zechce zostać moją żoną, i nie mogę wydobyć z siebie ani słowa. Zamiast tego dwukrotnie ją pytam, co się stało z jej samochodem. Czyż to nie śmieszne?

„Na takie szczęście sobie nie zasłużyłem” – pomyślał Henry.

– A co z jej samochodem?

– Jakiś problem. I wtedy ty zadzwoniłeś, i było już za późno.

– Co to za problem z samochodem?

– Nie wiem. Sam ją musisz zapytać.

Henry znów wybiegł myślami w przyszłość. Zakładając, że ów nieprawdopodobnie szczęśliwy traf rzeczywiście się zdarzy i Betty wyjdzie za Moreany'ego, on oczywiście zostanie świadkiem na ich ślubie. Betty urodzi jego dziecko, z całą pewnością śliczne dziecko. On, Henry, będzie potem ojcem chrzestnym własnego dziecka, bez wątplenia najlepszym na świecie. Tym samym rozwiążą się, przynajmniej po części, wszystkie ich *międzyludzkie* problemy. Jak jednak przekonać Betty do zawarcia tego anachronicznego małżeństwa z rozsądku? Z dyskretną radością poszukiwacza złota, który znalazł

właśnie nugat wielkości pięści, Henry położył swemu przyjacielowi i wydawcy dłonie na ramionach.

– Cieszę się wraz z tobą, Claus. Nigdy nie jest za późno. Idź za głosem serca i po prostu ją zapytaj.

Moreany uściskał Henry'ego. On potrafi się cieszyć szczęściem drugiego człowieka, nawet znalazłszy się w tak rozpaczliwym położeniu. Moreany nie mógł wydobyć z siebie słowa, tak bardzo był wzruszony.

Kuchenka mikrofalowa zaczęła brzęczeć. Henry wyjął miskę z zupą i ostrożnie postawił przed Moreanym na stole. On także był wyraźnie poruszony.

– Chcesz do tego kromkę chleba?

\*\*\*

Siekacze Obradina leżały w wilgotnym piasku piwnicy. Krwawa ślina na stromych stopniach schodów, po których nadto trzeba było schodzić tyłem, czyniła je jeszcze bardziej śliskimi. Obradin już wcześniej rozbił przeszklone drzwi sklepu rybnego, bodaj dlatego, że nie mógł znaleźć klucza. Usiłując wynieść z piwnicy drugą beczkę, padł jak długi na ziemię.

Sporych rozmiarów kupa obok beczek ze śliwowicą świadczyła o tym, że Obradin przebywał w piwnicy między godziną jedenastą przed południem a dwunastą w południe. W porze obiadu otwierała swe podwoje niewielka portowa gospoda, gdzie Obradin zostawił kolejny ząb, gdyż jego rozumienie bezgotówkowego obrotu płatniczego nie dało się pogodzić z interpretacją szefa lokalu. Jak się później okazało, ząb był spróchniały i wcześniej czy później trzeba by go usunąć. Żadnemu ze śpieszących na pomoc mężczyzn nie udało się udobruchać wściekłego Serba.

W końcu trafiła go strzałka ze środkiem odurzającym, wypuszczona z broni strażnika leśnego. Dawka narkotyku, zwanego „mieszką hellabruńską”, przeznaczona była dla nosorożca, a mimo to Obradin zdołał jeszcze odśpiewać serbski hymn narodowy, nim ostatecznie zapadł w przypominający śmierć sen.

Jego żona Helga, która dokładnie przewidziała przebieg oraz czas trwania tego amoku, czekała na męża przed sklepem w towarzystwie lekarza. Kiedy wreszcie go przyniesiono, przypominał bardziej martwego niż żywego. Serce w człowieku krwawiło na widok jej cierpienia. W ciągu dwudziestu lat małżeństwa już z pół tuzina razy doświadczyła podobnych ataków, nie poznając jednak ich źródła. Wybuchy te były równie nieprzewidywalne jak trzęsienia ziemi. Obradin twierdził, że nie potrafi sobie przypomnieć ich przyczyny, co z toksykologicznego punktu widzenia nie powinno dziwić. Lekarz stwierdził u Obradina pojawienie się rozmaitych krwiaków oraz utratę zębów, poza tym jednak jego organizm funkcjonował normalnie. Mężczyźni zanieśli go następnie do łóżka, gdzie na razie pozostał.

Na dworze zaszczekał Poncho. Nadszedł samochód. Henry dostrzegł, że to nie była policja. Na skrzyni pick-upa stał, jak jakiś monument, przymocowany niebieskim sznurem rower Marthy. Henry widział ten rower niezliczoną ilość razy, nie czując przy tym nic szczególnego. Bo i cóż można poczuć na widok starego, rdzewiejącego roweru? Tym razem było inaczej. Skręcona kierownica ze starą lampą wskazywała prosto na niego. Rdza na wsporniku siodełka połyskiwała niczym zaschnięta krew, koło miało złamaną szprychę, której nigdy nie wymienił.

Za kierownicą samochodu siedziała Elenor Reens, burmistrzynie, obok niej młoda kobieta spotkana na plaży. Miała na głowie baseballówkę, okulary przeciwsłoneczne nasunęła na daszek. Elenor wysiadła, wzięła z tylnego siedzenia starannie spakowane rzeczy Marthy, w torbie leżały gumowe sandały oraz parka. Położyła to wszystko na pokrywie silnika.

– Proszę nam powiedzieć, co możemy zrobić. Cokolwiek by to było. Zawsze może pan na nas liczyć. Mówię w imieniu wszystkich, cała nasza społeczność jest myślami z panem i pańską żoną.

– Dziękuję.

Elenor powiodła za wzrokiem Henry'ego.

– To moja córka Sonja.

Sonja z wahaniem otworzyła drzwi, wysiadła, obeszła samochód i uściśniła jego wyciągniętą dłoń. Miała na sobie białe tenisówki i sprane niebieskie džinsy, kurtkę koloru khaki zasunęła pod samą szyję, jakby jej było zimno. Jej dłoń była szczupła i chłodna w dotyku, oczy wypełniała topazowobłękitna powaga, linię jej ust jakby nakreślono delikatnym pociągnięciem pędzelka. „Afrodyta nie szczędzi sobie trudu, by mnie dręczyć” – pomyślał Henry.

– Jak mógłbym zapomnieć? Już się przecież poznaliśmy – rzekł.

Sonja przytaknęła. Henry odniósł wrażenie, jakby chciała mu coś powiedzieć, nie było to jednak możliwe ze względu na obecność matki.

Elenor zawróciła do samochodu.

– Ach, przy okazji. Obradin znów zbzikował. Strażnik leśny zaaplikował mu środek odurzający.

\*\*\*

Każdy morderca winien pamiętać, że nowoczesna kryminologia jako nauka o zbrodniach jest bardzo obszerną dziedziną. Kiedy znika jakaś osoba, bada się ślady i prowadzi dochodzenie obejmujące *wszystkie* wątki, aż wszelkie okoliczności zdarzenia zostaną wyjaśnione. Dla mordercy ma to znaczenie o tyle, że musi być przygotowany na długotrwałe śledztwo, w trakcie którego nie toleruje się jakichkolwiek logicznych sprzeczności.

Morderca musi zachować czujność. Jego wrogiem jest szczegół. Nieprzemyślane słowo, drobnostka, o której zapomniał, niepozorny błąd niweczający wszystko. Musi wciąż w sobie ożywiać wspomnienie swojego czynu, każdego dnia na nowo je rozbudzać – a zarazem przemilczać. Milczenie wszakże jest wbrew naturze człowieka. Niełatwo dochować tajemnicy. Milczeć przez całe życie to udręka. Jeśli spojrzeć z tej perspektywy, w dniu popełnienia zbrodni morderca rozpoczyna odbywanie kary.

W szczególności kryjący się wśród nas mordercy swych małżonków winni mieć na uwadze, że osobista korzyść ze zniknięcia partnera, czy to wypłata polisy na życie, czy też zrozumiałe pragnienie wolności, pociągnie za sobą jeszcze bardziej drobiazgowo śledztwo.

Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż Henry. Mając mnóstwo wolnego czasu, doksztalał się z zakresu tematyki sądowniczej i dowiedział się między innymi, że w przypadku niewyjaśnionych okoliczności śmierci policja powiadamia ubezpieczycieli. Jak wszystkim wiadomo, towarzystwa ubezpieczeniowe niechętnie wypłacają uprzednio zainkasowane pieniądze. Nieważne, czy chodzi o duże, czy drobne kwoty. A jeśli już regulują należności, trzeba je zawsze traktować raczej jako akt łaski. Przy wypłacie z polisy na życie w razie śmierci ubezpieczonego asekuranci stają się szczególnie drobiazgowi i spuszczają z łańcuchów swych detektywów. Ostrzega się przed tymi specjalistami, gdyż w żadnej mierze nie zachowują obiektywizmu, utrzymują się bowiem z prowizji uzależnionej od wyników swej pracy. Wiedzą, że cały świat to jeden wielki teatr, stąd też nie szukają prawdy, lecz wyłącznie kłamstw. Morderstwo, symulacja i samookaleczenie to dla nich oszustwa ubezpieczeniowe, nic na to nie poradzisz. Tym samym negują stres psychologiczny zrodzony z walki o przetrwanie – a wypłata polisy jest dla nich równoznaczna ze zwycięstwem zła. W zasadzie morderstwo powinno wyglądać jak wypadek. To o wiele trudniejsze, niż się na pozór wydaje, gdyż nawet wypadki mają swoją prehistorię, dające się wyjaśnić przyczyny i nie zdarzają się ot tak, zwyczajnie. O tym jednak później.

Ściśle biorąc, śmierć Marthy nie była morderstwem, lecz wypadkiem. Mimo to Henry popełnił dwa poważne błędy. Zapomniał od razu zadzwonić na policję, a miejsce postoju subaru Betty nie mogło zostać powiązane z jego osobą. Cokolwiek ustali policja, jedna kwestia musi pozostać poza

wszelkim podejrzeniem: on, Henry, nie odniósł żadnej korzyści ze zniknięcia Marthy.

To całkowicie odpowiadało prawdzie. Henry – w przeciwieństwie do swej żony – nie otrzymałby zwrotu polisy na życie. Niczego by po niej nie odziedziczył, gdyż Martha nie była zamożna – w przeciwieństwie do niego. To zawsze on, nie ona, pozostawał w kręgu zainteresowania opinii publicznej. Jak dotąd wszystko układało się pomyślnie. Dzięki swemu doświadczeniu w obcowaniu z kłamstwem i jego młodszą siostrą wymówką. Henry mógł mieć nadzieję, że póki będzie kłamać, będą mu wierzyć. Jedyne prawdą będzie musiał szafować oszczędnie i mądrze.

Spakowane rzeczy Marthy położył na kuchennym blacie. Następnie pożegnał się z Betty i Moreanym, którzy wrócili razem do siedziby wydawnictwa. Henry odprowadził ich do jaguara, serdecznie i jednakowo mocno ich uściskał, po czym na pożegnanie szepnął Betty do ucha:

– Zgłoś kradzież samochodu, później wszystko ci wyjaśnię.

Pomachała mu na pożegnanie. „Ma mnie w garści” – pomyślał Henry i również jej pomachał.

\*\*\*

Jenssen był młodym funkcjonariuszem policji kryminalnej, miał włosy koloru bursztynu i wodnistobłękitne oczy. Jego przodkowie byli wikingami, Henry od razu to zauważył. Był atletycznej postury, bez wątpienia uprawiał sporty siłowe, jego wypiełgnowana dłoń wydawała się dziwnie gruba w dotyku. Przeczytał powieści Henry’ego, był wielkim fanem *Szczególnego brzemienia winy*, z chęcią zresztą zostałby reporterem sądowym, niestety, nie miał jednak, jak wyznał, talentu do pisania. „No cóż, a któż go ma?” – pomyślał Henry.

– Pańscy bohaterowie nieustannie działają, panie Hayden – zachwycił się Jenssen już przy powitaniu. – Stale coś się dzieje. I nigdy nie wiadomo, co będzie dalej. Dziwne sprawy, mroczne tajemnice, grożące zewsząd niebezpieczeństwo i naprawdę mądrzy wrogowie.

Henry z miejsca uznał go za sympatycznego. Natomiast koleżanka, która zawsze stała pół kroku za Jenssenem, już nie wydała mu się taka miła. Była oschła i najwyraźniej niekompetentna, gdyż nie znała żadnej z jego książek.

– Ma pan jakąś fotografię żony? – zapytała, nie okazując ani krzty sympatii czy zrozumienia.

Henry poszedł do gabinetu i przyniósł ich wspólne z Marthą zdjęcie z urlopu w Portugalii. Policjantka długo się w nie wpatrywała, jakby chciała wpełznąć do wnętrza kadru. Jej wychudła twarz z wąskimi oczami pod zrośniętymi na kształt brody brwiami przypominała Henry’emu pyszczek oposa. Może mógłby go przy okazji wyswatać z dokazującą na poddaszu kuną, mogliby wydać na świat interesujące potomstwo. Srebrne pasemka w jej ciemnych włosach nasuwały przypuszczenie, że wskutek zawodowej nieufności była mocno przekwaszona.

Podąła fotografię Jenssenowi, po czym badawczo wciągnęła nosem unoszącą się w pokoju woń, co Henry uznał za irytujące. Może odfiltrowywała z powietrza molekuły winy i strachu, jakimi emanował? Każdy pies wyczuwa strach, niektóre nawet epilepsję czy raka. Dlaczegoż by nie winę? Cząsteczki takie z pewnością unoszą się wokół każdego, kto obawia się wykrycia lub kary. Na szczęście nie zbudowano jak dotąd urzędzenia na tyle czulego, by mierzyć tego rodzaju molekuły. Jak dotąd.

Henry utwierdził się w swym podejrzeniu, gdy kobieta pochyliła się w kuchni nad spakowanymi ubraniami Marthy.

– Jaki kolor ma jej strój kąpielowy?

– Jest niebieski. Co pani tak obwąchuje? – zapytał.

– Możemy to zabrać? – padło w odpowiedzi.

– A otrzymam z powrotem? To rzeczy bardzo osobiste.

– Jak często pańska żona chodziła popływać w morzu?

Jej maniera nieodpowiadania na jego pytania zaczęła działać Henry’emu na nerwy.

– Moja żona chodzi pływać codziennie. Nawet zimą, gdy pada śnieg. Jest fantastyczną pływaczką. Pani też pływa?

– Czy zna pan tutejsze morze?

– Tylko z widzenia. Nie wchodzę do wody.

Jenssen popisał się swą wiedzą żeglarską, bez wątpienia otrzymaną w spadku po przodkach, i opowiedział o silnych prądach północno-zachodnich. Morze często unosi utracone podczas kąpieli obuwie, w szczególności plastikowe, aż do Grenlandii, czasem się zdarza, że tkwi w nim stopa. Henry przypomniał sobie opowieści Obradina, że widuje niekiedy kołyszące się na wodzie bezpańskie buty. Obradin... Dlaczego nie przyszedł złożyć mu kondolencji?

– Pańska żona nie włożyła jednak kłapek, wchodząc do wody?

Opos wskazał swym wychudłym, szponiastym palcem na klapki Marthy. Gdy zrozumiał swój przykry błąd, Henry poczuł, jak w jego żyłach ścina się krew. Nie pomyślał o tym. Logicznie rzecz biorąc, Martha powinna wejść do wody w kłapkach, jak w takim razie mogły one pozostać na plaży?

– Szczerze mówiąc, mnie także to dziwi – odparł Henry. – Moja żona zawsze wkłada sandały, gdy wchodzi do wody, ze względu na ostre kamienie. Ma wrażliwe stopy.

– Być może – wtrącił Jenssen, który zwrócił uwagę na używany ze stoickim spokojem przez Henry'ego czas terażniejszy – jej buty zostały uniesione przez wodę, a potem, gnane wiatrem, wyrzucone na plażę. Dlatego je pan znalazł.

Dobre wyjaśnienie. Ten facet wydawał mu się coraz bardziej sympatyczny. Postanowił zaryzykować.

– Pan się przecież na tym zna, panie Jenssen. Czy to możliwe, że moja żona została porwana?

Policjant ściągnął brwi.

– Czy ktoś się w tej sprawie odezwał?

Henry potrząsnął głową.

– A zapłaciłby pan okup za żonę? – zapytała zła koleżanka.

Pytanie owo było dowodem na to, że zmysł powonienia był u niej wyraźnie lepiej rozwinięty niż kora mózgowa. Oczywiście, że by zapłacił! Oddałby wszystko, byleby tylko odzyskać żonę.

– Pieniądze nie grają roli – odparł Henry roztropnie.

– Czy pańska żona zostawiła list pożegnalny?

Ech, ci niewykształceni ludzie! Nie znali Marthy. Nie obwieściłaby na piśmie własnego samobójstwa ani by go nie wyjaśniła. To, co robiła, działo się bez żadnego uzasadnienia, w jej przypadku wszystko było sztuką dla sztuki. Poza tym jej subtelne wyczucie dramaturgii wykluczało anonsowanie czegoś, co i tak miało się wydarzyć.

– Nie. Ona nie chciała się żegnać, nie mam co do tego wątpliwości. Nie ze mną, nie z życiem.

– Czy cierpiała na depresję, brała lekarstwa?

– Dużo się śmieje i lubi jeść ryby, jeśli o to panu chodzi.

Policjant zamyślony przeczesał dłonią maślanożółte włosy. Nie miał ani odrobiny poczucia humoru.

– Jeśli mogę zapytać wprost: nie mieli państwo żadnych problemów małżeńskich? Albo zamiaru się rozwieść? Tak tylko pytam.

Henry obmacał skórę pod prawym okiem. Uczucie odrętwienia powróciło.

– Ależ skąd. Nigdy.

Następnie Henry oprowadził oboje policjantów po wszystkich pomieszczeniach domu. Mówił cicho, odpowiadał na każde pytanie, ze szczegółami i zgodnie z prawdą opisał poszukiwania swej żony, opowiedział, jak to jeszcze poprzedniego wieczoru dla niej gotował. A kiedy stanął przy jej

pustym łóżku, wybuchnął płaczem.

Henry nadal mówił o Marcie w czasie teraźniejszym, jakby wciąż żyła. W końcu oprowadził policjantów po piwnicy, stajniach, stodole, ogrodzie i kaplicy. Dał im stary karton na bieliznę Marthy i pomógł nawet wepchnąć jej rower do policyjnego radiowozu.

Jenssen wręczył Henry'emu swoją wizytówkę.

– Proszę niezwłocznie mnie poinformować, gdyby znalazł pan jakikolwiek ślad mojej żony – rzekł Henry na pożegnanie. – Cokolwiek by to było.

Kiedy odjechali, przyniósł ze stodoły ciężki młot kowalski i zaczął rozburzać ścianę za łóżkiem Marthy.

## IX

Coś w historii Henry'ego się nie zgadzało. Martha nie utopiła się przy plaży. Betty przypuszczała, że nie wróciła do domu nad klifu. Jej subaru zniknęło, to pewne, kto wie, być może rdzewieje na dnie morza wraz z siedzącą za kierownicą Martha. Tym samym ona również została uwikłana w tę sprawę. Ściśle biorąc, była nawet współwinna jej śmierci, gdyż odebrała jej męża. Czy może było to zrządzenie losu? Jeśli samochód zostanie odnaleziony, pojawi się mnóstwo niewygodnych pytań. Betty postanowiła spojrzeć na tę sytuację z pozytywnej strony. Śmierć Marthy otworzyła jej drogę do wspólnego życia z Henrym i ich dzieckiem.

Przypomniała sobie wyznanie Henry'ego, że kto urzeczywistni jego marzenia, będzie też musiał z nimi żyć. W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby szczęście było jakimś traumatycznym doświadczeniem, którego nigdy nie sposób całkowicie przezwyciężyć. On sam nie snuje już żadnych marzeń, dodał Henry, osiągnął wszystko. Poza tym niewiele o sobie mówił. Nigdy się nie rozwodził na temat własnej przeszłości, jakby była czymś nieapetycznym, co należy ukryć, nim pojawią się goście. Jeśli już opowiadał, to wyłącznie o tym okresie swego życia, który Betty już poznała. Wydawało się, jakby Henry, stosownie do okoliczności, wybierał z własnej przeszłości odpowiednie dla każdego fragmenty. Zakręcał nią niby kalejdoskopem i zawsze pokazywał coś innego.

Moreany oświadczył się jej w jaguarze na parkingu przed siedzibą wydawnictwa. Otwarcie mówił o swych uczuciach oraz o kwestii dziedziczenia majątku, kiedy go już zabraknie. Betty była zaskoczona i szczerze wzruszona, jednocześnie czuła narastające mdłości i poprosiła o czas do namysłu, czego potem żałowała, gdyż nie było się nad czym zastanawiać. Pożegnali się pocałunkiem w policzek. Moreany skocznym krokiem ruszył przez parking, Betty zaś wsiadła do wynajętego samochodu, by udać się na policję. Z przyzwyczajenia zerknęła w okno na trzecim piętrze. Stała w nim Honor Eisendraht.

Honor zerwała liść draceny i roztarła go w palcach. Dostrzegła pocałunek przy jaguarze, widziała uskrzydłony marsz Moreany'ego przez parking i poczuła silne pragnienie zdrapania sobie skóry z twarzy. Kiedy zaczynała pracę u Moreany'ego, ona także była młoda i ponętna. Tylko dlaczego, dlaczego wszystkie owe lata przesiedziała na biurowym krześle, milcząc, usługując i czekając, aż wreszcie któregoś dnia zjawia się młodsza, by jej wszystko odebrać? Najgorsze z naszych błędów to jak wiadomo te, których nie zauważamy.

Moreany wszedł do biura, ciężko sapiąc, pewnie wybrał schody zamiast pojechać windą. Honor się zastanawiała, czy on rzeczywiście sądzi, że śmierć robi dla niego wyjątek, darując mu dodatkowy dzień życia w zamian za ten śmieszny trening.

– Znalaziono biedaczkę? – zapytała.

Moreany z miejsca zrozumiał, kogo miała na myśli.

– Nie. Prawdopodobnie porwał ją prąd, nigdy jej nie odnajdą.

Moreany wszedł do swego gabinetu. Drzwi jak zwykle zostawił otwarte. Honor usłyszała szelest papierów. Podniosła się z krzesła, wygładziła spódnice i weszła do pokoju. Moreany przetrząsał swoje biurko, nadal brakowało mu tchu.

– Jak się miewa pan Hayden?

– Zadziwiająco dobrze – odparł Moreany. – Zadziwiająco.

– Czy mogę coś zrobić? Mam przygotować oświadczenie dla prasy?

Moreany przerwał poszukiwania, oparł się rękoma o biurko.



– Honor, byłoby cudownie. Proszę napisać tylko „zmarła”, bez żadnych szczegółów, a potem przedłożyć mi do wglądu.

– Zaparzę herbatę walerianową.

– Nie trzeba. Zaraz znów muszę wyjść.

– Jakiś pan Fasch dzwonił trzy razy.

– Kto to?

– Mówi, że jest dawnym szkolnym kolegą pana Haydena.

Honor Eisendraht odczekała przy oknie, aż Moreany wsiadł do samochodu i odjechał. Weszła do jego gabinetu. Nalawszy sobie podwójnego scotcha ze szklanej karafki stojącej na stoliku z czarnego hebanu, usiadła za jego biurkiem. „Wenecja musi zaczekać” – powiedział Moreany do Betty, gdy nadeszła wiadomość o śmierci Marthy Hayden. „Tak – pomyślała Honor – jedźcie tam, koniecznie tam jedźcie. Jest tam *laguna morta*. Zaczekam tam na ciebie, Betty, ty cholerna dziwko, a potem cię utopię”.

Opróżniła szklankę i zaczęła przeszukiwać szuflady. Przy okazji usunęła z tacki na ołówki jasny włos oraz grubą martwą muchę. Honor szukała dokumentów podróźnych, biletów lotniczych albo rezerwacji hotelu w Wenecji. Środkowa szuflada była zamknięta. Honor wyczuła klucz pod skórzaną podkładką na biurko, otworzyła ją. Oprócz paru notatek i wyciętych artykułów prasowych znalazła pustą fiolkę po pigułkach i trochę gotówki. Na samym dnie leżała nieopisana żółta koperta formatu A5. Nie była zaklejona. Ostrożnie ją otworzyła. W środku tkwiły dwa zdjęcia rezonansu magnetycznego, przedstawiające kręgi lędźwiowe Moreany’ego, oraz orzeczenie histopatologiczne o obecności nowotworu.

Z orzeczeniem w dłoni Honor pobiegła do swojego pokoju, przetasowała karty tarota i odwróciła kartę leżącą na samym wierzchu. Znów była to wieża. Teraz nie miała już najmniejszych wątpliwości.

Na policyjnym komisariacie Betty zgłosiła kradzież swojego subaru. Kiedy pod baczny wzrok funkcjonariusza wypełniała formularz dla firmy ubezpieczeniowej, poczuła, że bołą ją piersi i znów ogarniają mdłości. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła. Kilka chwil później zwymiotowała żółcią do męskiego pisuaru, gdyż damska toaleta była zajęta. Przyczyną nudności nie były oświadczenia Moreany’ego ani też absurdalna historia o śmierci żony Henry’ego przy plaży. Niewątpliwie było to dziecko rozwijające się w jej brzuchu. Wkrótce nie zdoła już tego ukryć. Musi pilnie omówić z Henrym dalszy plan działania.

Wyszła z komisariatu przez stalowe drzwi bezpieczeństwa i oparła się o rozświetloną słońcem ceglana ścianę otaczającą teren. Odruchowo sięgnęła po papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się. Mentolowy dym smakował obrzydliwie. Betty cisnęła papierosa razem z całą paczką na ulicę, po czym kupiła w kiosku gazetę.

*Żona pisarza Henry’ego Haydena utonęła*, wydrukowano na pierwszej stronie u dołu dość małą czcionką. Jedynie drobna notatka, bez żadnej fotografii. Betty wygrzebała z torebki telefon i zadzwoniła do Henry’ego. Wiedziała, że on nie ma automatycznej sekretarki, dlatego też czekała dłuższą chwilę. Henry nie odebrał. Minutę później spróbowała ponownie.

To bydlę go ugryzło. Henry przepłukał ranę czystą wodą i przyjrzał jej się. Ostre zęby wbiły się aż do kości i pozostawiły niebieskawoczerwone dziurki poniżej przegubu ręki. W kuchni na dole dzwonił telefon. Henry go zignorował i spojrzął w lustro wiszące w łazience Marthy.

Twarz miał czarną od kurzu i wiórów, z włosów zwisały mu włókna i zmumifikowane larwy owadów. Wyglądał jak Indiana Jones bez kapelusza. Lewe ucho pokrywała zaschnięta krew, podkoszulek był podarty, ramiona, brzuch i nogi naszpikowane drzazgami.

Trawiony gorączkowym niepokojem rozburzył młotem kowalskim ścianę za łóżkiem Marthy, po czym uzbrojony w niewielki harpun ruszył zapolować na kunę. Było to całkiem absurdalne posunięcie,

słusznie nazwane przez Sigmunda Freuda „działaniem symptomatycznym”, ponieważ „...wyraża coś, czego sam sprawca się w nim nie domyśla, czego z reguły nie zamierza obwieścić ogółowi, lecz zachować dla siebie”. Cóż, komu można by wziąć za złe coś takiego?

Między dachówkami a izolacją cieplną ciągnęła się wąska przestrzeń. Przez dziurę w ścianie Henry wspiął się na poddasze, po czym jak żołnierz czołgał się na brzuchu po nieheblowanych deskach. Co rusz przystawał, nasłuchiwał, po czym znów parł naprzód. Czuł obecność zwierzęcia. Po chwili usłyszał odgłosy drapania zakrzywionych pazurów o drewno. Napiął harpun, zgasił lampkę czołówkę i wstrzymując oddech, zaczął czekać.

Lecz i kuna to myśliwy. Ma lepszy wzrok, słuch i węch – poza tym było to jej terytorium. Zwierzę wyczuło zagrożenie, nie ruszało się ze swej kryjówki, chronił je instynkt. Zwierzęta niewiele rozumieją, a jednak wiedzą wszystko. Ludzie błędzą, bo wierzą, idą na pewną zgubę, ponieważ mają nadzieję. Zwierzęta są jej pozbawione, nie spoglądają w przyszłość i w siebie nie wątpią. To dlatego kuna nie wychyliła głowy z kryjówki.

Henry znalazł skorupki jaj, pióra, kości i odchody o ostrej woni. Nadal były miękkie i oleiste. Kiedy posuwał się w głąb labiryntu starych dębowych belek, w jego skórę wbijały się długie drzazgi. Ignorował ból. „Tym lepiej – pomyślał. – Jeśli to przeklęte bydlę wyczuje moją krew, może popełni błąd i podejdzie bliżej”. A jednak przeklęte bydlę się nie pojawiło.

W którymś momencie Henry sobie uzmysłowił, że stracił orientację. Pokój Marthy mieścił się w zachodniej części domu, dach mierzył tu dobre trzydzieści metrów. Sam przeczołgał się może ze dwadzieścia. Przez jedną ze szczelin zaświstał wiatr i nawiał mu do nosa zasuszone owady. Musiał kichnąć, usiłował się odwrócić w ciasnej przestrzeni. A wtedy z czoła zsunęła mu się latarka, światło zgasło, wypadła bateria. Kiedy Henry próbował w ciemnościach przewrócić się na plecy, harpun wystrzelił. Stalowa strzała z suchym szczękiem przefrunęła mu tuż obok ucha i trafiła w belkę. Wbiła się w dębowe drewno na pół palca. Gdyby trafiła go w twarz, dotarłaby aż do samego pnia mózgu. W tej sytuacji Henry tylko się roześmiał, istotnie, było to naprawdę zabawne. Kto strzela do siebie harpunem na poddaszu własnego domu, może łaskawie liczyć na nominację do Nagrody Darwina. Henry leżał przez chwilę skulony.

Kuna podeszła od tyłu i wdrapała się na jego nogi. Henry poczuł na łydkach odciski pazurów. Gdy sunęła wzdłuż jego talii aż do ramienia, jej sierść wydała mu się w dotyku jedwabiście miękka i ciepła. Zwierzę go obwąchało, wibrysy łaskotały go po rękach. Kuna przyszła ocenić zdobycz. Henry trzeźwo oszacował swoje położenie. Jeśli nadal będzie tu leżał, kuna pożre jego ciało i założy rodzinę. Sięgnął w jej stronę, chwycił za ogon, bydlę kwiknęło i ugryzło. Ostre zęby wpiły się w nerw powyżej przegubu ręki. Henry wzdrygnął się, zerwał, próbował ją złapać i wbił sobie przy tym strzałę harpuna w ucho. Kiedy ból minął, postanowił na razie poniechać dalszych wysiłków, zamknął oczy i po kilku oddechach zasnął.

Delikatne promienie słońca przenikały przez szczeliny w dachu. Budząc się, Henry poczuł nieswieżą wydzielinę, jaką kuna rozpyliła na jego podkoszulku. Oznakowała go! *Nie masz tu czego szukać*, ostrzegała jej cuchnąca sygnatura, wtargnąłeś na moje terytorium, na którym nie zdołasz mnie pokonać.

Henry rozpoczął odwrót, przeciskał się między belkami. W ciało wbijały mu się kolejne drzazgi. Minęła wieczność, nim w końcu dotarł do dziury w ścianie w pokoju Marthy i powrócił na własne terytorium. Poncho leżał na łóżku i wesoło merdał ogonem. Wierny druh czekał tu na niego. Pies obwąchał jego rękę, rozpoznał kunę po zapachu. Henry poczuł ciepły strumień wdzięczności. Uściskał psa. „Mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu, ty wiesz, że jestem kompletnie bezwartościowym idiotą, a mimo to zostałeś przy mnie” – szepnął do niego. A potem zaczął wyjmować ze skóry drzazgi.

Na parterze zadzwonił telefon. Henry uniósł wzrok i nasłuchiwał. Dzwonek umilkł, po czym rozległ się ponownie. To z pewnością Betty. Najwyższy już czas opowiedzieć jej, co naprawdę wydarzyło się nad klifem.

Kiedy wziął prysznic i z zabandażowanym nadgarstkiem zszedł po schodach do kuchni, telefon już nie dzwonił. Henry sprawdził na wyświetlaczu, że Betty próbowała się z nim połączyć czterokrotnie. Niezdecydowany, czy powinien oddzwonić, otworzył puszkę karmy Premium dla Poncho i posmarował sobie kromkę chleba pasztetem z truflami. Telefon znów zabrzączał. Henry zerknął, że to nie Betty, odebrał. Sympatyczny Jenssen odezwał się rzeczowym głosem.

– Znaleźliśmy pańską żonę.

Ciało Marthy odnaleziono w pobliżu takiego to a takiego odcinka wybrzeża. Wzrost, waga i kolor włosów się zgadzały. Jenssen zapytał wyrozumiale, czy Henry czuje się na siłach i przyjdzie do zakładu medycyny sądowej, by zidentyfikować zwłoki.

Chłodny ucisk lęku odebrał Henry'emu dech. Zanotowawszy adres, ostrożnie odłożył słuchawkę, jakby była zrobiona z niewypalanej porcelany, i poczuł, jak spod nóg osuwa mu się grunt. Przytrzymał się blatu kuchennej wyspy, jakby przestrzeń wokół niego, jakby cały dom zapadał się przez jakiś niewidzialny szyb w głąb ziemi. Wraz ze wzrastającą prędkością stawał się nieważki, zaskoczony efektem lewitacji rozpostarł ramiona i uderzył mocno podbródkiem o blat stołu.

Gisbert Fasch także przeczytał informację o utonięciu żony Henry'ego. Nie wymieniono jej imienia, nie zamieszczono żadnej fotografii, nawet po śmierci nie przyznano jej indywidualnego tytułu – również *post mortem* pozostała jedynie *żoną pana Haydena*.

Już od czterech godzin siedział w swoim piekielnie nagrzanym i dusznym samochodzie i rozgniatał zwierzątka pełzające po podsufitce. Obserwowanie wroga, tak zajmujące i zabawne w literaturze i filmie, w rzeczywistości przywodzi na myśl rozciągliwy ser czasu o nieprzeniknionej konsystencji. Człowiek siedzi bez ruchu, wytwarza dwutlenek węgla, czas mu się dłuży i ciągnie *ad infinitum*, chciałby się zdrzemnąć, lecz mu nie wolno, gdyż nigdy nie wiadomo, czy akurat nie wydarzy się coś godnego uwagi. I pogrążony w melancholii rozgniata insekty.

Fasch wachlował się zniszczoną od ciągłego czytania gazetą i obserwował usytuowaną na wzniesieniu posiadłość Henry'ego. Oczy już mu łzawiły od nieustannego patrzenia. Na łamach angielskiego magazynu poświęconego tematyce stylowego *country living* zamieszczono wielkoformatowe zdjęcie *living roomu* Henry'ego, z gospodarzem siedzącym na sofie Chesterfield w towarzystwie żony i psa. Fasch długo wpatrywał się w tę fotografię, szukając ukrytych wskazówek dotyczących miejsca jej wykonania. Kobieta u boku Henry'ego wyglądała na osobę wykształconą i sympatyczną, było w niej coś ezoterycznie promiennego. Nosila wysokie podbite buty i tweedowe poncho. Henry, stary kolekcjoner trofeów, rozsiadłszy się na sofie, obejmował ją ramieniem. W tle nieostry zarys panoramicznego okna, oczywiście ciemne regały pełne książek, nieodzowny kominek, a z boku czarny pies siedzący w pozie hiszpańskiego granda. Jakże stereotypowy był ten pokój dzienny, jakże absolutnie gustowny i odpowiedni dla człowieka pokroju Haydena, który wśród wytwornych rupieci i w towarzystwie stosownych ssaków skrywał swoją złośliwą osobowość. Obrzydliwe.

Fasch rozwiązał tymczasem całą krzyżówkę, łącznie z nazwami wszystkich rzecznych dopływów i nordyckich bóstw. Podsufitka zamieniła się w morze krwawych plam. Od czasu do czasu przez otwarte okna docierał słaby podmuch wiatru, przynosząc zapach skoszonej trawy i wprawiając w ruch niewielką fotografię jego matki Amalie, zawieszoną na wstecznym lusterku.

Na tylnym siedzeniu leżała stara aktówka. Ważyła już tyle co dwudziestotygodniowe niemowlę i zawierała wszystko, co można było przeczytać o Henrym Haydenie lub wyszło spod jego pióra. Fasch nie rozstawał się z teczką ani na chwilę. Przez ostatnie tygodnie wielokrotnie zrywał się w nocy z krzykiem, gdyż śnił, że ją utracił.

Materiały na temat Henry'ego zgromadzone dotąd przez Fascha pozwalały na pewną rekonstrukcję pierwszych jedenastu oraz ostatnich dziewięciu lat jego życia. Rozdzielała je ogromna dziura w czasie, wielkości lat niemal piętnastu. W biografii każdego człowieka istnieją białe plamy i ciemna materia, pomiędzy nimi rzeczy chętnie pomijane, gdyż są albo przykre, albo po prostu nieistotne. Piętnaście lat to jednak zbyt dużo, by okres ten przemilczeć. Brakowało całej młodości.

Henry wiódł tajemniczy żywot – w nieznanym miejscu i w nieznanym sposób. Już samo to stanowiło nie lada wyczyn, gdyż takie zniknięcie jest prawdziwą sztuką. Oznacza rezygnację i abstynencję. Rezygnację z ojczyzny, rodziny i przyjaciół, z języka i krnąbrnych przyzwyczajzeń. I komu można by o tym opowiedzieć? Z kim się tym wszystkim podzielić? Nawet doktor Mengele, który nieustannie musiał zmieniać kryjówki, pozostawił dziennik i ślady. *Milczenie jest wbrew naturze człowieka*, zdanie to widniało na pierwszej stronie *Franka Ellisa*. Bez wątpienia była to ukryta wskazówka na temat

sekretnej biografii Henry'ego.

Aż nagle znów się pojawia i publikuje powieści. Ot tak, po prostu. Bez prób, bez wprawek, bez błędów. Każda powieść opowiada także o samym autorze, nieważne, w jak bardzo wyrafinowany sposób stara się on w niej ukryć. Gisbert Fasch wierzył, że w powieściach Haydena, bez względu na to, czy rzeczywiście sam je napisał, czy może zwyczajnie ukradł, aż się roi od ukrytych wskazówek, trzeba tylko znaleźć klucz do ich odszyfrowania.

Samochód Henry'ego z dużą prędkością pędził w dół zbocza topolową aleją, wzbijając za sobą tuman kurzu. Fasch wyrzucił przez okno w połowie pełny jeszcze kubek herbaty, uruchomił silnik i wcisnął do oporu pedał gazu. Z trudem nadażał za Henrym, gdyż był niewprawnym kierowcą. Zużyte opony szesnastoletniego peugeota ślizgały się w zakrętach, samochód przechylał się na boki i wydawał przy tym histeryczne piski.

Po jakichś pięciu kilometrach, na rozwidleniu dróg, skąd w prawo można było dotrzeć do autostrady, w lewo zaś do nadbrzeżnej szosy, stracił już Henry'ego z oczu. Biorąc pod uwagę prędkość, z jaką wyruszył spod domu, można by sądzić, że Henry'emu bardzo się spieszyło. Komu się spieszy, wybiera autostradę. Fasch przez chwilę się wahał, po czym porzucił myśl o autostradzie i skręcił w lewo w kierunku wybrzeża.

Henry istotnie wybrał wąską drogę wijącą się wzdłuż wybrzeża, chciał bowiem wykorzystać ostatnią okazję, by się przejechać swoim maserati. Spodziewał się niezwłocznego zatrzymania przez policję, toteż zabrał z sobą małą podrózną szcztoteczkę do zębów, okulary do czytania oraz kieszonkowe wydanie *Sunset Park* Paula Austera, na wypadek gdyby w celi nie było nic do czytania. Słyszy się przecież, że pobyt w areszcie śledczym jest nieco mniej wygodny niż w więzieniu po wyroku skazującym.

Jego posiadłość dzieliło od zakładu medycyny sądowej jakieś czterdzieści kilometrów, zjawi się tam ponad godzinę przed czasem. Henry pomyślał o swoim psie. Nie miał serca uśmiercić go łopata. Kto się nim zaopiekuje, jeśli on nie wróci? Latem zamierzał odkopać starą studnię i odrestaurować witraże w kaplicy. Teraz jednak wszystko popadnie w ruinę, zostanie zlicytowane albo zrównane z ziemią przez buldożery jak dom Dutroux.

Policjny nurkowie prawdopodobnie wydobyli ciało Marthy z wnętrza subaru. A zatem policja kryminalna już wie, że samochód należał do Betty, z całą pewnością podsłuchiwali też jego rozmowy telefoniczne. To by wyjaśniało, dlaczego Betty tak uporczywie próbowała się z nim skontaktować. Współpracowała z policją, by nie oskarżono jej o zamordowanie Marthy. Któż wzięłby jej to za złe, na jej miejscu Henry postąpiłby tak samo. To przecież ów pragmatyzm tak bardzo u niej cenił. Trudno będzie teraz uznać śmierć Marthy za wypadek podczas kąpieli, od czego jednak ma się adwokatów? Są opłacani za wymyślanie uzasadnień. Henry'ego stać było na najlepszych prawników, od czasu zaś uniewinnienia O.J. Simpsona nie ma rzeczy niemożliwych.

Henry dostrzegł w lusterku wstecznym swego prześladowcę. Czerwony samochód zbliżył się na odległość jakichś dwustu metrów, po czym zachowywał stały odstęp. W lusterku nie sposób było rozpoznać, ile osób w nim jedzie, tym bardziej że słońce odbijało się w przedniej szybie. Policja chyba nie posłała w ślad za nim takich dyletantów. Henry zwolnił, pojazd za nim także przyhamował. Kiedy tylko znów przyspieszył, czerwony samochód zaraz go doganiał. Może byli to tylko turyści albo miłośnicy morskich ptaków przyjeżdżający o tej porze roku na wybrzeże, by obserwować ich loty godowe. „Ten człowiek może też być jedynie wytworem twojego sumienia – pomyślał Henry – bądź co bądź świat jest pełen niebezpieczeństw dla kogoś, kto zła się spodziewa”.

Henry przyspieszył, zostawiając mały samochód daleko w tyle. Za osłoniętym przez wysokie zarośla zakrętem ostro zahamował, nałożył przeciwsłoneczne okulary, wysiadł z samochodu i czekał.

Aerozol morskiej kipieli pokrył niczym welon szkła jego okularów. Brzeg w tym miejscu opadał jakieś trzydzieści metrów w dół, umieszczono tu ciężkie betonowe bloki jako ochronę przed stoczeniem się w przepaść. Wiatr wył pomiędzy skałami, obłoki pędziły cienie po nadbrzeżnej szosie. Henry dostrzegł krążące nad nim mewy. Minęło pół minuty, gdy dosłyszał nadjeżdżający samochód. Wszedł w zakręt z dużą prędkością, zapisały opony.

Fasch zauważył Henry'ego stojącego przed pojazdem. To on, bez cienia wątpliwości. Stał opanowany, ręce trzymał w kieszeniach spodni. Wciąż miał gęste włosy, szerokie ramiona, ubrany był w kraciastą marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, podobnie jak na owym pompatycznym portrecie szpecącym okładki wszystkich jego książek.

Wskutek uderzenia o betonowy blok przednia szyba rozprysła się w miliony fraktali. Głowa kierowcy ją przebiła, po czym powróciła na swoje miejsce. Wszystko się spowolniło i zaczęło wirować. W samym centrum tego obracającego się świata Fasch ujrzał zdjęcie swojej matki Amalie, które pozostawało nieruchome, gdy tymczasem wszystko wokół się poruszało. Zastanawiał się, kiedy ostatnio do niej zadzwonił i co powinien jej podarować w prezencie na siedemdziesiąte urodziny. A potem coś implodowało w jego piersi, coś naparło nań z obu stron, zrobiło się gorąco.

Peugeot dachował. Deszcz szkła zadudnił o jezdnię. Henry przebiegł trzydzieści metrów dzielące go od wraku samochodu. Omal się nie potknął o grubą brązową aktówkę leżącą na ulicy. Wokół fruwały kartki papieru. Rozbite auto syczało jak ranny smok. Mieszanina cieczy wylewała się na jezdnię z szeroko rozwartej metalowej paszczy. Dach był rozdarty, brakowało jednych drzwi oraz wszystkich szyb, prawe tylne koło nadal się kręciło. Henry zdjął niespiesznie swoją angielską kaszmirową marynarkę i przyklęknął w połyskującej kałuży, by zajrzeć do wnętrza zniszczonego pojazdu. Dostrzegł najpierw rękę, drgające palce dłoni, potem mężczyznę leżącego na tylnej kanapie, skręconego i jęczącego z bólu. Wciąż żył, lecz o prowadzeniu samochodu niewielkie miał pojęcie.

Henry chwycił go za rękę i pociągnął. Mężczyzna jęknął. Puścił dłoń, po czym wpełzł do wraku tak głęboko, jak tylko zdołał, objął zakrwawioną klatkę piersiową ранnego i zaczął go wyciągać na zewnątrz. Bez większego oporu ciało znalazło się na jezdni. Mężczyzna miał otwarte oczy, lecz wydawało się, że nic do niego nie dociera, twarz właśnie zaczynała puchnąć, z ucha sączyła się strużka krwi. W jego piersi, po prawej stronie, utkwiał oderwany trzonek zagłówek. Henry przystawił ucho do otwartych ust ранnego i dosłyszał bulgoczący oddech.

Henry chwycił za trzonek i wyciągnął go z piersi, zatrzeszczały żebra. Znów zaczął nasłuchiwać. Po kilku oddechach bulgotanie osłabło, klatka piersiowa mężczyzny unosiła się i opadała w szybkim tempie. Z rany popłynęło mnóstwo krwi. Henry oderwał ze swojej ulubionej koszuli pasek materiału i wepchnął go palcem w dziurę w piersi, mniej więcej tak, jak się nabija fajkę.

Przy kamieniu kilometrowym numer osiem, niedaleko rozwidlenia dróg, skąd leśna dróżka wiodła w lewo w stronę klifu, Henry skręcił w prawo w kierunku miasteczka. Fasch leżał na tylnej kanapie, głowę opierał na aktówce, którą Henry zabrał z miejsca wypadku. Plama krwi rozlewała się po skórzanej tapicerce nappy tylnego siedzenia. Wysoko uniesione nogi wystawały przez okno tylnych drzwi. Mężczyzna cicho pojękiwał, wciąż jednak był nieprzytomny. Ruch na ulicach gęstniał. Henry panował nad samochodem przy każdym manewrze wyprzedzania, jechał, trzeba to przyznać, wyścig swego życia i po niecałych dwudziestu minutach dotarł do szpitala.

Przed izbą przyjęć stał ambulans z otwartymi tylnymi drzwiami. Sanitariusz w połyskującej ostrzegawczej czerwieni siedział na noszach i czytał gazetę, gdy Henry, trąbiąc, wjechał na podjazd.

– Mam ранnego! – krzyknął z okna samochodu.

Ze stoickim spokojem, bez jednego zbędnego ruchu, sanitariusz złożył gazetę. Każdego dnia widział tuzin rannych, zmarłych i umierających, mających pijaków, płaczące matki, i ani przez

jedną cholerną minutę nie pozwalano mu w spokoju przeczytać gazety. Bez słowa pomógł przenieść nieprzytomnego mężczyznę na nosze i zawieźć na izbę przyjęć.

Zmęczony i niezdecydowany, czy będzie jeszcze do czegoś potrzebny, Henry usiadł w swoim samochodzie i zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do Jenssena, by odwołać spotkanie w zakładzie medycyny sądowej. Przeraziła go myśl, że miałby teraz zobaczyć zniekształcone, rozkładające się ciało Marthy. A jednak pragnął ujrzeć jej twarz, pragnął jej dotknąć. Był jej to po prostu winien. Z pewnością jej mina będzie odzwierciedlać przerażenie ostatnich chwil, kiedy zrozumiała swój błąd. Mimo dodatkowego zmysłu synestetycznego oraz znajomości ludzkiej natury pomyliła się jednak co do niego. Pomyliła z miłości, aż tchórzliwie zaszedł ją od tyłu i zepchnął w mroczne morze. To było morderstwo, nawet jeśli była to pomyłka. Któż inny, jeśli nie on, Henry, zdoła dostrzec w jej twarzy rozczarowanie?

Ktoś zapukał w boczną szybę. Obok samochodu stał młody lekarz. Henry ponownie wysiadł.

– Jest pan ranny?

Henry spojrzał po sobie. Dopiero teraz zauważył, że ma poplamione spodnie i podartą koszulę, a na rękach ślady spływającej krwi.

– To krew tego drugiego. Czy wciąż żyje?

Lekarz skinął głową.

– Ma liczne złamania, uszkodzoną czaszkę, stracił mnóstwo krwi, ale przeżyje. To pan go tu przywiózł?

\*\*\*

Podano mu szklankę wody. W gabinecie lekarskim na izbie przyjęć Henry zmył z rąk krew i opowiedział, gdzie to się wydarzyło, co widział i zrobił. O tym, że za zakrętem czatował na swego prześladowcę, Henry nie wspomniał. Niby po co? Zobaczył na stole na wpół niedopite filiżanki i nadgryzione kanapki z wędliną, porzucone w pośpiechu, by nieść pomoc innym.

– Czy wyciągnął mu pan coś z piersi? – zapytał lekarz.

– Tak. Tkwił w niej kawałek metalu, strasznie bulgotało. Myślałem, że może przeszkadza mu to w oddychaniu.

– Ma odmę płucnej, byłby się udusił.

– A zatem dobrze zrobiłem?

– Uratował mu pan życie.

Henry okazał dokumenty, podpisał sporządzony protokół. Ładna pielęgniarka przyniosła mu z samochodu marynarkę. Biały kitel fantastycznie na niej leżał. „Dlaczego faceci lubią kobiety w uniformach?” – zastanawiał się Henry.

– Policja zgłosi się do pana, panie Hayden.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Spojrzał na zegarek. Czas naglił, suma zdarzeń stawała się coraz bardziej nieprzenikniona. Mógł jeszcze zdążyć na spotkanie w zakładzie medycyny sądowej, gdyż wyjechał z domu dużo wcześniej, lecz czy powinien dać się aresztować w takich łachmanach?

– Nie ma pan dla mnie przypadkiem jakichś spodni i koszuli?

Lekarz zniknął w sąsiednim pokoju i wrócił z ubraniami.

– Spodnie należą do ordynatora, koszula jest moja. – Wszystko pasowało, spodnie były trochę przyciasne. – Proszę po prostu odesłać potem do szpitala.

Na szarym korytarzu izby przyjęć dogoniła go pielęgniarka. Po raz drugi podała mu marynarkę.

– Pan jest pisarzem, mam rację?

– A pani?

– Gdybym umiała pisać tak jak pan, z pewnością nie byłabym pielęgniarką. Wyrazy współczucia, panie Hayden.

– Z jakiego powodu?

– Pańskiej żony. Przeczytałam w gazecie. Mogę zrobić nam zdjęcie?

– Innym razem. Kiedy włożę coś stosownego.

Siedząc w samochodzie, Henry włożył marynarkę. Odwinął z nadgarstka przesiąknięty krwią bandaż i rzucił go na dywanik. Przyjrzał się ranie po ugryzieniu kuny. Skóra wokół była zaczerwieniona i lekko napuchnięta. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien wrócić na izbę przyjęć, by obejrzano tę drobnostkę, zarzucił jednak ten pomysł. To po prostu śmieszne. Dopiero co wyjął obcemu mężczyźnie z piersi trzonek, w zakładzie medycyny sądowej leży jego martwa żona, jego samego zaś czeka dożywotnie więzienie. Kiedy ruszył, wspomnienie wypadku zgasło niczym sen, wymazany w chwili przebudzenia.

Nie wyobrażał sobie tego, co miało nastąpić. Podczas aresztowania nie złożył żadnego zeznania, lecz zaczeka, aż zostaną mu przedstawione zarzuty. Przed sądem oskarżony powinien niewiele mówić. A najlepiej milczeć. Można też kłamać. Oskarżony korzysta bowiem z rzadkiego przywileju: z możliwości kłamstwa. Poza tym jest w samym centrum zainteresowania. Nierzadko dopiero na ławie oskarżonych przestępca po raz pierwszy w życiu doświadcza prawdziwego zainteresowania swoją osobą oraz swym zmarnowanym życiem. Niektórzy są tym tak bardzo przejęci, że zeznają więcej niż to konieczne, tylko po to, by rozkoszować się faktem, że ktoś ich słucha. Możliwe, że niejedyn nigdy nie zostałby przestępcą, gdyby wcześniej pozwolono mu zakosztować owego drogocennego eliksiru uznania. Ofiary przestępstwa, rodzina zmarłego, na próżno na to czekają, gdyż nagrodą za cierpienie jest, jak wiadomo, uniknięcie kary. Uznanie rzadko bywa sprawiedliwe.

Henry miał teraz przed sobą czas do końca świata. Resztę życia spędzi na czekaniu i wspomnianiu. Może nawet napisze książkę i stanie się lepszym człowiekiem. I będzie też oczywiście żałować.

Szara fasada budynku mieszczącego zakład medycyny sądowej odznaczała się stosowną prostotą, zrezygnowano z wszelkiej ornamentyki. Jenssen z kubkiem kawy w dłoni przysiadł na schodach przed wejściem i przewracał kartki w niewielkim segregatorze. Kiedy spostrzegł Henry'ego, odstawił kubek na stopniu schodów, podszedł do niego i wyciągnął rękę na powitanie. Powiódł krótko wzrokiem po karoserii maserati, a następnie spojrzał na jego buty.

– Co się stało?

Henry zerknął na poplamione krwią obuwie. „A widzisz – pomyślał – o tym zapomniałeś. Tak szybko się to dzieje”.

– Byłem po drodze świadkiem wypadku. To nie moja krew. Wejdziemy?

Jenssen zrezygnował z dalszych pytań. Na wskroś miła cecha.

– Nie musi pan tego robić – rzekł do Henry'ego na schodach. – Możemy po prostu poczekać na wyniki analizy DNA.

– Jasne, że możemy. Ale chcę zobaczyć moją żonę. Jestem wdzięczny, że od razu pan do mnie zadzwonił. Czy ona kiepsko wygląda?

– Ja też jej jeszcze nie widziałem. Szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie widziałem topielca. – Jenssen się podrapał. – Ale zawsze jest ten pierwszy raz, prawda?

„Takiego funkcjonariusza można sobie tylko wymarzyć – pomyślał Henry. – Nic co ludzkie nie jest mu obce, a mimo to nadal jest miłym facetem, współczującym, otwartym na proste doznania człowiekiem, i nie pozostaje obojętny wobec cierpienia innych”.

– Gdzie się podziewa pańska urocza koleżanka, przypominająca nieco z wyglądu...

– Oposa? – Jenssen głośno się roześmiał.



Henry skinął głową.

– Ona rzeczywiście wygląda wypisz wymaluj jak opos. Nigdy nie wchodzi do zakładu medycyny sądowej, twierdzi, że za bardzo tam cuchnie.

Jenssen zrozumiał swój lapsus, na powrót spoważniał.

– Napije się pan kawy?

– Może później – odparł Henry. – Miejmy to już za sobą.

Jenssen puścił Henry'ego przodem. Henry przypuszczał, że to nadzwyczaj uprzejme traktowanie go przez Jenssena nie wynikało z respektu, lecz raczej ze strategii przesłuchania. Z łoskotem otworzyły się zaryglowane drzwi, przeszli przez korytarz, w którym buczał automat do kawy, i przystanęli przed szybą, za którą siedziała poirytowana kobieta. Nic dziwnego, że człowiek jest w złym humorze, skoro przez cały dzień gapią się na niego w tej przeszklonej skrzyni jak na jakąś małpę. W korytarzu pachniało środkami czystości i parzoną kawą, w powietrzu unosiła się jeszcze jakaś nieokreślona woń dobywająca się z sutereny.

Henry ponownie podpisał formularz, zerknął naienne światło wpadające przez okna, po czym przeszedł przez niebieskie dwuskrzydłowe drzwi. Schody prowadziły w dół do czegoś w rodzaju śluzu, gdzie Jenssen wręczył mu zielone plastikowe ochraniacze na buty oraz kitel. Henry zauważył, że Jenssen bacznie go obserwuje. Przypuszczalnie liczył na to, że na widok zwłok się przyzna. On jednak postanowił nie ułatwiać mu sprawy.

– Co z pańską dłonią?

„Spóźnione pytanie” – pomyślał Henry. Jenssen już wcześniej zauważył tę ranę. Pytanie zadał dopiero teraz, z zaskoczenia. „To element taktyki – przemknęło Henry'emu przez myśl. – Muszę o tym pamiętać”.

– Coś mnie ugryzło.

Henry wszedł za Jenssenem do hadesu sali obdukcji. Uderzyła go woń rozkładającego się mięsa. *Oto jest miejsce, gdzie śmierć radośnie śpieszy życiu na pomoc*, głosiła inskrypcja na ścianie. Jenssen położył Henry'emu dłoń na ramieniu.

– Mogę udzielić panu rady?

– Proszę.

– Niech pan oddycha przez nos, a wtedy łatwiej pan przez to przejdzie.

Nie trzeba mieć żadnego przygotowania, by poznać zapach śmierci. Żaden inny mu nie dorównuje. Budzi on niemiłe przeczucie, które powraca do świadomości, gdy się przekracza próg sali do sekcji zwłok.

Żadne zwłoki nie są piękne. Henry dostrzegł najpierw stopy. Palce były czarne i bardzo opuchnięte. Na pierwszym z czterech dużych czystych stołów ze stali szlachetnej, oświetlonym pionowym snopem światła, leżało dziwnie masywne ciało. Klatka piersiowa została otwarta, głowa spoczywała na plastikowej podstawie, twarz zakrywało coś ciemnego. Przy stole stała kobieta o krótkich włosach w poplamionym kitlu, około pięćdziesiątki, i wkładała coś miękkiego do stalowej miski, coś, o czym nie chcemy wiedzieć, co to jest. Lekarka sądowa wchłonęła surowość tego pomieszczenia, by radośnie śpieszyć śmierci na pomoc. Kilka kroków przed wejściem Jenssen znów przystanął i przytrzymał Henry'ego.

– Niech pan chwilkę zaczeka.

Wszedł pierwszy i rozmawiał po cichu z patolożką. Henry dostrzegł jej przelotne spojrzenie, skinęła głową, zieloną płachtą zakryła otwartą klatkę piersiową. Henry zauważył teraz obrzmiałą rękę wystającą z boku spod przykrycia. Poczerniała skóra na palcach była popękana, jej fragmenty zwisały na boki, widać było część kości. Brakowało palca serdecznego.

Wrócił Jenssen, zasłonił sobą widok zwłok. Wyraźnie pobladł.

– Musi pan wybaczyć, nikt tu nie wiedział, że pan przyjedzie. Sam pan widzi, ciało zostało otwarte, a twarz... – Jenssen nie potrafił dokończyć zdania – ...lepiej, żeby pan na to nie patrzył.

– Proszę. Chcę do mojej żony.

Jenssen odsunął się o krok, Henry minął go i podszedł do stołu. Patolożka wsunęła pod tors coś, co przypominało szpachlę. Czaszka została rozcięta, mózg leżał obok na szalce. Skórę twarzy ściągnięto od czoła w dół, jak u skórowanego zwierzęcia. Palec serdeczny leżał oddzielnie, na osobnej szalce obok mózgu, połyskiwała na nim złota obrączka. Patolożka chwyciła przez lateksowe rękawiczki za miedzianozielone włosy kobiety i mało sentymentalnym szarpnięciem naciągnęła skórę twarzy z powrotem na czaszkę.

– Pańska żona utonęła – oznajmiła.

*Moja żona?* – zapytał w myślach Henry. Twarz topielicy przypominała pizzę *quattro stagioni*, jaką ze smakiem zajada się we włoskiej restauracji za rogiem, obłożoną sezonowymi dodatkami. Ciastowaty czarny język wypływał z ust, oczy zmieniły się w wyschnięte oliwki, nos przybrał kształt karczocha i odsłonił dwie czarne dziury. Nic nie przypominało Marthy. Nawet w przybliżeniu nie sposób było rozpoznać jej rysów. Ta odczłowieczona wskutek rozkładu twarz oraz reszta masywnego ciała należały do obcej kobiety.

Choć miał co do tego absolutną pewność, Henry spojrział jeszcze na leżący na szalce pęknięty palec i tkwiącą na nim obrączkę. Była szeroka i brzydsza niż ta, którą nałożył żonie w urzędzie stanu cywilnego. Testy genetyczne były zbyt precyzyjne. To nie ona.

Henry odwrócił się, potrząsnął głową.

– To nie jest moja żona.

Jenssen skinął przytakująco, jakby Henry właśnie zidentyfikował zwłoki żony.

– Owszem. Nie wygląda jak pańska żona, ale to ona.

„Na miły Bóg – pomyślał Henry – gdy mówię prawdę, nikt mi nie wierzy”.

– Co miała na sobie? – zapytał, choć wiedział, że może to być piramidalny błąd.

– Była ubrana od stóp do głów.

– Jak w takim razie może być moją żoną? Przecież znalazłem na plaży jej ubranie. Poza tym jest drobnej budowy, a ta kobieta tutaj... – Henry wskazał na zwłoki – jest przy kości. A do tego obrączka na palcu nie jest obrączką ślubną Marthy.

Jenssen zerknął do swego segregatora.

– Nic tu nie ma na temat obrączki.

Kartkował, jakby w ten sposób miała się zmaterializować brakująca wskazówka, po czym spojrział na patolożkę.

– Obrączka była przykryta naskórkiem dłoni – wyjaśniła rzeczowo.

Henry uniósł dłoń i pokazał swoją ślubną obrączkę.

– Sam je wówczas wyszukałem, nasze obrączki są identyczne i znacznie węższe. Kazaliśmy wygrawerować nasze imiona. Na jej obrączce musi widnieć moje imię.

Po raz pierwszy od lat zdjął obrączkę, sprawiając tym sobie ból, po czym podał ją Jenssenowi. Ten obejrzał znajdujący się po wewnętrznej stronie grawerunek z imieniem Marthy, a następnie podszedł do stołu i pochylił się nad leżącym na szalce palcem.

Patolożka chwyciła za kleszcze i zdjęła obrączkę z tkanki kostnej. Nie był to przyjemny odgłos. Wypłukała ją pod bieżącą wodą i podała Jenssenowi. By przyjrzeć się wewnętrznej stronie, Jenssen musiał przysunąć ją blisko do oczu. Obrączka z pewnością nie pachniała ładnie i nie nosiła śladów grawerunku. Wstyd i złość z powodu przedwczesnego i nieprofesjonalnego powiadomienia

zarumieniły mu twarz.

– Cholera... – jęknął. – Strasznie mi przykro.

– Ależ niepotrzebnie. – Henry wykorzystał sposobność, by pochwalić funkcjonariusza za jego dobroduszość. W końcu każdy może się pomylić. – Wie pan co, panie Jenssen – rzekł, kładąc mu dłoń na ramieniu – przekonał mnie pan, że moja żona nadal żyje. I za to panu dziękuję. Napije się pan kawy?

Znów wszystko pozostawało kwestią otwartą. Nikt go nie podejrzewał, nikt nie zamierzał go aresztować, szczoteczka do zębów i książka okazały się zbędne, wróci do domu jako wolny człowiek. Snop sztucznego światła padał z sufitu na otwarte ciało kobiety niczym promień słońca przedzierający się przez chmury po burzy. Henrym owładnęło współczucie dla zmarłej. Co pchnęło tę biedaczkę w morską toń? Była znużona życiem czy może nieuleczalnie chora? Miała dzieci? Kto na nią teraz czekał na próżno?

Jak się miało później okazać, zmarła była urzędniczką na wcześniejszej emeryturze, która spadła z mostu, próbując sfotografować mewę.

Przy automacie w korytarzu Henry poczęstował Jenssena kawą. Stali przez chwilę w milczeniu, pograżeni we własnych myślach, i sączyli napój z plastikowych kubków.

– Ludzie znikają – stwierdził Jenssen po dłuższej przerwie. Wypił łyk, po czym zgniótł kubek w dłoni.

– A niektórzy wracają.

Henry wzruszył ramionami.

– Co pan ma na myśli?

– Cóż, całkiem niedawno zgłosił się do nas facet, który zniknął na czternaście długich lat, ponieważ jego dzieci, jak wyjaśnił, grały mu na nerwach.

Jenssen zachichotał, Henry zachował powagę. Kto wie, jak trudno zniknąć bez śladu, nie uważa tego za powód do śmiechu.

– Od dziesięciu lat uznawano go za zmarłego, jego żona poślubiła sąsiada, a ten nagle wraca i żąda od niej zwrotu swego ubezpieczenia. Złożył na nią doniesienie – czy można to pojąć?

Henry dobrze rozumiał mężczyznę, nic jednak nie odpowiedział. Jenssen wyjął z segregatora kartkę papieru i wręczył ją Henry'emu. Najwyraźniej została wyrwana z jakiejś książki. Widać było cztery drukowane słowa z pojedynczej linijki tekstu.

– Znaleźliśmy to w kurtce pańskiej żony.

Henry założył okulary do czytania, które zabrał z sobą do aresztu śledczego. Słowa nagryzmołono długopisem nad tekstem drukowanym, ostrze wielokrotnie przebiło papier, widocznie podłoże było miękkie. Odręczne pismo należało do kobiety, było zaokrąglone i pozbawione ostrych haczyków.

– *Jeśli mogę cokolwiek zrobić, i do tego numer telefonu.* – Zwrócił Jenssenowi kartkę. – To nie jest pismo Marthy.

– Zadzwoniliśmy pod ten numer. Należy do niejkiej Sonji Reens.

Henry ujrzał przed sobą młodą kobietę, która marznąc nad brzegiem morza, włożyła parkę Marthy.

– To córka naszej pani burmistrz, Elenor Reens. Spotkałem ją na plaży, gdy szukałem mojej żony.

– Zgadza się. Kazała pana pozdrowić, pytała mnie, jak się pan czuje.

– I? – dopytywał się Henry. – Jak się czuję?

– Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać – odparł Jenssen, po czym wskazał na notatkę. – Czy ten tekst nie wydaje się panu znajomy?

Henry przeczytał na głos wydrukowane słowa: „zawsze sam niż nigdy”.

Zupełnie nie miał pojęcia, co miałby znaczyć ten bełkot.

– Nic to panu nie mówi?

W spojrzeniu Jenssena czaił się triumf, jakby właśnie wylądował na planecie małp. Wewnętrzny głos podpowiadał Henry'emu, że powinien znać to zdanie, postanowił zatem – jak to często robił – posłużyć się starą dobrą heurystyką i zgadywać w ciemno. Zbyt rzadko robimy użytek z naszego ukrytego zmysłu do wysnuwania przypuszczeń. Niezależnie od rozumu i świadomości pracuje dla nas cała armia anonimowych neuronów. Z ładunków elektrycznych powstają wspomnienia, rodzi się głęboko ukryta wiedza i wytwarza wizje podświadomości. Wystarczy im tylko zaufać.

– To moje. To zdanie jest moje.

Jenssen był równie zaskoczony, co rozczarowany.

– Bingo – rzekł z uznaniem. – Ja także od razu je poznałem i sprawdziłem. Strona sto druga, u dołu. Brakuje tylko słowa *lepiej*. Lepiej zawsze sam niż nigdy. To z pańskiej powieści, panie Hayden. *Szczególne brzemie winy*. Uważam, że to najlepsza z pańskich książek.

– Moje uznanie – szepnął Henry. – Widać, ile jest wart uważny czytelnik.

## XI

Postanowił się rozejrzeć. Przy słupku kilometrowym numer osiem skręcił w kierunku klifu – choć rozsądniej było wrócić do domu, nawet amator wie przecież, że mordercy często wracają na miejsce zbrodni, gdzie zostają następnie aresztowani. Robią tak, gdyż są sentymentalni, są, jak wszyscy, dociekliwi, niektórzy czynią to z próżności, inni zaś ze skruchy, idąc za podszeptami swego sumienia. Ci ostatni wracają, ponieważ nie mogą uwierzyć, iż rzeczywiście byli zdolni do popełnienia tego czynu. Henry natomiast po wizycie w zakładzie medycyny sądowej doszedł do przekonania, że policja trzyma się wersji o wypadku. Nie było zatem powodu, by *nie* sprawdzić, gdzie leży jego żona i co się z nią tymczasem stało. Uznał, że Martha by tego oczekiwała.

Z daleka dostrzegł migające tablice ostrzegawcze. Gdy powoli przejeżdżał przez nieszczęsny zakręt drogi, na którym ów biedny idiota po prostu się nie wyrobił i uderzył w betonowe słupki, wyminął go samochód holowniczy z załadowanym wrakiem auta. Był całkiem zmiażdżony, aż dziw, że ktoś wyszedł z tego żywy. Henry sobie przypominał, że ich spojrzenia się spotkały tuż przed uderzeniem samochodu w słupki. Zamiast patrzeć na drogę, kierowca spojrział w jego kierunku, był zaskoczony jego widokiem, jakby go rozpoznał. „Cóż, wielu ludzi rozpoznaje mnie na ulicy – pomyślał Henry – kogo to obchodzi. I tak miał mnóstwo szczęścia, z moją pomocą przeżył wypadek”.

Wjechawszy na leśną drogę, Henry zatrzymał samochód w tym samym co zwykle miejscu i pogwizdując, ruszył po ażurowych betonowych płytach w kierunku klifu. Po niebie sunęły pojedyncze, drobne białe obłoki, ciepłe powietrze było przesycone zapachem świeżych świerkowych igieł. „Trzeba by częściej chodzić na spacer – pomyślał. – To takie dobre dla zdrowia”.

Przy klifie, w miejscu, gdzie wcześniej stało subaru, parkował teraz kamper. Wnioskując po numerach rejestracyjnych, zatrzymała się tam angielska rodzina z dziećmi i wytwarzała imponującą górę biwakowych śmieci, rozrzuconych symetrycznie dokoła. Prawdziwa uczta dla śledczych. Cały teren był skropiony śliną i potem, nie mówiąc już o ekskrementach, włosach, łupieżu i czort wie czym jeszcze. „Niech Bóg błogosławi tej rodzinie – radował się w myślach Henry – nawet najlepsi śledczy przez tysiąc lat sobie z tym nie poradzą”.

Skrył się w zaroślach i obserwował z zachwytem nagą kobietę w drewniakach, która właśnie rozwieszała pranie na sznurku rozpiętym między dwoma drzewami. Owa późnoneolityczna wenus była zapewne matką. Jej jasno połyskujące piersi z wyraźnymi otoczkami brodawek sutkowych bujały się ciężko, zachowując jednak ładny kształt, talia była wyraźnie poszerzona wskutek wydania na świat trójki dzieci, które w pobliżu kampera obrzucały się szyszkami. Uwagi Henry’ego nie uszła blizna po cesarskim cięciu, ciągnąca się poziomo nad łonem – bardzo dobrze zagojona i całkiem nieszpeta.

Na aluminiowym krześle, założywszy nogę na nogę, po których wiły się żyłki, siedział w słomkowym kapeluszu na głowie pogrążony w lekturze gazety nagi herszt rodu – i co robił? – palił papierosy! Nie zaciągał się tak gwałtownie jak Betty, lecz rozkoszował się każdym wdechem skrcającym mu życie. Ten kulturalny Brytyjczyk starannie rozgniatą niedopałek o nogę krzesła, po czym ciskał go przed siebie, by od razu zapalić następnego papierosa. Henry chciał mu podarować całą ich ciężarówkę. Jego udane, nagie dzieciaki niezmordowanie zbierały szyszki i obrzucały się nimi, śmiejąc się przy tym i krzyżąc – radośnie było się im przyglądać. Henry najchętniej przyłączyłby się do nich. Ile to już czasu minęło, odkąd sam tak swawolił, jakże rzadkie były to chwile! Tak, należy częściej wybierać się na urlop razem z dziećmi, tyle przy tym uciechy.

Gdyby jakimś cudem zachowały się jeszcze jakiekolwiek ślady opon subaru, zostałyby wyrównane

i zatarte przez szerokie opony kampera. Cudownie. Henry postanowił wrócić tu przy następnej okazji. Z wielką ochotą przespacerowałby się obok miłośników nudyzmu w stronę klifu, by rzucić okiem na Marthę – nie należy jednak kusić diabła, nawet gdy jest w dobrym humorze.

Thuste czarne muchy pełzały chaotycznie po okiennych szybach maserati. Słońce rozgrzało wnętrze samochodu. Kiedy Henry otworzył drzwi, rój much wymknął się na zewnątrz w cuchnącym strumieniu powietrza. Zapach unosił się z leżącej na tylnej kanapie torby, która przywarła do zbrązowiałej już kałuży krwi. Muchy zdążyły już złożyć symetryczne grona białych jaj.

Z odrazą chwycił za ucho torby i wyciągnął ją na zewnątrz. Kleiła się do tapicerki tylnej kanapy. Ucho pociemniało już od potu dłoni. Zmartwionym wzrokiem zlustrował krwawą maź zalegającą na czerwono-brunatnej skórze nappa, najlepszej skórze pochodzącej od ręcznie masowanych wołów. Sprawa dla ubezpieczyciela. Z torby wystawały pożółkłe kartki. Henry już miał nią cisnąć w zarośla, gdy na jednej z kart zauważył zakreślone ołówkiem słowa. Było to świadectwo szkolne z trzeciej klasy. Niebieską obwódką zaznaczono *jego* nazwisko.

U dołu świadectwa widniały nieczytelne podpisy. Owa trzecia klasa to dwa szczególnie kiepskie lata, do których niechętnie powracał pamięcią. Wszystkie oceny były mierne lub niedostateczne – z wyjątkiem wuefu. W końcowej opinii można było przeczytać między innymi: *Henry nie otrzymuje promocji. Przeszkadza na lekcjach, ściąga od kolegów, jego aktywność oraz posłuszeństwo pozostawiają nad wyraz wiele do życzenia.* Wykrzyknik. „Ściąga od kolegów” zakreślono na czerwono i opatrzone na marginesie dodatkowym wykrzyknikiem.

Henry zobaczył kopię swego aktu urodzenia, świadectwa szkolne, dokumenty sądowe na temat rodziców, protokoły skierowań do ośrodków wychowawczych, orzeczenia psychologów, artykuły prasowe o Henrym Haydenie i jego powieściach, nawet kopię swego aktu ślubu – wszystko starannie zszyte i uporządkowane według dat oraz oznaczone kolorowymi esami-floresami. Henry stłumił w sobie impuls, by torbę tę od razu spalić. Rzucił ją na tylną kanapę, opuścił wszystkie szyby w samochodzie i kilka minut później, jadąc z niepozorną prędkością, ponownie minął zakręt drogi. Kilku strażaków zamiatało z jezdni ostatnie odłamki. A więc ten facet jednak go śledził. Powinien zaufać swemu instynktowi i pozwolić mu szczeznąć.

Wiara w kryjące się w człowieku dobro to trudny do obalenia przesąd. Czyż nie rozsądniej, zastanawiał się Henry, kiedy wściekły wjeżdżał topolową aleją do swej posiadłości, wierzyć w jego ewidentne zło? W jego przypadku owe sporadyczne przejawy dobra, jak uratowanie mężczyzny z wraku samochodu albo uduszenie sarny na polanie, były jedynie krótkim interludium w czynieniu zła. Był mordercą, kłamcą i hochsztaplerem. Nie być pytanym, kim się naprawdę jest, to wielka sztuka udawania. Miliony czytelników pochłaniały jego książki, wiele kobiet go pożądało, Martha zaś, która przecież lepiej niż inni wiedziała, jakie z niego ladaco, nigdy nie przestała go kochać. „Czy można kochać potwora – zastanawiał się czasem. – Czy wolno?” Nawet *trzeba*, o ile się wierzy w tkwiące w człowieku dobro. A wiara w dobro człowieka, podsumował Henry swój tok myślowy, nieuchronnie prowadzi do kary. Sama bowiem wiara w to sprawia, że kara staje się konieczna.

Dziś z rana udał się do zakładu medycyny sądowej z przeświadczeniem, że za zamordowanie własnej żony spędzi resztę życia za kratkami. Po drodze, zupełnie *en passant*, uratował życie obcemu człowiekowi, pomógł mu, nie zastanawiając się nad niefortunnymi konsekwencjami tego czynu. Omal się nie spóźnił na własne aresztowanie. Czy rachunek za morderstwo żony został tym samym wyrównany, a spodziewana kara umniejszona? Nie, z całą pewnością nie. Żaden dobry uczynek nie może zrównoważyć złego – wszak nie dlatego się tak robi. Prawda?

Nie było go tylko kilka godzin, Henry miał jednak wrażenie, jakby wrócił z długiej podróży. Coś się zmieniło. Poncho nie wybiegł mu jak zwykle naprzeciw, nie szczekał. Potem ujrzał Sonję Reens, córkę

pani burmistrz, stała w ogrodzie na starym kamieniu młyńskim, u jej stóp warował pies, zerkając na nią w napięciu. Wydawało się, że go zahipnotyzowała, gdyż nawet kiedy Henry go zawołał, nie odwrócił głowy, lecz nadal wpatrywał się w kobietę. Miała na sobie niebieskie džinsy, japonki i biały, przylegający do ciała T-shirt. Na jej ramionach połyskiwała opalona skóra, T-shirt odsłaniał wąski fragment talii. Uniosła rękę, pies położył się na brzuchu, opuściła ją, ukazując przy tym wnętrze dłoni, a pies znów usiadł, jakby ktoś pociągał za niewidzialne sznurki.

Henry włączał i wyłączał centralną blokadę drzwi w samochodzie. Na ten dźwięk Poncho zazwyczaj biegł do auta, odruchowo zrywał się do wspólnej przejażdżki, tym jednak razem nawet nie zastrzygł uszami. Przez całe lata nie potrafił nauczyć psa niczego, jak tylko robienia tego, co mu się żywnie podobało.

Dziewczyna klasnęła w dłonie, Poncho ocknął się z katatonii i merdając ogonem, pogryzł keksa, którego otrzymał w nagrodę. Henry pogroził mu palcem.

– Poncho, ustaliliśmy, że będziesz to robił wyłącznie ze mną. – Spojrzał na Sonję z podziwem. – Jak pani go do tego skłoniła?

Jej mina zdradzała dumę prawdziwego fachowca.

– To takie proste. Psy chętnie się uczą. Są wdzięczne, gdy się od nich wymaga. Poncho to ładne imię. Pasuje do niego. To mądry pies.

– Bardzo się cieszę. Jak dotąd mógłbym przysiąc, że jest durny.

Henry zauważył pleciony kosz stojący obok kamienia młyńskiego. Jego zawartość zakrywał kraciasty obrusik. Powiodła za jego wzrokiem.

– Pomyślałam, że być może potrzebuje pan towarzystwa, panie Hayden. Moja matka Elenor upiekła dla pana placek z rabarbarem.

– Dla mnie?

Henry wołał już waterboarding. Rabarbar zaliczał się według niego do gorzkich gatunków warzyw, które przerabia się na obrzydliwą w smaku galaretę, by następnie torturować nią w jadalniach bezbronnych dzieci. W trakcie jego tułaczki po rozmaitych zakładach opiekuńczych i placówkach dyscyplinujących zawsze doświadczał tego samego: za każde wykroczenie należy się odpowiednia kara, a w nagrodę dostaje się kompot z rabarbaru. Nie był to jednak odpowiedni moment na resentmenty.

Sonja zeskoczyła z kamienia, jej zwiewna postać schyliła się po kosz, podniosła go i zaczęła nim kołysać. Henry jak urzeczony patrzył, jak ich cienie zbliżają się do siebie.

– A może naprawdę pan tak uważa? *Lepiej zawsze sam niż nigdy?* – zapytała z uśmiechem.

Henry od razu przypomniał sobie skrawek papieru, który pokazał mu Jenssen przed zakładem medycyny sądowej. „Są dni, kiedy wszystko do mnie powraca” – przemknęło mu przez myśl.

– Nie, to nie moje zdanie. Napisała je moja żona.

Jej śmiech był pogodny i szczery. Nie wierzyła mu, niby jak, w końcu mówił prawdę. Henry spostrzegł, że ich cienie już się obejmują.

– Musi mi pan wybaczyć, panie Hayden...

– Henry.

Zarumieniła się lekko.

– Henry. Przepraszam za tę kartkę, chciałam ci jednak zostawić wiadomość, a miałam pod ręką jedynie twoją powieść. Książka należy zresztą do mojej matki. Jest twoją wielką fanką.

„Błogosławiony ten, kto ma matkę” – pomyślał.

– Ma pan *crème fraîche*? – Sonja ponownie, raczej nieświadomie, zwróciła się do niego per pan.

– Tak, a co?

– *Wszystko* smakuje lepiej z *crème fraîche*.

– Wyobrażam sobie – odparł Henry. Bóg mu świadkiem, naprawdę tak sądził.

Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, były komplikacje. Powieść nie była gotowa, kwestia zaś, kto miałby ją ukończyć, nie została nawet częściowo wyjaśniona. Dziecku w brzuchu Betty wyrastały już drobne paluszki, na poddaszu mieszkał pod postacią kuny demon sumienia, a nieznanymi szpieg ukradkiem tropił ślady jego przeszłości, by dotrzeć do jego największej tajemnicy. Niełatwo będzie znaleźć rozwiązanie tych problemów i doprowadzić wszystko do ładu, nie był to czas na namiętne eksperymenty. W życiu istnieją okresy, kiedy człowiek powinien działać wedle zasad, a nie pod wpływem impulsów.

Sonja miała jednak w sobie coś magnetycznego. Wszystko w tej młodej kobiecie go pociągało. Kiedy parzył herbatę, ich spojrzenia spotkały się w odbiciu otwartego kuchennego okna. Nieco później siedzieli w jego atelier, opowiadała o swych studiach weterynaryjnych, wyznała, że chętnie otworzyłaby potem praktykę gdzieś na wsi. On zaś ssał w milczeniu swoją zimną fajkę i pragnął, by była to jej lechtaczka. Nic prostszego niż urządzić dla niej taką praktykę, jego pożądlive myśli wzbijały się w rejony, gdzie nie sięgają już żadne słowa. Za każdym razem, gdy się pochylała, by łyżeczką nałożyć *crème fraîche* na placek z rabarbarem, nieaktywne dotąd gruczoły wstrzykiwały do jego krwi hormony. Racja, *wszystko* lepiej smakuje z *crème fraîche*, a niebezpieczeństwo jest bardziej erotyczne od rozsądku.

Kwadrans później zjadłby nawet placek z rabarbarem pełen zardzewiałych gwoździ, jeśliby ją to rozbawiło. Rozmawiali o błogiej izolacji wiejskiego życia, on rozprawiał o inspiracji, ona przyznała się do swej słabości do maszyn rolniczych. Akurat w chwili, gdy chciał się przyznać, że z myślą o rozkopaniu starej studni na tyłach kaplicy zakupił traktor John Deere, zadzwonił telefon. Cholerny telefon. Najbardziej perfidny wynalazek od czasów granatu ręcznego.

Dzwoniła Betty. Sonja zrozumiała jego nieme spojrzenie i natychmiast wyszła z pokoju. Jej drobne japonki zostały obok sofy, ułożone w kształcie litery V. „Czyż to nie znak?” – pomyślał Henry. Jej spontaniczna reakcja świadczyła o tym, że ich krótka znajomość nosiła już cechy konspiracji. Osoba emocjonalnie obojętna po prostu pozostałaby na miejscu. Teraz należało już tylko przewyciężyć małomiasteczkowe konwenanse, uporać się z bólem po śmierci bliskiej osoby, odprawić natrętów oraz, *last but not least*, odczekać do chwili oficjalnego uznania Marthy za zmarłą. Henry odliczył w myślach do pięciu, po czym podniósł słuchawkę.

Betty była spięta, mówiła niższym niż zwykle głosem.

– Jestem u ciebie – oznajmiła.

Jak przypalony rozgrzanym żelazem, Henry odwrócił się i wyjrzał przez panoramiczne okno.

– *Gdzie jesteś?*

– Jestem prawie u ciebie, Henry. Chcę, żebyś to wiedział. Kocham cię, chcę być z tobą, nasze dziecko...

Taa, nasze dziecko, nasze dziecko, tralala, *et cetera*. Henry nie słuchał dłużej. Jeśli żywił jeszcze do Betty jakąś wygasającą resztkę uczucia, zostało ono teraz zatimizowane przez moc promieniowania czegoś mu nieznanego, czuł, że nic już nie czuje. Do Betty, zaznaczymy. Byłaby to okazja do szczerzej rozmowy, mógłby na przykład przytoczyć jakieś porównanie finansowe, zapewnić, że zabezpieczy przyszłość ich wspólnego dziecka, a potem rozstać się w przyjaźni i głębokim przywiązaniu. W żadnym jednak momencie mężczyzna nie jest większym tchórzem, a jego kłamstwa nie są bardziej żalosne niż wówczas, gdy się go przyłapie in flagranti z opuszczonymi spodniami, prawda, moi panowie?

– Muszę się z tobą spotkać – powiedział.



– Myślałam, że nie chcesz mnie już więcej widzieć.

Ileż racji miała. Nie chciał jej więcej widzieć. Nadszedł czas, by jej wyznać, co naprawdę wydarzyło się nad klifem.

## XII

Nadeszły najdłuższe dni w roku. Spotkali się około godziny dwudziestej w hotelu Cztery Pory Roku. Nie tak jak poprzednio, pod zmienionym nazwiskiem, w okularach przeciwsłonecznych i z wyłączonym telefonem, lecz całkiem otwarcie, w hotelowym foyer. Henry'ego rozpoznano, pozdrawiano, składano mu kondolencje, zupełnie jak na pogrzebie. Był jak zawsze skromny i opanowany, zaprowadził Betty do Oyster Bar, gdzie zaproponowano mu najlepszy stolik i szybko uprzątnięto lilię.

Betty czuła się nieswojo. Nienaganność jego zachowania, wybrane przez niego publiczne miejsce spotkania, a przede wszystkim lizusowska ostrożność, z jaką jej teraz dotykał, potwierdzały tylko jej przeczucia, że będzie chciał się wyświadczyć z morderstwa swej żony. Co należy powiedzieć, gdy się coś takiego usłyszy? Czy uznać to za dowód miłości, po czym zadzwonić na policję? Czy będzie musiała zeznawać przeciwko ojcu własnego dziecka? Czy może winna wyrozumiale milczeć i żyć odtąd z mordercą? Ot, dylemat. Zamówiła wodę.

Maître zaproponował ostrygi z namulów Bretanii. Betty nie miała apetytu, Henry zamówił jak zwykle stek z frytkami. Nigdy nie zaglądał do karty. Jeśli nie oferowano steku, wówczas prosił o sznyceł po wiedeńsku. Betty studiowała menu, Henry domyślał się, że niczego nie wybierze – dobry Boże, jakże go to irytowało, gdy kobiety z powodu talerza makaronu potrafiły rozpętać aferę rangi państwowej. W końcu Betty zamknęła kartę, potrząsnęła głową, kelner skrzywił się urażony.

– No, mówże.

Henry odchrząknął, jakby go odpytywano w szkole. Nigdy nie był w tym dobry.

– Myślę, że Martha nigdy by nie chciała, byś za jej śmierć trafiła do więzienia – na piętnaście lat, jeśli nie dłużej. Nie, z całą pewnością nie.

To nie było przyznanie się do winy. Brzmiało gorzej. Betty miała jeszcze nadzieję, że to jakiś kiepski żart, zachowała spokój.

– Ja... do więzienia? Aha. Niby czemu?

– Cóż, wyobraź sobie – ciągnął Henry zatroskanym tonem – policja znajduje moją żonę w twoim samochodzie. Zgłosiłaś przecież jego kradzież, prawda?

Skinęła bez słowa.

– I co sobie pomyślą? Brak listu pożegnalnego, brak jakiegokolwiek przesłanki samobójstwa, nie można wysnuć innego wniosku, jak tylko taki oto, że ty to zrobiłaś.

– Ja? – Podniosła głos o oktawę. – To ty byłeś z nią ostatni nad klifem.

Henry zmartwiony potrząsnął głową.

– Nie, skarbie. Było inaczej.

Nachyliła się. Henry dostrzegł na jej czole ciekawą żyłkę, której nigdy dotąd nie widział.

– Nie było cię tam?

– Nie.

– W takim razie... gdzie byłeś?

– Byłem w kinie. Film produkcji koreańskiej. Niesamowicie trzymający w napięciu.

Podano stek. Betty z trudem panowała nad sobą. Drapała cicho paznokciami po obrusie z adamaszku. Zapach ziemniaczanych frytek na jego talerzu przyprawiał ją o mdłości. Szarpała za obrus, na czole pulsowała jej żyłka. „Mogłaby pęknąć, a wtedy miałbym problem z głową” – rozważał w myślach Henry, obracając stek na talerzu. Rozparła się, wyjrzała przez okno na miasto, paznokciami

kreśliła cienkie linie po obrusie. Henry mógł wręcz zobaczyć, jak robi w myślach przegląd wieczoru, jak wchodzi do jego domu. Nie spieszył się, nabijał na widelec kawałki ziemniaków, ocierał je o stek i wkładał do ust.

W końcu Betty przeszła do sedna.

– Pobiegleś na górę, by jej szukać. Sądziłeś, że twoja żona jest w domu? Czy może wszystko to było wyłącznie grą?

– Tak właśnie myślałem, kochanie. Byłem absolutnie przekonany, że jest w swoim pokoju. O tej porze zawsze leży w łóżku.

Betty zmrużyła oczy.

– Skoro tak myślałeś, po co w takim razie zainscenizowałeś jej śmierć na plaży?

– Wcale tego nie zrobiłem. Jej rower naprawdę tam stał. Martha go tam zostawiła. Czort wie dlaczego. Pamiętasz, jak cię tamtego wieczoru odwiozłem do domu?

Oczywiście, że pamiętała.

– Potem od razu pojechałem nad klify. Twojego samochodu już tam nie było. Ślady opon prowadziły prosto w stronę morza. I były tam jeszcze twoje niedopałki papierosów. Wypaliła twoje papierosy, a potem...

Betty zakryła usta dłońmi.

– O Boże, to straszne!

Zrozumiała. Henry odłożył nóż i widelec na brzeg talerza.

– Nie martw się. Padało przez całą noc. Nie widać już żadnych śladów.

– Mam się nie martwić?? Czemu od razu nie zadzwoniłeś na policję?

– Z początku chciałem tak zrobić. Potem jednak zacząłem się zastanawiać. Nie wiem, czy to było słuszne, lecz zdecydowałem, że ty... że wy jesteście wszystkim, co mam. Ty i dziecko.

Wyciągnął otwartą dłoń nad stołem. Betty chwyciła go za rękę. Miała wilgotne palce.

– Zrobiłeś to dla mnie?

– I dla dziecka. Naszego dziecka.

Dziecko. Dostrzegł w jej oczach łzy. Zastanawiał się, dlaczego kobiety zawsze muszą płakać na dźwięk tego słowa? Jak to możliwe, że wystarcza ledwie jedno słowo?

– Musimy zgłosić się na policję, Henry. Natychmiast!

– Niekoniecznie. Już u mnie byli. Kiedy odjechałaś razem z Moreanym. Jak on się miewa?

Betty nie chciała teraz rozmawiać o Moreanym i jego banalnych oświadczeniach. Trzymała dłoń Henry'ego niczym modlitewnik.

– Henry, pójdziemy teraz na policję i powiemy, co się wydarzyło.

Wolną ręką Henry wykonał z frytkami krótkie mikado.

– A cóż to się *wydarzyło*, moja droga? – zapytał cichym, lecz natarczywym głosem. – Co naprawdę się wydarzyło?

Jak można się było spodziewać, puściła jego dłoń.

– Co masz na myśli, mówiąc *naprawdę*?

– Będziesz pić?

Nie czekając na odpowiedź, opróżnił jej szklanekę wody. Zniżył głos.

– Czy Martha sama pojechała nad klif, czy może ty ją tam zawiozłaś?

Oburzona Betty omal nie wstała z krzesła.

– Chyba nie myślisz, że to *ja* zabiłam twoją żonę?

– A zabiłaś?

Betty bezradnie rozglądała się wokół, szukając sprawiedliwości, na próżno. Wyraźnie zmagala się

z myślą, czy nie lepiej będzie wstać i po prostu stąd uciec. Nie zrobiła tego, pozostała na miejscu, zabrakło jej sił. Henrym owładnęło współczucie, lecz niestety, musiał ją teraz udusić jak umierającą na polanie sarnę. Kontynuował:

– Szczerze mówiąc, przez chwilę tak właśnie sądziłem, owszem. Wstyd mi za to, że pomyślałem, że to ty ją zabiłaś.

– Niby dlaczego?

– Z miłości do mnie. Kobieto, a co innego mogłem sobie pomyśleć? Martha jedzie do ciebie swoim samochodem. Potem twoim autem rusza nad klify i ginie po niej wszelki ślad. Gdzie ty wtedy byłaś?

Betty przymknęła na chwilę powieki.

– Byłam w domu. Przecież wiesz.

– *Ja* to wiem, ale czy masz alibi?

Wolniej poruszała powiekami.

– Co ty pleciesz, Henry? Po prostu byłam w domu. Czekałam na twój telefon.

– Miałem wątpliwości – wyznał Henry łagodnym tonem.

– A teraz nie masz już żadnych?

– Nie. Żadnych.

– Co teraz o tym wszystkim sądzisz?

– Sądzę, że Martha utonęła. Policja też tak uważa. Ty nie masz z tym absolutnie nic wspólnego. Tak sądzę.

– Ale siedziała w moim samochodzie.

– Tak. To był błąd. Nie wolno nam ich więcej popełniać.

Betty przywarła do oparcia krzesła, ramiona skrzyżowała na piersiach.

– Jakie błędy moglibyśmy jeszcze popełnić? – zapytała cichym głosem.

Henry odsunął na bok talerz, na próżno usiłował chwycić jej dłoń.

– Wszyscy będą cię uważać za moją kochankę, jeśli teraz urodzisz moje dziecko.

– I co? Czyż tak w istocie nie jest?

– Oczywiście, że jest. Ale tu chodzi o porę. Byłoby fatalnie, gdyby tuż po śmierci mojej żony wyszło na jaw, że jesteś ze mną w ciąży.

– I co zrobimy? – zapytała Betty ledwie słyszalnym głosem.

Henry wyczytał jej słowa z ruchu warg.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć. Nikt nie musi wiedzieć, że to moje dziecko.

Betty wstała zza stołu i uniosła dłoń.

– Przerażasz mnie, Henry. Zawsze napawałeś mnie lękiem. Ale jednego możesz być pewny: twoje dziecko się urodzi. Ono przyjdzie na świat, a ty jesteś jego ojcem, czy tego chcesz czy nie. Zdecyduj, jak teraz postąpisz, nie będę ci stwarzać żadnych problemów. Jeśli sobie tego życzysz, zachowam to wyłącznie dla siebie.

– Jesteś niesprawiedliwa, Betty. Ja tego chcę, kocham nasze dziecko, już *teraz*.

Otworzyła torebkę. Henry się schylił, by go nie dosięgnął pieprzowy spray. Betty jednak zajrzała tylko do środka, pogrzebała chwilę, po czym z powrotem zamknęła torebkę.

– Co zamierzasz? – zapytał podejrzliwie.

– Idę zwymiotować.

– Policja o niczym nie wie. Nie będzie żadnego problemu, dopóki nic nie zrobimy. Po prostu nic, rozumiesz?

– Henry...

– Tak?

– Twoja żona o wszystkim wiedziała. Nie od ciebie, nie powiedziałeś jej o nas ani słowa. Oczywiście, że nie. Nigdy o niczym nie opowiadasz.

Betty odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Wyglądała uroczo z miną rozzłoszczoną i rozczarowaną kobiety. „Jak to możliwe – zastanawiał się Henry – że najbardziej jej pożądam, kiedy odchodzi?”

– Jeszcze jedno. Przy pożegnaniu twoja żona mi powiedziała: „Musimy kochać Henry’ego, choć nigdy go nie poznamy”. *Ja* nie mam pojęcia, jak to w ogóle możliwe, i nie sądzę, bym to potrafiła.

Betty odwróciła się i odeszła. Powiódł za nią wzrokiem, bez żalu, lecz z respektem, gdyż pokazała klasę. Nie ciekawiło go, dokąd idzie i czy wróci. Zastanawiał się natomiast nad tym, czy to rzeczywiście możliwe, by Martha przez cały czas wiedziała o jego romansie z Betty, nie zmieniając w niczym swej postawy. Kto potrafiłby się z tym pogodzić? Aż do ostatniej chwili przyjaźń ich miłości pozostawała niewzruszona, a przebieg wspólnego dnia niezmienny. I wtem wyrusza nagle do swojej rywalki na herbatę? *Domyślasz się, jak to się zakończy?*, brzmiały jej ostatnie skierowane do niego słowa, skreślone ołówkiem pod dopiero co ukończonym rozdziałem książki. Czy było to ostrzeżenie, groźba, przepowiednia? Henry nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Męczyło go nieustanne rozmyślanie o takich sprawach. Kości zostały rzucone, myślenie nic tu nie pomoże. Rozgniewany strzepnął nadgryzioną frytkę na dywan i zaczął się rozglądać za kelnerem.

Siedząc w fotelu przy filarze, Honor Eisendraht obserwowała, jak Betty z krzykliwie kolorową torebką pod pachą pędzi przez foyer w kierunku marmurowych schodów prowadzących do damskiej toalety. Betty płakała. Wyraźnie pobladła na twarzy, nie kołysała prowokująco biodrami jak zazwyczaj, niemal się zataczała, schodząc po schodach. Coś się musiało wydarzyć, bez wątplenia coś nieprzyjemnego.

Honor dopiero co opuściła duszną, o wiele za małą salę seminaryjną na pierwszym piętrze hotelu, by napić się kawy z dodatkiem baileysa. Tak zwane *Seminarium o numerologii* okazało się kompletną farsą po nazbyt wygórowanej cenie. Za *taką* sumę można by oczekiwać czegoś więcej niż świniogłowej kobiety ze wskaźnikiem, bredzącej o banalnych sumach cyfr oraz kosmicznych związkach łączących numery telefonów i ukryte cechy charakteru. Kto jeszcze daje wiarę takim bzdurom?

Honor miała nadzieję, że na seminarium spotka kogoś rozsądnego, uduchowionego, z kim mogłaby porozmawiać na temat obszernego znaczenia wieży, szesnastej karty Wielkich Arkanów tarota. Karta ta pojawiła się już po raz drugi. To musiało mieć jakieś znaczenie. Spotkała jednak samych tylko ważniaków i nieudaczników.

Jak wszystkim wtajemniczonym od dawna wiadomo, wieża to karta drastyczna. W wieżę trafia grom z mrocznego nieba, młodzieńca i jego nadobną wybrankę dosięga śmierć w płomieniach. Karta zwiastuje zniszczenie i nowy początek, równoznaczne z rozstaniem i doczesnością. Zignorowanie jej byłoby karygodną lekkomyślnością. Niekiedy jednak oznaki nadciągającej katastrofy pozostają ukryte, a wagi konkretnego zdarzenia nie sposób przewidzieć. I właśnie dlatego należy być gotowym na wszystko, trzeba wyostrzonymi zmysłami szukać rozstrzygającej wskazówki, kryjącej się pośród bezkształtnej masy codzienności.

Honor nie dopiła kawy, położyła na stoliku większy niż należało banknot, wzięła torebkę i ruszyła po lazurowym dywanie w kierunku, z którego nadeszła Betty. „Jeśli to Moreany – napomniała siebie – ma to coś wspólnego z kartą z wieżą, a wtedy składam wymówienie”.

W wyłożonym drewnianą boazerią barze przy ustawionym przy oknie stoliku Henry Hayden nerwowo szarpał rękaw koszuli. Biedak pobladł, wyglądał na człowieka udręczonego bólem. Jakże nieznośna musiała być dlań śmierć żony. „Mnie nikt nie będzie opłakiwać, gdy odejdę, i jest to wyłącznie moja wina” – pomyślała Honor. Chciała do niego podejść, uściskać go, lecz wtedy zjawił się przy stoliku kelner. Henry zapłacił, w jego spojrzeniu Honor dostrzegła coś, co powstrzymało ją przed

złożeniem mu wyrazów współczucia.

Oczywiście, że nie istnieje żaden związek pomiędzy sumą cyfr w numerze telefonu a ukrytymi cechami charakteru, podobnie zresztą jak nie ma przypadkowych spotkań w hotelach, a jedynie nieuważni obserwatorzy. W kącie sali Oyster Bar Honor zrozumiała, że nieuchronna przemiana, jaką zwiastowała karta z wieżą, właśnie się dopełnia. Nim Hayden zdołał ją zauważyć, znów siedziała w fotelu obok masywnego filaru, skąd można było obserwować całe foyer, i skryła twarz za rozłożoną gazetą.

Henry wyszedł z baru. Ścisnął dłonie, podpisał książkę w recepcji, przez chwilę rozmawiał z hotelowym gościem, zerkając dyskretnie w kierunku toalet. Nie wracała. Niedługo potem opuścił hotel, sam. Nawet się nie odwrócił.

„Jakież on energiczny” – pomyślała Honor. Jego drapieżny chód oraz atletyczna sylwetka o szerokich ramionach wciąż robiły na niej wrażenie. *Serçe, poddaj się albo pęknij*, przeczytała w *Szczególnym brzemieniu winy*. Zanim po raz pierwszy ujrzała Henry’ego, sądziła, że literat musi chodzić przygarbiony od ciężaru swych myśli, pchany jakąś wewnętrzną siłą albo targany po świecie przez mroczne zmagania. Prawdziwy artysta jest chory, uznał Fernando Pessoa, i dopóki żył, czekał na powóz pędzący w otchłań. Oślepy Borges zlorzeczył boskiej ironii w nieskończonej bibliotece znaków. Henry Hayden natomiast pozostał wysportowany, a przy tym był uosobieniem dyscypliny i samokontroli. I *do tego* był artystą. Nadzwyczajnie.

Banknot wciąż leżał obok niedopitej filiżanki z kawą. Honor przeliczyła szybko, ile musi pracować na taki banknot, po czym podmieniła go na skromniejszy.

Odgłosy torsji dochodziły z trzeciej kabiny po lewej. Szum spłuczki i znów torsje. Honor wyczuła woń konwalii i przez szczelinę u dołu drzwi dostrzegła okropną torbę. Weszła do sąsiedniej kabiny, uniosła klapę i zakasała spódnice, by stworzyć autentyczne odgłosy. Pomiedzy poszczególnymi atakami mdłości słyszała cichy szloch, ściśle mówiąc: kwilenie.

Był to istny podarek od losu, słodka nagroda, móc uczestniczyć w tej chwili prywatności swojej rywalki. Omal nie zapomniwała nacisnąć spłuczki. Śmierć żony Haydena raczej nie wstrząsnęła tak głęboko tą kokietką, nie była przecież zdolna do prawdziwych uczuć. Coś musiało między nimi zajść, coś na tyle dramatycznego, że ona zalała się łzami, on zaś ruszył do wyjścia. Honor nasłuchiwała zachwycona, jak jej rywalka kaśla, być może krwią, po czym wychodzi z kabiny, by przemyć usta nad umywalką.

Minęła nieodzowna chwila, jaką kobiety spędzają przed lustrem, poprawiając makijaż. Honor oderwała kawałek papieru toaletowego, ponownie nacisnęła spłuczkę, jej kamuflaż był perfekcyjny. W końcu usłyszała stukot obcasów oraz odgłos zamykających się drzwi. Oczekała minutę, wyszła z kabiny, przygotowana wewnętrznie na wypadek, gdyby Betty zaczęła się na nią za drzwiami. Można się było tego po niej spodziewać. Honor udałaby wówczas zaskoczenie, być może zamieniłaby nawet kilka słów, lecz nie za wiele. Okazało się jednak, że jest w damskiej toalecie sama, jej rywalka zniknęła.

W koszu obok umywalki leżało puste opakowanie metoclopramidu. Widniał na nim nadrukowany w poprzek napis *próbka nie do sprzedaży*, poniżej pieczętka gabinetu ginekologicznego. W pudełku brakowało ulotki informacyjnej. Honor przetrząsnęła plastikowy kosz, niczego jednak nie znalazła prócz sztucznych rzęs, poplamionych chusteczek i zużytych szminek.

W aptece w pobliżu hotelu Honor Eisendraht została uświadomiona, że kobiety w pierwszym trymestrze ciąży metoclopramidu zażywać *nie* powinny. Wiele ciężarnych robi to jednak w razie potrzeby, zdradziła jej z zatroskaną miną aptekarka. Nudności pierwszych miesięcy ciąży uznała zaś za najcięższą próbę, przez jaką sama musiała przejść jako młoda matka.

Honor Eisendraht wróciła do domu autobusem. Wsiadła przystanek wcześniej niż zazwyczaj, by

przejsć te parę kroków dzielących ją od mieszkania. W przedpokoju włożyła filcowe pantofle, dołała papudze wody, położyła się na brzuchu na dywanie do czytania, chwyciła poduszkę, przycisnęła ją do twarzy i zaczęła krzyczeć, tak głośno jak tylko potrafiła.

## XIII

Nieogolony i pozbawiony siekaczy Obradin wyglądał jak przygotowana na Halloween dynia z brodą zakrywającą połowę twarzy. Większą część dnia spędził, paląc papierosy przy otwartym na oścież oknie sypialni mieszczącej się nad sklepem rybnym, każdemu z przechodniów pokazywał ogromną szczerbę w zębach i spoglądał na skryte za fasadą sąsiedniego domu morze. Cała miejscowość była w tym czasie zaabsorbowana tajemniczą przyczyną jego amoku. Helga milczała jak grób, by nie podsycać płomienia plotek. Niektórzy obstawiali schizofrenię, inni zaś przypuszczali, że w jego głowie pękło coś poważniejszego. Wszystko pozostawało w sferze spekulacji.

Także przez następne dni Obradin nie zamierzał opuszczać sypialni i wracać do swych zajęć. Sklepem zajęła się Helga. Telefonowała przy tym nieustannie, skorzystała jednak z okazji, by w drzwiczkach do piwnicy założyć zamek oraz zerwać rozwieszony w sklepowej witrynie dziecinne zdjęcia ryb.

W święto Wniebowzięcia, we wspaniały sierpniowy dzień, przed sklep zajechał Henry, w białej panamie na głowie i świetnym humorze. Dwa tygodnie wcześniej utonęła jego żona, jednak żaloby po nim widać nie było. Wszak każdy nosi żalobę po swoim, któż może powiedzieć, jak winna wyglądać? Zaparkował na chodniku, przywiózł z sobą kwiaty i hiszpańskie mydło dla Helgi, a dla Obradina pędzel do golenia z borsuczego włosia.

Helga opowiedziała Henry'emu całą historię, której większą część już znał. Wepchnął Heldze kopertę z pieniędzmi, by w tajemnicy zakupiła nowy silnik do „Driny”.

– Zaczekaj na wyniki losowania lotto – szepnął jej do ucha – a potem wypełnij kupon i wygraj maksymalnie piątkę, rozumiesz?

Helga zrozumiała i ucałowała obie jego dłonie. Henry wyjął z samochodu kolejny karton i schodami na tyłach sklepu wszedł do mieszkania Obradina. Mając obie ręce zajęte, nie zapukał, lecz łokciem nacisnął klamkę.

– Hej, co z tobą, stary druhu? – zapytał, stawiając karton i prezent na łóżku. Nie umknął jego uwagi fakt, że połowa małżeńskiego łóża była zasłana. A więc Helga sypiała gdzie indziej.

– Przyniosłem ci coś do golenia.

Serb stał bez ruchu pośród kopca niedopałków wielkości mrowiska.

– Czego chcesz?

Henry uważnie przyjrzał się brakującym zębom.

– Straszne. Możesz teraz pranie na nich rozwieszać. A teraz uważaj... – Wyjął z kartonu zasilanego bateriami słonecznymi stracha na kuny. – Ultradźwięki. Oto rozwiązanie. Posłuchaj.

Henry włączył urządzenie. IIEEEK – rozległ się ultranieznośny dźwięk, obaj mężczyźni musieli zatkać sobie uszy. Henry wyłączył pudło.

– I w tym właśnie problem. Nie wiem, jaką częstotliwość nastawić, by przepędzić kunę, a nie psa.

– I? – zapytał niezaciekawiony Obradin.

– Hej, przecież znasz Poncho, jest bardzo wrażliwy, tak jak ty, gotów zwariować, jeśli uruchomię tę piekielną maszynę. Pomóż mi ją wyregulować, ustawimy ją, przegnamy kunę, a potem wypalimy po jednym. I kłopot z głowy. Cso o fym myflis?

Henry głośno się roześmiał. Od dawna był przekonany, że współczucie jedynie wydłuża proces leczenia. Drobnym żartem prędzej postawi chorego na nogi niż krople współczucia.

I rzeczywiście, Obradin się uśmiechnął. Henry zakrył mu dłonią usta.



– Nic nie gadaj, ty serbska mama! W przeciwnym razie znowu tylko mnie rozśmieszysz. Chodź. Jedziemy do dentysty.

Był to najlepszy w okolicy prywatny gabinet. Obradin otrzymał nowe zęby. Najpierw prowizoryczne, które w żadnym razie nie wyglądały źle, może trochę zajęczo. Później chirurg szczękowy założył implanty, dwa istne dzieła sztuki, każdy w cenie samochodu klasy średniej, wymieniono także ząb trzonowy oraz pobrano fragment kości podniebienia, by zrekonstruować kość szczękową. Henry pokrył oczywiście wszelkie koszty i nigdy więcej o tym nie wspomniał. Jak już mówiliśmy, potrafił być wspaniałomyślny.

Sześćdziesiąt kilometrów dalej na południe Gisbert Fasch został przeniesiony z oddziału intensywnej terapii do czteroosobowego pokoju. Ciężko ranny i przy zdrowych zmysłach. Połamane nogi oraz ręka dyndały na aluminiowym wyciągu, przypominał żalostnego Gregora Samse, który pewnego ranka obudził się w łóżku przemieniony w chrząszcza.

Z piersi Fascha wypływała brązowa ropa i sączyła się dalej węzłem do stojącego obok łóżka niewielkiego urządzenia. Odpompowywało ono wydzielinę, która zbierała się w przezroczystym plastikowym worku. Trzonek zagłówka, który utkwiał w jego piersi, był pełen bakterii. Raz na dwanaście godzin pielęgniarka wymieniała napełniony worek, najwidoczniej była przeszkolona do wykonywania tylko tej jednej czynności i w stosownym do tego humorze. Zmieniała mu także pieluchy, myła i smarowała kremem pośladki, jej silne palce dotykające okolic jego moszny były niewątpliwie główną atrakcją dnia.

Każdy oddech sprawiał mu ból. Jego usta wypełniał trudny do opisu posmak, w płucach słychać było szmery. Doszło tam do potężnego zapalenia, mógł poczuć jego woń. Natarczywy wysoki świst nieustannie przenikał przez ściany sali. Wydawało się, że tylko on go słyszy.

W sali leżało trzech innych mężczyzn, wszyscy nosili pieluchy. Kto nie ma jednoosobowego pokoju, sporo się uczy o innych. Na przykład jak cuchnie gówno w pieluchach. Człowiek, co zauważył już Leonardo da Vinci, stanowi rodzaj przejścia dla pokarmów i napojów, na końcu zostają już tylko pełne latryny.

W sztucznym półmroku sali brzęczała mucha. Fasch widział ją podwójnie, wszystko widział podwójnie, odkąd wybudził się z narkozy. Zwabiona wonią ropnej wydzieliny, zataczała w powietrzu kręgi, przysiadła tu i ówdzie, podjadała na opanowanej przez gangrenę stopie sąsiada po lewej, anonimowego jęczącego diabetyka, po czym zniknęła w studniokształtnej jamie ustnej leżącego bez ruchu mężczyzny po prawej, by złożyć na jego języku jaja.

Wskutek pęknięcia czaszki głowa Gisberta została unieruchomiona. Tylko z pomocą niewielkiego lusterka mógł obserwować otoczenie, na domiar złego w jego lustrzanym odbiciu. By nie widzieć wszystkiego podwójnie, musiał zamknąć jedno oko. Chciałby dostać łóżko przy oknie, z chęcią rozprostowałby nogi. Brakowało mu Miss Wong, jego długoletniej partnerki, poza tym swędziało go odbyt, nie mógł się podrapać, gdyż w grzbiecie prawej dłoni tkwił dożylny cewnik z roztworem substancji odżywczych. Rano pojawił się na wizycie ordynator ze swoją strażą przyboczną i zapytał go: „Jak się czujemy?”. Cóż, jak się *mamy* czuć, kiedy nas swędzi w tyłku i nie możemy się podrapać? Beznadzieja.

Najbardziej bolesna była dla Gisberta utrata teczki. Kiedy po operacji odzyskał przytomność, pomyślał najpierw o niej. Przywoływał ją jak matka szukająca swego zaginionego dziecka. Sądzono, że ma halucynacje, podano mu środki uspokajające, on jednak nawet w stanie półświadomości nadal jej szukał, na próżno. Fasch się nie dowiedział, kto go uratował i przywiózł do szpitala. Jedynie tyle, że trafił na izbę przyjęć po ciężkim wypadku samochodowym.

Polowanie na Henry'ego Haydena się zakończyło. Poszukiwaniom tym poświęcił dwa lata życia,

a były to lata najpiękniejsze. A teraz owe cenne ślady, powiązania i zagadki, dokumenty, których nie sposób już będzie odnaleźć – wszystko to przepadło. Henry go pokonał, i to dzięki zabawnej sztuczce – zwyczajnie zaczekał na niego za zakrętem drogi. Raz-dwa i po wszystkim. Cóż za porażka. Gdyby Fasch utracił wspomnienie o wypadku, jak to zazwyczaj bywa wskutek urazu czaszkowo-mózgowego, mógłby w spokoju wracać do zdrowia i cieszyć się z drugiego życia. Nie potrafił jednak zapomnieć. Jego pamięć nieustannie wyświetlała na siatkówce oka tę samą sekwencję obrazów. Skoro tylko zamknął powieki, pędził przez zakręt drogi wprost na Henry'ego. Ciągle tylko Henry i Henry. Halucynacje rodzą się z niczego, są urojeniami – to jednak nie było żadne urojenie, lecz film dokumentalny powtarzany w nieskończoność, to była tortura. Ciągle tylko Henry. „Jeśli to się nie skończy – postanowił Fasch – ja skończę ze sobą”.

Aż któregoś dnia drzwi się otwały i do sali wszedł Henry Hayden. Nie jako duch wyłaniający się z zakrętu, lecz we własnej osobie. Z profesjonalną nonszalancją lekarza podsunął sobie metalowy taboret i usiadł przy łóżku. Wyglądał tak samo jak na zdjęciu opublikowanym na łamach „Country Living”. Tylko bez żony u boku. I psa. Chciałoby się rzec, *understatement* w najlepszym wydaniu.

Diabetyk leżący w łóżku po lewej syknął cicho, poza tym w sali panowała kompletna cisza.

– Jak się pan miewa? – zapytał Hayden przyjemnie czystym barytonem. Choć mało oryginalne, pytanie to było jak najbardziej na miejscu, bądź co bądź przebywali w domu pełnym chorych. Dalszą rozmowę Fasch prowadził z jednym przymkniętym okiem, by nie widzieć swego wroga podwójnie.

– Kim pan jest? – zapytał Fasch po chwili wahania.

– Przypadkiem byłem w pobliżu, gdy doszło do kraksy. Nazywam się Henry Hayden.

„Ten facet ma tupet – pomyślał Fasch. – *Przypadkiem* zaczął się za zakrętem, przypadkiem zniknął na trzydzieści lat ze sceny, a teraz wpada tu przypadkiem. Dobrze sobie”.

– Hayden... jak ten kompozytor?

– Podobnie. Hayden z *e*, jak ten pisarz.

– Tak? Znam pańskie książki. Niestety, czytanie przychodzi mi teraz z trudem, sam pan widzi. – Fasch zakołysał ramieniem wiszącym na wyciągu. – Nie da rady.

Hayden przysunął stołek o milimetr bliżej łóżka.

– Postaram się dla pana o kilka audiobooków, jeśli pan chce.

Fasch zastanawiał się nad powodem wizyty Haydena. Z pewnością nie przyszedł po to, by mu proponować audiobooki. Może Hayden się spodziewał, że zostanie ludzkie warzywko, i mocno się rozczarował. Czy w ogóle wie, z kim rozmawia? Czy *może* to wiedzieć? Fasch usiłował się nieco wyprostować, lecz metalowy kołnierz mu na to nie pozwalał. Świst stawał się coraz głośniejszy.

– Czy pan także to słyszy? – zapytał Fasch, by zmienić temat.

– Co takiego?

– Świst. Coś tu świszczy. Przenika przez ściany.

Henry się rozejrzał, nasłuchiwał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Nic nie słyszę.

Fasch westchnął.

– A więc pan też nic nie słyszy. Nikt tego nie słyszy, oprócz mnie.

– *W takim razie* to spisek. – Henry nachylił się nad łóżkiem. – Jeśli ja coś widzę albo słyszę, a wszyscy inni zachowują się tak, jakby nic takiego nie istniało, wówczas wiem, że to spisek.

Fasch musiał się roześmiać. Sprawilo mu to ból, nie tylko w piersiach, lecz przede wszystkim na duszy. Nie chciał się śmiać. Śmiech oznacza pojednanie, śmiech łączy i przepędza złe uczucia. On zaś wiele dla tego uczucia poświęcił, pielęgnował je i hołubił, czemu miałby się teraz z nim rozstawać?

– Widział pan, jak do tego doszło? – zapytał, by zmienić temat.

Henry skinął głową.

– Za szybko wszedł pan w zakręt, samochód uderzył w mur ochronny, a potem przeokoziółkował.

– Niczego nie pamiętam.

– Tym lepiej. Ładnie to nie wyglądało. Aż trudno uwierzyć, że można wyjść z tego cało.

– Gdzie byłem? Jak wyglądałem?

Henry na chwilę się zamyślił. Fasch spojrział na jego wypielęgnowane dłonie ułożone spokojnie na udach. Miał na nadgarstku zegarek IWC na brązowym pasku. Z pewnością drogi.

– Pański samochód dachował. Wszędzie leżały odłamki... Był pan zakleszczony na tylnej kanapie, nieprzytomny, wyciągnąłem pana z wnętrza, niczego nie był pan świadom.

– Pan? To *pan* mnie wyciągnął?

Henry roześmiał się radośnie.

– Jasne. Nikogo innego nie było w pobliżu. Pan na mnie patrzył, miał otwarte oczy, ale nic pan nie widział, prawda?

– Nic nie pamiętam. Czy coś mówiłem?

– Tylko pan bulgotał.

– A potem?

– Często słyszę to pytanie. No więc, w pańskiej piersi tkwił kawałek metalu. Dość duży, mniej więcej taki. – Henry pokazał dwoma palcami jego rozmiary.

Fasch obmacał prawą ręką obolałe miejsce, w którym wąż zniknął wewnątrz jego klatki piersiowej.

– Pan go wyjął?

– Tak.

– Uratował mnie pan.

– Ależ gdzie tam! To lekarze pana uratowali. Ja tylko byłem w pobliżu.

Bezgłośna implozja uczucia. Fasch miał wrażenie, że jego nienawiść przemienia się w coś innego. Owładnął nim smutek, lecz nie potrafił zapobiec owej transformacji, poczuł dla Henry'ego Haydena sympatię i wdzięczność. Nie miał już powodu, by żywić do niego nienawiść.

Henry przechylił głowę.

– Zastanawiam się, dlaczego nie zaczął pan hamować.

– Nie hamowałem?

– Nie. W ogóle pan nie hamował. Zwyczajnie pojechał pan prosto przed siebie.

Fasch przymknął oczy. Znów wszedł z impetem w zakręt, przed nim połyskiwała tafla morza... Rzut oka na Henry'ego, refleksy świetlne na przeciwstóncznych okularach, na krótko obraz jego matki, a potem – Hayden miał rację, rzeczywiście w ogóle nie hamował.

Kiedy otworzył oczy, Henry stał pochylony nad nim, miał zaciśnięte wargi, z zimną ciekawością utkwiał w nim wzrok. A więc znów się pojawił, Grendel, potwór z mokradel.

– Niedobrze panu? – zapytał Henry. – Mam wezwać lekarza?

– Proszę, nie! – odparł Fasch. – Mam już dość problemów.

Henry nacisnął dzwonek przy łóżku.

– Co pan robi?

– Zostawię pana teraz samego. Musi się pan przespać.

Drzwi się otworzyły, do sali weszło dwóch pielęgniarzy. Henry skinął w ich stronę. Zajęli się aparaturą przy łóżku. Fasch poczuł przyływ paniki.

– Co się dzieje? Co panowie robią?

Jeden z pielęgniarzy nachylił się nad nim.

– Proszę się nie denerwować, przeniesiemy pana do innej sali, okay?

– Ale dlaczego? Tutaj jest ładnie. Nie chcę stąd nigdzie iść!

Fascha umieszczono piętro wyżej, w pokoju dla prywatnych pacjentów. Był cichy i czysty. Miał sięgające podłogi okno z białą zasłoną, na okrągłym szklanym stoliku stały kwiaty, na ścianie widniał płaski ekran telewizora, a nad umywalką reprodukcja Kandinskiego. Na pomocniczym stoliku na kółkach leżał nowiutki tablet. „Brakuje tylko barku” – pomyślał Fasch i odkrztusił grudę flegmy. Łóżko przysunięto do okna, tak iż mógł spoglądać na park, ponownie podłączono urządzenie odsysające ropną wydzielinę, w końcu zostawiono go w spokoju. Gisbert Fasch wyjrzał przez okno i zaczął rozmyślać o swej partnerce, małomównej Miss Wong.

## XIV

Ten facet nie jest gliną, skonstatował Henry, gdy zamknęły się za nim drzwi windy. Nie jest też prywatnym detektywem, lecz zwyczajnym człowiekiem, któremu zupełnie odbiło. To amator. Musiał deptać mu po piętach już od dłuższego czasu. Czemu udawał kogoś innego, zachowywał się tak, jakby go nie znał? Gdyby był tylko jego *fanem*, który w niezdarny sposób usiłował zbliżyć się do swego idola, najpóźniej w szpitalu byłby się do tego przyznał. Może też chciał się po prostu wywyższyć i napisać jego biografię. Możliwe, że podczas swych poszukiwań natrafił w życiorysie Henry'ego na białą plamę – i wyczuł krew.

„Ten, kto mnie zdemaskuje, zyska bez wątpienia sławę” – pomyślał Henry, naciskając guzik z oznaczeniem parteru. Podczas jazdy windą uświadomił sobie, że Fasch nie zapytał go o teczkę. Z pewnością byłby się tym zdradził, musiał jednak żałować jej utraty. Zebranie wszystkich tych dokumentów było żmudnym i czasochłonnym zajęciem, kosztowało sporo pieniędzy, pewnie bardzo mu zależy na ich odzyskaniu.

Henry nie miał wątpliwości: ten facet był niebezpiecznie blisko odkrycia jego sekretu, chciał mu zaszkodzić, nie wiedział tylko, w jaki sposób. „Teraz jednak to on znalazł się w kłopotcie, gdyż ma wobec mnie dług wdzięczności, być może też już nigdy nie będzie mógł chodzić” – pomyślał Henry nie bez współczucia. Mimo to będzie musiał go ubiec, musi poznać jego zamiary. A to wcale nie będzie takie trudne, kto bowiem poszukuje śladów, sam przy tym zostawia własne. Henry miał też głębokie przeczucie, że gdzieś już Fascha spotkał. Gdzieś i kiedyś.

Przespacerował się przez niewielki park dzielący klinikę od parkingu. Było gorąco, pomiędzy lipami fruwały płatki kwiatów, ogrodnik kosił trawnik, zraszacz do trawników moczył porwaną przez wiatr gazetę. Na ławkach siedzieli ludzie w szlafrokach, rodzina towarzyszyła łysej kobiecie o kulach, która będąc wyraźnie po chemioterapii, cieszyła się, że jeszcze żyje. „Tylko pogratulować” – pomyślał Henry wzruszony.

Przystanął i odwrócił się. Powiódł wzrokiem po fasadzie aż do trzeciego piętra, do otwartego okna. Fasch machał mu ze swojego łóżka. Henry odwzajemnił gest. Milczenie można kupić, sympatii już nie. Nikt lepiej tego nie wiedział niż Henry.

Zawiózł swoje maserati do myjni samochodowej „Royal”, by usunąć z siedzeń ślady krwi. Samochód obległa cała załoga sprzątaczy w dzieciennych papierowych kapelusikach. Podejrzliwemu szefowi, synowi właściciela, Henry wyjaśnił, że na tylnej kanapie wykrwawiła mu się sarna.

Kiedy zabrano się do pracy, Henry z czystej ciekawości wybrał się na pobliski wielopoziomowy parking, gdzie przetrząsnął stojący obok parkomatu kosz w poszukiwaniu czerwonego telefonu. Zignorował zawieszoną nad nim kamerę, w końcu nie robił nic niezgodnego z prawem. Oczywiście telefon dawno już zniknął, zdezelowany albo wywieziony do Afryki.

Godzinę później samochód lśnił czystością, a jego wnętrze znów pachniało skórą. Syn właściciela wybiegł z przeszklonej stróżówki, w której jego ojciec przesiedział czterdzieści lat życia. Nie spodobało mu się, że Henry rozdaje jego niewolnikom sowite napiwki, nie mógł mu jednak w tym przeszkodzić. Henry zauważył szelki prężące się na jego brzuchu.

– Panie Hayden – szepnął cichym, pełnym szacunku głosem – nie rozpoznałem pana od razu, ale w bagażniku leży pańska książka. Moja żona jest pana wielką fanką, i chciałem zapytać...

– Chce pan autograf?

– Żona bardzo by się ucieszyła, ja oczywiście również.

Henry wyjął książkę z bagażnika, uważnie przekartkował stronicę.

– Nie jest to całkiem nowy egzemplarz, ale jeśli pan chce, podpiszę go dla pana. Czy to pan wpadł na pomysł, by nazwać firmę „Myjnia Samochodowa Royal”?

Młody szef już trzymał w ręku pisak.

– O nie, to mój ojciec. – Zerkał z ciekawością, co też Henry napisze.

– Jak ma na imię pańska żona?

– Ruth. Jest... ehm, tak. Ruth przez th.

Napisał: *Najlepsze życzenia dla Ruth od Henry'ego Haydena.*

– Czy mogę jeszcze o coś zapytać? – wyrzucił z siebie spieszenie, gdy Henry wręczał mu książkę. – Moja żona także pisze.

– Zabawne – odparł Henry – podobnie jak moja.

– Tak tylko, do szuflady, ale ma talent. Nie mówię jej tego, gdyż ona uważa... ehm, tak. No więc, mam pana zapytać, co uznałby pan za rzecz najważniejszą, na którą koniecznie należy zważać przy pisaniu?

– To skomplikowane pytanie jak na popołudniową porę. Najważniejsze – Henry podrapał się małym palcem pod prawą brwią – najważniejsze, by pisać wyłącznie o rzeczach, które się zna.

– Które się zna. Aha.

– I dać sobie dużo czasu na pomijanie. Pomijanie zabiera najwięcej czasu.

– Pomijanie?

– To, czego pan *nie* opisze, co celowo pan pominie albo wykreśli, to właśnie sprawia najwięcej trudu i trwa najdłużej. I niech pan nikomu nie mówi, że dowiedział się pan tego ode mnie.

Następnie Henry pojechał do swego ulubionego bufetu na tyłach dworca i zjadł kotlet mielony. Nadszedł czas, by obmyślić porządny plan działania. A tam przychodziły mu do głowy najlepsze pomysły.

Od czego zacząć? Komisarz Jensen, ten miły idiota, nie stanowił dlań na razie żadnego zagrożenia, gdyż wierzył, że Martha utonęła. Policja kryminalna nie będzie się mieszać, dopóki nie pojawi się ciało. I w *tym* właśnie sęk. Ciało mogło się pojawić – w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa – w każdej chwili. Jak wiadomo, minie wieczność, zanim ludzkie kości rozpuszczą się w morskiej wodzie. Przeszkodę stanowią glony, niekorzystna temperatura spowalnia rozkład, pewną rolę odgrywa także niskie stężenie tlenu, pomaga jedynie głębia. Głębia morska to na szczęście miejsce niezbadane.

Betty. Była tak bardzo rozzłoszczona i zawiedziona, że zostawi go na chwilę w spokoju. Jednakże wcześniej czy później przyjdzie na świat dziecko. Henry nie miał pewności, czy szczerą rozmową w Oyster Bar o tym, *co naprawdę wydarzyło się nad klifem*, powstrzyma ją przed pójściem na policję i roztrąbieniem wszystkiego. Najadła się strachu. A strach to narkotyk prawdy – mówi przez zamknięte usta. Nie należy straszyć kogoś, kto mógłby cię wydać, o tym Henry dobrze wiedział. Wystarczy jedno słowo Betty o spotkaniu nad klifem, a nawet najdurniejszy z policjantów domyśli się reszty.

I do tego jeszcze Sonja. Jej rozczarować nie chciał. Henry stwierdził po namyśle, że pożąda jej zarówno fizycznie, jak i duchowo – w jego wieku to istny szczęśliwy traf. W trakcie dramatycznego spotkania na plaży, a potem także na kamieniu młyńskim w jego ogrodzie w ogóle się nie dotknęli, a jednak niematerialna indukcja ich libido, zespolenie się ich cieni, to była czysta magia. A do tego polubiła jego psa. Wyśmienicie. Co tylko zawróciło Henry'ego do punktu numer dwa: Betty. Musiał ją w jakiś sposób udobruchać, zadowolić, uspokoić – innymi słowy: musiał się jej pozbyć.

Otworzył schowek i wyjął rachunek za *Podręcznik obserwacji*, który znalazł w brązowej teczce

Gisberta Fascha. Czerwonym flamastrem zaznaczono na nim *biuro*, z pewnością po to, by odpisać go od podatku. Obok adresu widniała data zakupu. Fasch nabył tę przydatną bez wątpienia książkę trzeciego maja minionego roku. „Popatrz no – pomyślał Henry – akurat w moje urodziny”.

Nawigacja samochodowa zaprowadziła go prosto pod żądany adres. Lekko nachylona, wyłożona kocimi łbami ulica biegła równolegle do często uczęszczanej drogi szybkiego ruchu. Hałas komunikacyjny przelewał się ponad dachami domów i odbijał od ścian. Henry skręcił i zaparkował w bocznej uliczce. Błyszczące maserati wyróżniało się wśród stojących tam małych samochodów, nie pasowało do otoczenia. Miał tu jednak zabawić tylko kwadrans.

Tynk na fasadzie kruszył się, mury i drzwi szpeciło graffiti. Drzwi były otwarte, na wywieszce obok guzika domofonu widniało nabazgrane długopisem nazwisko „Fasch”. Henry włożył jednorazowe rękawiczki i zadzwonił – na wszelki wypadek. Następnie wszedł do ciemnej klatki schodowej. Skrzynka pocztowa Fascha była zapchana. Henry ruszył na drugie piętro.

Zapadka zamka dała się dziecinnie łatwo odsunąć za pomocą scyzoryka, drzwi nie były zaryglowane. Nie zajęło to Henry’emu nawet pięciu sekund. Z zadowoleniem stwierdził, że nie zapomniał wypróbowanych ruchów, wszak umiejętności jazdy na nartach także się nie zapomina. Drzwi dało się jedynie uchylić, zaraz oparły się o jakąś przeszkodę. Szpara była jednak na tyle szeroka, by się przez nią przecisnąć. Henry’ego uderzył silny odór kanalizacji. Wchodząc do mieszkania, miał absurdalne uczucie, jakby endoskopem odbywał wędrówkę przez obcą osobowość, zaczynając od zatechłej odbyticy korytarza.

Henry nigdy nie kradł więcej gotówki i biżuterii, niż potrzebował do przeżycia. Jako że respektował sferę prywatności, nie zabierał też przedmiotów osobistych, których stratę niełatwo przeboleć. Z zasady trzymał się z dala od dzieł sztuki, trudno je bowiem spieniężyć. W idealnym przypadku kradzież pozostawała niezauważona, to jednak rzadko się zdarzało. Pewnego razu, wiele lat wcześniej, włamał się do gabinetu stomatologicznego i wyniósł stamtąd złoto dentystyczne. Kiedy kilka dni później przeczytał o oddanych śmierci sonderkommandach, które w Auschwitz-Birkenau na tyłach komór gazowych wyrwały złoto z otwartych ust trupów, natychmiast zwrócił skradziony kruszec, a w ramach przeprosin zostawił dwa bilety do opery. Dentysta i jego żona z ogromną radością obejrzeni z najlepszych miejsc inscenizację *Traviaty*. Wróciwszy do domu, stwierdzili, że zniknęła gdzieś ich brylantowa biżuteria. Dawne to jednak dzieje.

W przedpokoju aż po sam sufit piętrzyły się po obu stronach stosy zadrukowanego papieru. Gazety, magazyny, książki, cetnary fotokopii. Kurz posklejał się we włókna, posypały się na niego całe chmury rozkładającej się celulozy. Cudem powstrzymywany przed rozpadem, zabezpieczony sznurkami, kijami od miotły i wszelkiego rodzaju listewkami, przedpokój przypominał sztolnię kopalni. Pomiedzy górami papieru biegła ścieżka szerokości nie większej niż piętnaście centymetrów, której parkur Henry zdołał pokonać wyłącznie dzięki wcześniejszemu uczestnictwu w wycieczkach harcerskich.

Kiedy Henry zajrzał do łazienki, stroniące od światła rybiki cukrowe skryły się pod brodzikiem prysznicza. Dobywał się stamtąd nieprzyjemny zapach, Henry zamknął drzwi. W sypialni piętrzyły się na podłodze na wpół wypatroszone urządzenia elektryczne, zgniłe owoce oraz brudna bielizna. W łóżku leżało stworzenie o migdałowych oczach, z rozchylonymi udami i szeroko otwartymi ustami. Jej ciało o doskonałych proporcjach, z pozbawioną wyrazu twarzą było nieco przekręcone na bok, w wydepilowanej waginie tkwiła elektryczna lokówka. Z czystej ciekawości Henry podniósł lalkę i stwierdził, że miała zwyczajową wagę żywej kobiety, Henry ocenił ją na ponad pięćdziesiąt kilogramów. Na drobnej stopie widniało jej imię: „Miss Wong”. Lalka z pewnością sporo kosztowała. Odcień skóry został dobrze dobrany, silikon był jednak zimny w dotyku, co wyjaśniało obecność

grzewczego pręta w winylowej waginie. Martwa natura z lokówką wydała się Henry'emu niesmacznym męskim żartem.

W pokoju zadzwonił telefon. Henry wrócił po omacku do papierowych wnętrzności przedpokoju i podążył za dźwiękiem dzwonka, aż dotarł do zaskakująco uporządkowanego, sprawiającego niemal spartańskie wrażenie gabinetu Gisberta Fascha. Na dużej wychylnej tablicy korkowej zobaczył samego siebie. Swoją *vita* w postaci pionowego diagramu, ze zdjęciami, datami i setkami kolorowych esów-floresów. Henry poczuł wzruszenie. Jakby znalazł się w gabinecie utraconych wspomnień. Zebrano tam polaroidy budynków i miejsc, fotografie prasowe i zdjęcia przedstawiające go podczas odczytów. W górnej trzeciej części schematu przypięto starą widokówkę z łukiem bramnym. Widniały na nim żeliwne litery napisu: „Sankt Renata”. W tym właśnie momencie Henry sobie przypomniał, gdzie spotkał był Fascha.

Włączyła się antyczna już niemal automatyczna sekretarka, z taśmy magnetofonowej dobył się dźwięk. ...*Mówi Gisbert Fasch. Nie mogę teraz odebrać telefonu, oddzwonię. Pip!*

...*Panie Fasch, mówi Eisendraht z wydawnictwa Moreany. Właśnie odpisaliśmy panu, że nie udzielamy żadnych informacji na temat prywatnego życia Henry'ego Haydena. Muszę też zwrócić pana uwagę na to, iż publikowanie jakiegokolwiek nieautoryzowanej biografii pana Haydena może mieć dla pana konsekwencje prawne. Proszę nie kierować do nas dalszych pisemnych zapytań w tej sprawie. Życzę miłego dnia.*

Zakończenie tej wiadomości Henry usłyszał już jednak niewyraźnie. Wrócił do sypialni i włączył lokówkę tkwiącą w plastikowym sromie lalki. Beszelestnie opuścił mieszkanie. Nikt nie zauważył, jak odjeżdża.

Czarny gęsty dym zaalarmował sąsiadów. Wzbijał się w górę po fasadzie budynku przez pęknięte okno sypialni. Niedługo potem popękały okna w pokoju dziennym. Straż pożarna przyjechała trzema dużymi wozami i ugasiła ogień pianą. Stroskani mieszkańcy zadbali o bezpieczeństwo swoich dzieci, zwierząt i najcenniejszego dobytku, po czym obserwowali przebieg akcji gaśniczej, modląc się w milczeniu. Zza kordonu pewna liczba ciekawskich filmowała telefonami pracę strażaków. Niektóre z tych filmów jeszcze tego samego dnia pojawiły się na YouTube. Najwięcej kliknięć zebrała notabene pewna trzynastoletnia gimnazjalistka, która sfilmowała ewakuację z drugiego piętra dwóch spalonych kotów i opatrzyła materiał samodzielnie skomponowaną muzyką. Kiedy opary się rozproszyły i sprawdzono budynek pod kątem jego stabilności, większość mieszkańców powróciła do swych mieszkań. Do pracy w zwęglonym mieszkaniu przystąpili wówczas eksperci od pożarnictwa. Natknęli się na szczątki stopionej silikonowej lalki, zachowała się jej stopa, należąca do modelu „Miss Wong”. Jej pozostałości zostały zabezpieczone, dochodzenie w sprawie przyczyn pożaru jak zwykle się przedłużało.

\*\*\*

Miły pan od ubezpieczeń czekał cierpliwie, aż Betty znajdzie kluczyki do samochodu. Podeszła do drzwi w drewniakach i szlafroku, gdyż przypuszczała, że to kurier przywiózł manuskrypty do redakcji. Mężczyzna czekał w przedpokoju. Postawił na podłodze teczkę, ręce założył na brzuchu. Uwielbiał tego rodzaju chwile kontemplacji.

Betty wiedziała, że nie znajdzie kluczyków, gdyż tkwiąc w stacyjce leżącego na dnie morza subaru, pokrywały się właśnie rdzą. Od dawna też używała zapasowych, ponieważ oryginalne gdzieś się zapodziały. Mimo to przetrząsała szufladę biurka, otwierała ją z łoskotem i zasuwała.

– Nie mogę ich teraz znaleźć – oznajmiła zmieszana, wręczając miłemu panu przy drzwiach dokumenty samochodowe. – To kłopot?

– Zapasowych kluczyków też pani nie ma?

– Zgubiłam je już lata temu.



– To niedobrze – z żalem oświadczył ekspert ubezpieczeniowy – ponieważ bez kluczyków od pojazdu nie możemy ponosić odpowiedzialności za jego utratę.

– Nie szkodzi – wyrwało się Betty nazbyt spieszenie – nie zgłosiłam kradzieży dlatego, że chcę od pana pieniędzy.

– A dlaczego? – zapytał wyraźnie zaskoczony.

– Cóż, sądziłam, że kradzież samochodu *należy* zgłosić. Mam rację?

– Nie. Musi go pani tylko wyrejestrować, ponieważ nie będzie nim pani już jeździć. Podobnie jak w przypadku, gdyby go pani sprzedała.

– Nie sprzedawałam go! – zaprotestowała, po czym znów przycichła. – Skradziono mi go.

– Dlatego... – pochylił się sprężysto, by otworzyć teczkę – rozpoczęto poszukiwania pani samochodu. Szukają go po całej Europie. – Wyjął dokumenty oraz kwestionariusz, papiery subaru wsunął ostrożnie do przezroczystej koperty i włożył do teczki. Następnie polizał palec wskazujący, przekartkował kwestionariusz, błyskawicznie sięgnął po długopis i nacisnął końcówkę.

– Tak. No więc gdzie skradziono pani samochód?

– Sprzed moich drzwi. – Betty usiłowała zachować uprzejmy ton głosu. – Proszę posłuchać, nie mam teraz czasu, zaraz muszę jechać do pracy.

– Jakim samochodem?

Ten facet jest coraz bardziej impertynencki.

– Jeżdżę teraz wynajętym autem.

– W takim wypadku pokrywamy część kosztów, skoro pani samochód został skradziony.

– To nie jest konieczne. Za wynajem płaci moja firma.

– Czyli... – zerknął w dokumenty – wydawnictwo Moreany?

Miała ochotę wbić mu długopis w oko, ograniczyła się jednak do oschłego „Zgadza się”.

– Wynajęła pani samochód w firmie Avis.

Uśmiechnął się, dostrzegłszy jej zaskoczenie.

– Ubezpieczamy również i ten samochód. Pani firma... – ponownie spojrzął w papiery – wydawnictwo Moreany nie wynajmuje jednak teraz żadnych samochodów.

Betty poczuła, jak krew nabiega jej do twarzy. On także to zauważył, pozostał jednak rzeczowy.

– Rozmawiałem z księgowością, z panią... – po raz trzeci zerknął do tych cholernych dokumentów.

– Eisendraht?

– Właśnie. Nic nie wie o żadnym samochodzie wynajętym na pani nazwisko. Pani Eisendraht zna jednak niejakiego pana Henry’ego Haydena.

Imię Henry’ego przeszło powietrze niczym miecz. Poczła zawroty głowy. Jakim do diabła sposobem ten gość dotarł do Henry’ego?! Miły pan od ubezpieczeń przyglądał się jej twarzy, zauważył przyspieszony puls w tętnicy, mruganie powiekami, opuszczenie kącików ust oraz zmianę ułożenia stóp. W miarę nabywanych doświadczeń jego zawód sprawiał mu coraz większą frajdę.

– Przedłożyła pani jako zabezpieczenie kartę partnerską Visa. Suma zostanie pobrana z konta pana Haydena.

Betty wyrwała mu z ręki kwestionariusz.

– Okay. Wypełnię to i panu odeślę. Nie muszą państwo za nic płacić, zresztą składam wypowiedzenie. – Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Serce mocno jej biło, grzbietem dłoni dotknęła rozpalonych policzków.

Nie przemyślała tego. Henry dał jej kartę na wszelki wypadek, by podczas ich wspólnych zagranicznych wyjazdów służbowych mogła robić dla niego zakupy i sprawunki. Ponieważ wyszła oczywiście z założenia, że Henry pokryje koszty wynajmu samochodu, użyła jego karty. W drodze

wyjątku. A teraz jej związek z Henrym został tym samym udokumentowany. Szybko się ubrała. W pośpiechu zaciągnęła sobie rajstopy. Dopiero w lustrzanym odbiciu w windzie, w drodze do biura Moreany'ego spostrzegła, że rozdarcie sięgało już od łydki aż do uda, wgrzając się w nogę niczym zakażenie krwi.

Eisendraht podlewała stojącą na oknie dracnę, nawet się nie odwróciła, gdy Betty bez słowa powitania weszła do gabinetu. Moreany siedział blady i cichy za biurkiem, nawet nie wstał, by się przywitać. Betty zamknęła za sobą drzwi.

– Chciałabym coś wyjaśnić, Claus – zaczęła, lecz nim zdołała dokończyć, Moreany wyciągnął rękę i wskazał na Eames chair.

– Usiądź proszę.

Usiadła, założyła nogę na nogę, by ukryć lecące oczka. Czekają ją coś miłego lub coś strasznego, z pewnością jednak nie chodziło o tę drobnostkę z wynajmem samochodu. Przez dwa dni nie pojawiała się w wydawnictwie, zaczęła podejrzewać, że tymczasem narosło pewnie trochę spraw. Moreany zdjął okulary do czytania i ostrożnie położył je na idealnie uporządkowanym biurku. Zły to znak, nigdy nie sprzątał swego biurka.

– Postawiłem cię w bardzo niezręcznej sytuacji. – Moreany wziął głęboki oddech. Zmrużył oczy, sprawa ta wyraźnie mu ciążyła. – Przyjmij, proszę, moje przeprosiny i wybac mi ten mój... jak by to ująć... niemiły wygląd.

Nic więcej nie powiedział. Betty odczekała chwilę, zanim cisza stała się nie do zniesienia.

– Co się stało?

Moreany otworzył szufladę biurka i wyjął otwartą kopertę, bez słowa podał ją Betty. Wstała i z wahaniem wzięła ją do ręki.

– Otworzyłem ją tylko dlatego, że była zaadresowana do mnie.

Betty dotknęła koperty, na odwrocie zauważyła stempel gabinetu ginekologicznego. Dwoma palcami wyjęła płytę CD z zapisanymi zdjęciami USG jej dziecka.

– To dziewczynka – rzekł cicho Moreany. – Załączono rachunek. Pozwól, że ja go ureguluję.

Cofnijmy się do początków ludzkości. Oto kromaniończyk wraca z polowania, wyczerpany, lecz szczęśliwy. W komfortowej jaskini, dajmy na to w dzisiejszej Apulii, obok ogniska zrzuca z ramion ustrzelone zwierzę, po czym rozgląda się za swoją żonę. Jest zmęczony, czuje głód, chce jej opowiedzieć o udanym polowaniu. W mroku jaskini słyszy pojękiwanie. Chwyta płonące polano i rusza jej szukać. Znajduje ją leżącą w bocznej niszy, obok niej nowo narodzone dziecko. Z jej łona wciąż jeszcze zwisa przegryziona pępowina. Kobieta obejmuje dziecko, dłońmi zakrywa jego delikatną twarzyczkę. Mąż wrywa jej z ramion niemowlę, które zaczyna wrzeszczeć, obwącjuje je i lustruje wzrokiem. To mały neandertalczyk. Od razu pojmuje, że to nie on jest ojcem tego bękarta. Zabija dziecko, rzucając nim o skalną ścianę, po czym wraca do ogniska. Wystraszona kobieta nie rusza się z miejsca, nie wie, czy przeżyje nadchodzącą noc.

Od czasów plejstocenu sporo się co prawda zmieniło, niemniej kwestia ojcostwa w dalszym ciągu pozostaje drażliwa, nawet dla kobiety nowoczesnej. Ktokolwiek przesłał Moreany'emu zdjęcia USG, nie mogło być mowy o jakimkolwiek nieporozumieniu ani tym bardziej o pomyłce w adresie. Bez wątpienia była to sprawka bardzo złego człowieka. Henry nie wchodzi w rachubę, rekapitulowała w myślach Betty, stojąc przy biurku Moreany'ego, ponieważ nie leży to w jego interesie. Henry nigdy nie zrobił niczego, co nie leżałoby w jego interesie. Nikt jednak oprócz niego nie wiedział o ciąży, nie zwierzyła się nawet własnej matce. Zrobił to jakiś skryty wróg, niewidzialny, a jednak czający się w pobliżu. Po tej krótkiej analizie Betty ponownie usiadła w Eames chair i podała jedyne słuszne wyjaśnienie: zamilkła.

Również Moreany siedział bez słowa za biurkiem. Kiedy patrzył na nią, zbierało mu się na płacz. Ostatni plan jego życia spełził na niczym, późnoletnia miłość w Wenecji miała pozostać naiwnym marzeniem starca, zakończenie mogło być tylko jedno: samotność. „Nic więcej nie można zrobić – pomyślał. – Dotarłem do kresu mojej drogi”. Wstał, niepewnym krokiem podszedł do stolika z czarnego hebanu i nalał koniaku do dwóch kieliszków. Jeden podał Betty.

– Chciałbym cię o coś prosić. Jedź do Henry’ego i porozmawiaj z nim o powieści. Myślę, że on cię teraz potrzebuje. Czas nagli, pewnie już nie zdążymy na targi. Powiedział mi, że brakuje tylko jakichś dwudziestu stron, ale nie sądzę, by akurat teraz był w stanie pisać. Byłoby szkoda, gdyby nie zdołał ukończyć książki, zanim wyjadę na urlop, prawda?

Tak bardzo zaschło jej w ustach, że gdy sączyła koniak, wargi jej się kleiły. Alkohol palił jej gardło. *On nie wie, rozumiała, on nie wie, że to dziecko Henry’ego.* Wstała, odłożyła kieliszek na stolik i uściskała Moreany’ego. Mocno do niego przywarła, jeszcze nigdy nie była mu tak bliska i tak bardzo wdzięczna. „Co za szlachetny z niego mężczyzna – pomyślała. – Co za wspaniały człowiek”.

– Zaraz do niego zadzwonię, Claus, obiecuję.

Moreany skinął nieco znużony.

– Dziękuję. Jeśli możesz, nic mu o mnie nie mów.

Gdyby w tym momencie Moreany poprosił ją o rękę, byłaby bez wahania powiedziała „Tak”.

– Oczywiście, Claus.

Honor odsunęła od ucha szklanekę, przez którą podsłuchiwała pod ścianą, i szybko usiadła przy komputerze. Sprawnie nałożyła słuchawki, dotknęła palcami klawiatury. Betty tym razem nie przeszła przez gabinet bez słowa, lecz przystanąła przed biurkiem i oparła na nim obie dłonie.

– Honor – powiedziała cicho – mogę panią prosić o przysługę?

Honor zdjęła słuchawki. Po raz pierwszy osoba ta zagadnęła ją z szacunkiem i przede wszystkim bezpośrednio. Chciała to usłyszeć jeszcze raz.

– Proszę?

– Czy wyświadczy mi pani przysługę?

– W każdej chwili. W czym mogę pomóc?

– Kiedy następnym razem zadzwoni do pani gość od ubezpieczeń, proszę nie podawać mu żadnych poufnych informacji na temat Henry’ego Haydena.

Eisendraht drgnęła głową, tak jak to robi kura, gdy dostrzeże ziarno.

– Wypytywał mnie o pana Haydena!

– Wielu to robi. A my chronimy życie prywatne naszych autorów, prawda?

Słyszac owo „prawda”, Honor nie miała wyboru, musiała odpowiedzieć.

– Pracuję tu od bardzo wielu lat, *Betty*, i jeśli istnieje dla mnie jakaś świętość, to jest nią właśnie prywatne życie naszych autorów. Powinna to pani wiedzieć.

– Wiem tylko tyle, że to *pani*. – Wypowiadając te słowa, Betty stała już w drzwiach i pozostawiła Honor Eisendraht sam na sam z bardzo mieszanymi uczuciami.

– Że co zrobiła?

Henry zerwał się z miejsca i zaczął chodzić tam i z powrotem przed panoramicznymi oknami swego atelier. Hovawart natychmiast wyszedł spod ławy i z podwiniętym ogonem czmychnął z pokoju. Wróci dopiero wtedy, gdy jego wrażliwy zmysł wyczuwający zły nastrój odwoła alarm.

Na stole przed Betty leżała koperta ze zdjęciami USG płodu. Z kanapy wodziła za Henrym wzrokiem. Patrząc pod światło, widziała wędrujący zarys jego postaci, niespokojny cień.

– Koperta trafiła prosto do Moreany’ego – ciągnęła. – Zadzwoniła do gabinetu i poprosiła o przesłanie mu zdjęć do siedziby wydawnictwa.

– Eisendraht?

– To musiała być ona. Dzwoniła do nich kobieta. Podała się za mnie, wiedziała, ile mam lat, gdzie mieszkam i że jestem w ciąży.

Henry na chwilę odwrócił się do Betty plecami i wyjrzał przez okno na pola. Nie minęła jeszcze dziesiąta przed południem, a słońce paliło już niemiłosiernie, nieba nie przesłaniała ani jedna chmura, jedynie jakiś bocian krążył na dużej wysokości. Zapowiadał się upalny dzień.

– Jak mogła się tego dowiedzieć? – zapytał, nie odwracając się.

– Na pewno nie ode mnie. – Betty zdjęła but i położyła jedną nogę na kanapie. – I nic a nic nie powiedziałam Moreany’emu – dodała. – Nikt prócz lekarki o tym nie wiedział. À propos, wczoraj zjawił się u mnie człowiek od ubezpieczeń i chciał kluczyki od subaru. Nie mogłam mu ich oddać.

Choć nie widziała pod światło oczu Henry’ego, wydawało jej się, że czuje na sobie jego przeszywające spojrzenie.

– Nie masz żadnego kluczyka?

– Nie. – Betty nachyliła się i wzięła z ławy kopertę. – To był twój pomysł, by zgłosić kradzież. Henry, czemu zachowujemy się jak przestępcy? Dlaczego to robimy, zamiast po prostu opłakiwać twoją żonę i cieszyć się naszym dzieckiem?

Ośloniła oczy, by popatrzeć na Henry’ego.

– Czy możesz się przesunąć, nie widzę cię pod światło.

Henry opuścił elektrycznie sterowane żaluzje, w pokoju od razu zrobiło się chłodniej, nastał przyjemny półmrok. Znow widziała jego postać.

– Idę na policję, Henry. To bez sensu.

– Ach – szepnął, a po długiej pauzie dodał: – Wiesz, co się wtedy stanie?

– Tego nie wiem. A ty?

Betty wyjęła z koperty płytę CD, światło rozszczepiło się na niej na pełne spektrum barw. Obracała płytę w dłoni. „Chroni ją macierzyństwo – przemknęło Henry’emu przez myśl – już się mnie nie boi, chce tylko ratować swoje dziecko”.

– Szczerze mówiąc, jest mi zupełnie obojętne, co się wówczas stanie – odparła Betty. – Sądzę, że prawda to nasza najlepsza opcja. Nie chcę, by nasze dziecko przyszło na świat w więzieniu. Nie chciałbyś go może zobaczyć?

Henry utkwiał wzrok w srebrzystej płycie. Wszystko zaczęło się od tego zdjęcia. Niewielka fotografia żywego fragmentu tkanki, nie większego od pudełka zapalek. Na widok płodu obudził się w nim demon, jego stary kumpel i opiekun z ciężkich czasów. *Chodź za mną*, szepnął do niego, i Henry znow go posłuchał. Pojechał razem z nim nad klif, by zabić żonę, czołgał się z nim po poddaszu domu, gdzie wciąż czekała na niego kuna. To on mu podpowiedział, na którym zakręcie drogi zacząć się na wroga. A teraz wsączał mu do ucha mroczny plan.

– Skończyłem powieść.

Betty spojrzała na niego zaskoczona.

– Naprawdę?

– Tak. Naraz ujrzałem zakończenie. A wtedy usiadłem i je spisałem. Przez kilka ostatnich nocy.

Odłożyła płytę CD na ławę.

– Nie wierzę. Mogę przeczytać?

– Koniecznie. Przeczytaj, powiedz, co o niej sądzisz, a potem będziemy świętować.

Henry podszedł do biurka i wziął do ręki manuskrypt. Ważył go w dłoni, po czym wręczył Betty.

– Nie miałem czasu przepisać go na komputerze. To jedyny egzemplarz. Nie mam żadnej kopii.

Spostrzegł, że Betty chce coś powiedzieć, uniósł rękę.

– Chciałbym, żebyś przeczytała, zanim oddamy ją Moreany'emu. Następnie pójdziemy razem na policję i wyjaśnimy całą sprawę. A teraz... – Henry usiadł na kanapie i sięgnął po płytę CD – pokaż mi nasze dziecko.

## XVI

Zakotwiczona w porcie „Drina” kołysała się lekko w słabych podmuchach zachodniego wiatru. Obradin podstawił obciętą blaszaną puszkę pod korek spustu oleju i ostrożnie go odkręcił. Może wymiana oleju przysłuży się silnikowi, może to już ostatni raz. Zrobił dziobek, by jak zwykle zagwizdać piosenkę, lecz tylko bezgłośnie wypuszczał powietrze. Odkąd miał te nowe piękne siekacze, znacznie lepiej przeżuwał, zimne potrawy i napoje nie powodowały już bólu, lecz gwizdanie mu nie wychodziło.

Do puszkii spłynął olej, czarny od startego metalu, i połyskiwał w słonecznym świetle wpadającym przez właz do maszynowni. Obradin zanurzył w nim palec wskazujący, po czym bacznie się przyglądając, roztarł czarną maź między opuszkami. Do pomieszczenia wniknął cień. Obradin odwrócił swą masywną czaszkę, zerknął w górę i ujrzał Henry’ego stojącego nad nim z założonymi rękami. Kapelusz zakrywał mu czoło. Z wyrazu twarzy wywnioskował, że to coś poważnego.

Henry zaciągał się tytoniowym dymem i wiódł wzrokiem po murze nabrzeża.

– Muszę stąd wyjechać, przyjacielu.

Obradin obserwował, jak dym wypływa z nozdrzy Henry’ego niczym mroźne zimowe powietrze. Marszczył się przez chwilę, po czym rozwiewał ponad sieciami zielonymi od wodorostów. Nie było lepszego miejsca na męską rozmowę niż jego kołysząca się, cudownie szpetna „Drina”.

– Ugrzązłem w gównie i nie wiem, jak się z niego wydostać. Dlatego muszę zniknąć. Ale najpierw... – Henry położył dłoń z papierosem na poplamionych olejem spodniach Obradina – chciałem się z tobą jeszcze raz zobaczyć. Nie wiesz, jak wyglądało wcześniej moje życie, nigdy mnie o to nie pytałeś. Nigdy nie chciałeś wiedzieć, skąd pochodzę, czym się zajmowałem i co porabiam całymi dniami. – Odchylił nieco rondo kapelusza i smutno się uśmiechnął. – Nawet nie wiesz, jak dobrze to robi.

– Dokąd chcesz jechać?

– Jak najdalej stąd. Zniknę, aż nikt nie będzie mnie szukał.

Henry spojrzał zamyślony na skórzane czubki swych butów.

– Już parę razy w życiu znikalem. Na długo, na całe lata. Mieszkałem sam w domu o zamurowanych oknach i nikt tego nie zauważył. Dom należał do moich rodziców, wciąż jeszcze stał, gdy oni dawno już nie żyli. Wyobraź sobie, skończyłem tylko sześć klas. Nawet nie potrafię liczyć w pamięci. Uwierzysz?

Obradin wypluł okruszek tytoniu do wody.

– Widać, jak czasem niewiele wystarcza.

Henry zdjął kapelusz i otarł z czoła pot. Obracał kapeluszem w palcach.

– Moja żona nie utonęła przy plaży.

Obradin zerwał się i podniósł ręce w błagalnym geście. „Drina” zaczęła się kołysać.

– Nic nie mów, Henry. Nie chcę tego wiedzieć. Jesteś moim przyjacielem, wszystko mi jedno, lepiej zachowaj to wyłącznie dla siebie.

Henry także się podniósł i wyciągnął ku niemu ręce.

– Uspokój się, Obradynie, musisz to wiedzieć. Tamtej nocy, kiedy Martha zniknęła, pojechałem nad zatokę.

Obradin zatkał sobie uszy.

– Ani słowa więcej. Proszę.

– Nie odejdę stąd, dopóki się nie dowiesz, co się wydarzyło tamtej nocy. Na plaży zobaczyłem

rower Marthy, a także jej przybory kąpielowe, ale jej tam nie było.

Zasmucony Obradin na powrót usiadł i zaczął masować swe owłosione ręce. W jego ciemnych oczach Henry dostrzegł łzy.

– Ależ ja to wiem. Widziałem cię, Henry. Pojechałeś tamtej nocy nad zatokę, bez świateł, i widziałem, jak stamtąd wracałeś.

– I co sobie pomyślałeś? – zapytał Henry szczerze zaskoczony. – No mówże, co sobie pomyślałeś?

– Nic sobie nie pomyślałem. Możesz robić, co chcesz. – Obradin potrząsnął byczym karkiem, jego masywne ciało zadrżało. Koszula na brzuchu się naprężyła, przechylił tułów w lewo, jak trudne dziecko. – Nie wiem, co sobie pomyślałem. To twoja sprawa, to wyłącznie twoja sprawa.

– Jest pewna kobieta – rzekł Henry cichym głosem i usiadł obok przyjaciela. – Druga kobieta. Zła kobieta. Ma na imię Betty i pracuje w wydawnictwie. Od lat mnie prześladowa, twierdzi, że spodziewa się mojego dziecka. Szantażuje mnie. Chce moich pieniędzy, ale przede wszystkim mnie.

A potem Henry opowiedział przyjacielowi, handlarzowi ryb Obradinowi, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy nad klifem. „Drina” łagodnie się przy tym kołysała, drobne fale obijały się o porośniętą glonami burtę, obok przepływały niewielkie ławice ryb. Obradin słuchał z przymkniętymi oczami, ani razu Henry’emu nie przerwał. Wędrował tylko odruchowo włochatym palcem wskazującym po szwie nogawki, jakby robił notatki.

– Opowiedziała mi, że Martha ją odwiedziła, by się z nią rozmówić – zakończył Henry swoją relację – lecz jej samochód do dziś stoi w stodole. Martha nie wróciła do domu z tego spotkania. Szukałem jej wszędzie. Tamtego dnia przepadł gdzieś samochód Betty. Zgłosiła jego kradzież. Ta kobieta posługuje się zresztą moimi kartami kredytowymi, rozpowiada wszystkim, że jest ze mną w ciąży. Przed sądem zezna, że ja to zrobiłem. Zamkną mnie za morderstwo, a ona dostanie wszystko, dom, prawa do powieści, wszystko.

Obradin otworzył oczy, oślepiiony przez słońce zamrugał powiekami.

– Czemu po prostu jej nie odeślesz?

Henry pytająco spojrział Obradinowi w twarz.

– Niby dokąd miałbym ją odesłać?

– Odeślij ją do miejsca, z którego nikt nie wraca.

– Gdzie jest takie miejsce?

– To całkiem proste – odparł cicho Obradin. – Możesz mi wierzyć.

Henry gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie potrafię zrobić czegoś takiego. Przyznaję, że często o tym myślałem, ale jestem na to za miękki.

– Nie w swoich powieściach.

– To co innego. To wyobraźnia, czysta fantazja. W rzeczywistości nawet nie potrafię zabić kuny. Ty byłeś na wojnie, Obradinie, straciłeś córkę, potrafisz żywić nienawiść. Ja nie potrafię nienawidzić.

– Nie musisz nienawidzić ryby, żeby ją zabić. To całkiem proste.

– Człowiek to nie ryba, Obradinie. – Henry klepnął się po udach, po czym wstał. – Martha była miłością mojego życia. Brakuje mi jej, dom bez niej jest pusty. Nie potrafię już pisać. Przyjacielu, może za rok, dwa, otrzymasz pocztówkę. Od nieznanego. To będę ja. Na razie...

Henry sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz.

– To od skrytki depozytowej. Jeśli będziesz kiedyś w potrzebie, jeśli nie będziesz wiedział, co dalej począć, idź tam i otwórz ją. Wiadomość, w którym banku masz szukać, znajdziesz na stronie 363 *Franka Ellisa*. Bądź zdrow, przyjacielu.



Stary Port to jedyna restauracja w regionie oznaczona jedną gwiazdką Michelina. Rozległy taras z odrestaurowanych planek wznosił się nad taflą morza na smołowanych dębowych podporach, można było stąd podziwiać zachód słońca, unosząc się niejako na wodzie. Wtajemniczeni rozkoszowali się nadto specjalnością lokalu, *Big Sur Sundowner* „Nepenthe”.

Henry zaparkował swoje maserati obok odkrytego bentleya w kolorze Tudor Grey i przeszedł przez wysypany białym żwirem, starannie zagrabiony parking, mijając kamienie milowe historii motoryzacji. Podwinął rękawy koszuli, marynarkę zarzucił swobodnie na ramiona. Dopiero co wziął prysznic, zgłodniał, czuł woń własnego płynu po goleniu. Sprężystym krokiem pokonywał po dwa stopnie schodów naraz, po czym wszedł do wyłożonego drewnem sandałowym lobby Starego Portu. Kto, minawszy połyskujące chromem symbole statusu, dotarł tu, nie doznając przy tym uczucia zazdrości czy niższości, bez wątpienia znalazł się wśród swoich.

Choć Henry nosił przeciwsłoneczne okulary, kelner bez trudu go rozpoznał i poprowadził do stojącego na skraju tarasu *table pour deux*. Był to narożny stolik tuż przy drewnianej balustradzie, najlepsze miejsce do obserwacji zanurzającej się w wodach oceanu ognistej kuli, jak również pojawiających się na tarasie gości. Między stolikami było dość miejsca, by wyciągnąć swobodnie nogi, a w razie konieczności wygodnie stąd czmychnąć. Henry zlustrował wzrokiem zebrane towarzystwo. *Casual dining* wymaga jedynie niezobowiązującego ubioru, większość mężczyzn, podobnie jak on, nosiła buty z płótna żaglowego, okulary przeciwsłoneczne oraz drogie zegarki. Było się tu wśród swoich, wiecznie młodych ludzi z pokolenia pięćdziesiąt plus, jak to się dziś mówi. Najatrakcyjniejsze miejsca przy balustradzie były od miesięcy zarezerwowane. Henry zauważył ustawione na białym obrusie dwa wysokie kieliszki na wodę, dwa komplety sztućców, dwie małe miseczki na *hors d'oeuvre* oraz idealnie czyste serwetki o subtelnym wzorze. Zerknął na zegarek, była 18:46. Przyjechał kwadrans przed czasem.

Betty czytała przez cały dzień. Żaluzje w oknach jej biura były opuszczone, tylko raz wyszła na chwilę do pokoju wypoczynkowego, by zaparzyć sobie świeżej herbaty miętowej. Kiedy przewróciła ostatnią stronicę, znieruchomiała zdumiona.

– Niemożliwe – powiedziała do siebie na głos. – To niemożliwe.

Brakowało zakończenia powieści. U dołu nie zauważyła też słowa „Koniec”, zwyczajnie go tam nie było.

Powieść *Biały mrok* była niesamowicie zajmująca. Betty przewracała ostatnie kartki wilgotnymi palcami, teraz musi się to stać – i wtedy nastąpił koniec. Betty gapiała się na duże puste pole ostatniej strony, jakby widniał tam jakiś ukryty mikroskopijny punkt, w którym przepadła tajemnica zakończenia. Była tam jednak tylko brązowa, nic nieznacząca plama po muszych odchodach.

Krąży niepotwierdzona plotka, jakoby przyjaciele dramaturga Czechowa usiłowali wtargnąć do jego gabinetu, by uratować zakończenia jego cennych opowiadań. Czechow znany był z tego, że zachowywał jedynie niezbędne minimum tekstu swych utworów, a po ukończeniu pracy odcinał ich początki i końce, gdyż uważał, że nie są one niezbędne dla toku narracji. I tak niejednego czytelnika opowiadania *Dama z pieskiem* ogarnęło przerażenie, gdy dotarł do ostatniej stronicy – do momentu, w którym udęczone miłość dwojga młodych ludzi wznosi się ponad konwencję i owo wieczne rosyjskie wahanie, by w zbawiennym miłosnym porywie wreszcie... i na tym koniec, kropka. Ów wytęskniony moment nie należy już do opowiadania. To straszne, ale trzeba się z tym pogodzić.

Betty stłumiła w sobie impuls, by od razu zatelefonować do Henry'ego. Całkiem możliwe, że zwyczajnie zapomniał dołączyć brakujące strony, na przykład cały ostatni rozdział. *Ukończyłem powieść*, oznajmił, tajemniczo się przy tym uśmiechając. Czy ukrył zakończenie, by ją nieco podręczyć? Jakże to byłoby nielogiczne. Powieść ta różniła się od poprzednich. Pełna namiętności, empatyczna w każdym calu, a jednak bez brakujących stron była niczym więcej niż tylko bezgłowym torsem. Wprost nie do wiary, pomyślała Betty, dopijając resztkę zimnej już herbaty, z jak wrażliwą gwałtownością ten facet, zakuty w pancerz obojętności, kreował swe postacie. Odłożyła manuskrypt.

Henry ją sportretował. Betty rozpoznała siebie już na pierwszych stronach. Ten sam mężczyzna, który uważał ją za morderczynię swej żony i z pozoru nie potrafił wzbudzić w sobie choćby krzty uczucia dla własnego dziecka, nakreślił jej dokładny i sympatyczny portret. Wykonując zawód redaktora, człowiek uczy się oddzielać postać autora od jego dzieła. To osobowość, nie osoba, odbija się w dziele artysty. *Musimy kochać Henry'ego, choć nigdy go nie poznamy*, powiedziała jej Martha przy pożegnaniu. Ona chyba kochała prawdziwego Henry'ego – człowieka, którego wcale nie знаła.

\*\*\*

Około godziny siedemnastej, przed opuszczeniem wydawnictwa, Betty zamknęła się w pomieszczeniu do kopiowania. Liczący 380 stron manuskrypt ułożyła w podajniku, podłączyła swojego penddrive'a i nacisnęła klawisz „scan”. Urządzenie natychmiast zaczęło wciągać pojedyncze strony, naświetlać je i zapisywać w pamięci USB w postaci plików PDF. Następnie wypluwało z powrotem kartki papieru. Betty zapakowała manuskrypt w plastikową folię i wsunęła do torby. Pendrive'a włożyła do stojącej na jej biurku niewielkiej misy ze szkła z Murano.

Do biura Moreany'ego pojechała windą. Podczas jazdy czuła coraz silniejsze ruchy dziecka, położyła rękę na brzuchu. Ruchy płodu natychmiast się uspokoiły. Minęły też okropne napady mdłości. Betty nie brała żadnych lekarstw, od tygodni całkiem zrezygnowała z alkoholu i papierosów, piła też herbatę zamiast kawy. Rezygnacja z codziennej dawki trucizny przyszła jej nadszpiewanie łatwo, zachowując wstrzemięźliwość, jeszcze bardziej wyładniała, mężczyźni się za nią oglądali, nawet kobiety zatrudnione w wydawnictwie robiły to ukradkiem.

Większość pracowników wyszła już do domu, by wyjechać na weekend nad morze. Betty uprzątnęła przy okazji filiżanki po kawie pozostawione w barku, łatwo dostępnym z każdego biura. Pozdrowiła przystojnego młodzieńca z działu prasowego, który zwykł do niej rzucać papierowymi samolotami. Następnie weszła do przedpokoju biura Moreany'ego, gdzie Honor Eisendraht stała przy swoim tajemnym bisleyu, płucosercu wydawnictwa, jak określał tę szafę Moreany, i porządkowała segregatory księgowości. Monitor jej komputera był już przykryty, Betty zauważyła leżącą na biurku obok klawiatury talię kart do tarota. Drzwi do gabinetu Moreany'ego były zamknięte.

– Moreany już wyszedł?

Eisendraht schowała karty tarota, z oparcia krzesła zdjęła swoją torbę. Betty zwróciła uwagę na delikatną woń jej perfum, zadbaną fryzurę oraz wyczucie, z jakim dopasowała pod względem kolorystycznym swój ubiór do wystroju biura.

– Już o piętnastej wyszedł na spotkanie.

Betty usiłowała wyczytać w oczach Eisendraht, czy nie ukrywa przed nią jakiejś wiadomości, lecz sekretarka patrzyła dość przyjaźnie, mniej więcej tak, jak wizerunki umieszczone na palach totemowych w muzeach antropologicznych. Jedynie jej krótkie spojrzenie na brzuch Betty zdradzało, co kłębi się w jej myślach.

– Coś jeszcze? – zapytała Eisendraht, gładząc przy tym odruchowo sweter powyżej pępka.

– Tak. Nigdy jeszcze nie okazałam pani mego uznania. To głupio z mojej strony, jest mi naprawdę przykro. Szanuję panią i podziwiam pani pracę. Miłego dnia.

Honor stała przez chwilę sama, bez ruchu. Dracena zrzuciła jeden liść, poza tym nic się nie zmieniło. A jednak. Zakrawa na ironię, że najbardziej wzruszające komplementy słyszy się akurat z ust swego wroga, na którego chłodną odrazę zawsze można było dotąd liczyć. Honor Eisendraht nazbyt dobrze знаła kobiety, by nie dostrzec wyraźnie, że przeprosiny Betty były prawdziwe, szczerze i bezinteresowne. Wzięła torebkę i wzruszając ramionami, wyszła z biura. Coś takiego się zdarza. Nic na to nie można poradzić.

Henry zdecydował się na stek z frytkami. Nie były to zwykłe ziemniaczane pałeczki, lecz *frites allumettes*. Red Snapper Thai Style przy sąsiednim stoliku także wyglądał kusząco, podobnie jak siedząca przy nim kobieta z silikonowym biustem, która miała straszną ochotę przysiąść się do Henry'ego, gdyby tylko pozwalały na to okoliczności. Niestety, nie pozwalały. Henry'emu wystarczył sam stek. Dopił resztkę sundownera, słońce wciąż wznosiło się wysoko ponad taflą morza. Jego zegarek wskazywał dziewiętnastą siedem. Zerknął w stronę restauracyjnego lobby, kelner zauważył jego spojrzenie i natychmiast podszedł do stolika. Dostrzegł oczywiście drugie nakrycie, zrozumiał, że Henry zaczeka jeszcze z zamówieniem, nie miał cienia wątpliwości, że towarzyszyć mu będzie kobieta, dlatego zaproponował wermut, który gentleman może popijać w oczekiwaniu na damę, nie sprawiając przy tym wrażenia niestosownie zachłannego. Chwilę później zawibrował telefon Henry'ego. Dzwoniła Betty.

– Słuchaj, jadę jakąś okropną piaszczystą drogą. Nie zablądziłam?

– Nie zablądziłaś.

Powietrze w samochodzie drżało. Betty wyjrzała przez przyćmione kurzem boczne okno, opuściła niżej szybę. Do wnętrza wdarła się mgła drobnych cząsteczek, uformowała obłoki, odkładała na jej skórze niewielkie kryształki, wnikała we włosy i do płuc, mieszała się z wilgocią jej śluzówek.

– Co widzisz?

– Po prawej pola i słupy elektryczne, z lewej jakieś krzaki i nic więcej. Cholernie dużo tu kurzu, kiedy dojadę na miejsce, będę wyglądać jak Ben Hur po wyścigu rydwanów.

Henry się domyślił, że wybrała właściwą drogę.

– Słupy elektryczne doprowadzą cię prosto do celu.

Betty zerknęła na ekran.

– Nawigacja pokazuje tylko jakąś przerywaną linię. Jeszcze cztery kilometry dziewięćset metrów. Czy to możliwe?

– Wszystko się zgadza. Cały czas prosto aż nad sam brzeg morza. To stary port. Tak też nazywa się restauracja: Stary Port. Jesteś już całkiem blisko. Masz z sobą mój manuskrypt?

– Oczywiście.

– Świetnie. Mam już zamówić dla ciebie sundownera?

– Tylko bez alkoholu. Okay, to na razie.

Betty odłożyła telefon do leżącej obok otwartej torby z notebookiem i manuskrytem Henry'ego. Gdy wychodziła z siedziby wydawnictwa, by udać się na kolację z Henrym, była dobrej myśli. Uczyniła pierwszy krok ku pojednaniu z Honor Eisendraht. Jej zdrada, jakkolwiek perfidna, miała działanie oczyszczające, oddała jej tym prawdziwą przysługę, choć z pewnością nie miała takiego zamiaru. Ujawnienie zdjęć USG zakończyło tę tajemniczą dziecinadę, żaden romans nie jest tego wart, by wypierać się własnego dziecka.

Wyrwy w drodze stawały się coraz głębsze, Betty zwolniła. Metalowe, przeżarte przez rdzę kontenery leżały rozrzucone po okolicy, Betty zauważała gdzieś strzępy opon ciężarówek. Fontanny kurzu wystrzeliwały w górę niczym obłoki pudru. Betty widziała przed sobą szerokie ślady opon, usiłowała nie wjeżdżać w koleiny, wypłukane przez deszcz i spieczone przez słońce na twarde

jak kamień bruzdy.

Im wolniej jechała, tym bardziej absurdalna wydawała jej się ta bezkresna droga. Henry miał jednak talent do wynajdywania odosobnionych i niezwykle pięknych miejsc. Betty przypomniała sobie Es Verger na Puig de Alaró na Majorce. Henry uparcie parł pod górę, silnik aż wyl, samochód trzeszczał i terkotał.

– Kiedyś wreszcie dotrzemy na miejsce – powtarzał, a ona mu wierzyła. Po niekończącej się wspinacze drogą prowadzącą wąskimi serpentynami stromo pod górę dotarli w końcu do królowej wszystkich górskich restauracji, gdzie zjedli najpyszniejszą w życiu jagnięcinę. To właśnie tamtej nocy poczęte zostało dziecko, Betty nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

W oddali ukazała się tablica. Ledwie się trzymała na przerdzewiałych stalowych słupkach, wskutek działania kurzu i słońca była prawie nieczytelna. Betty dostrzegła fragmenty rybackiej łodzi oraz wyblakłego napisu „... port”. To musi być tutaj. Nawigacja pokazywała niecały kilometr do celu. Na ekranie pojawiły się niewyraźne zarysy prostokątnego terenu nad samym morzem. „Za siedemset metrów dotrze pani na miejsce. Cel znajduje się w pobliżu”. Teren otoczony był metalowym ogrodzeniem. Za nim wznosiła się okropna betonowa fasada jakiegoś budynku przemysłowego, mewy obsiadły szkielety dźwigów.

Wolnym tempem Betty minęła otwartą bramę, samochód toczył się po betonowych, porośniętych chwastami płytach. Wokół piętrzyły się góry nielegalnie wysypywanych śmieci, na wietrze kołysały się żółte i niebieskie plastikowe beczki, wszędzie unosiła się woń zgnilizny. Betty podjechała do niewysokiego muru, na którym widniała tablica ze spłowiałym napisem „Przejazd wzbroniony”. Zatrzymała samochód, wysiadła, rozejrzała się dokoła.

– Proszę kierować się według strzałek – brzęczała nawigacja.

Taras zanurzył się w czerwonej poświacie zmierzchu, miejsca zajmowali kolejni goście. Obok stolika Henry’ego przemknęła właśnie jakaś kobieta, spojrzał na jej opalone pięty w wysokich, otwartych z tyłu butach. Zabrzączał telefon.

– Betty, gdzie jesteś?

– Wylądowałam na jakimś wysypisku śmieci, przede mną wisi tablica „Przejazd wzbroniony”. To ma być jakiś żart? Nie ma tu żadnej restauracji.

– Stoisz teraz przed murem, czy tak?

– Tak, i dalej nie jadę. Strasznie tu.

Henry się roześmiał.

– Po prostu zignoruj tablicę, jedź jeszcze kawałek. Wyjdę ci naprzeciw.

Jego śmiech ją uspokoił. Po chwili wahania Betty wsiadła do samochodu i ruszyła powoli wzdłuż okropnego muru. Telefon trzymała przy uchu. Słyszała miarowy oddech Henry’ego. Po przejechaniu pięćdziesięciu metrów zobaczyła po lewej otwarty teren, w oddali widać było morze.

– No więc dotarłam nad sam brzeg. Stoi tu hangar, wszędzie kontenery i stare szyny. Nie ma żywego ducha, żadnego samochodu. Gdzie jesteś?

– Idę do ciebie. Zatrzymaj się przy hangarze. Zaraz tam będę.

Betty zaparkowała obok hangaru, którego ogromna otwarta brama zionęła niczym paszcza aligatora. Kurz na szybach tak bardzo rozpraszał światło, że nie była w stanie rozpoznać, co się kryło w jego wnętrzu.

– Czy restauracja jest może *tam*, w środku?

– Widzę cię, Betty. Wsiądź, odwróć się. Widzisz mnie?

Betty powoli otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Z mrocznego wnętrza hangaru powiał zimny wiatr. Zacisnęła palce na telefonie i bacznie rozglądała się za Henrym.

– Gdzie jesteś, Henry?

## XVIII

Jenssen lubił statystyki. Jak większość jego kolegów znał oczywiście doroczne statystyki kryminalne. Liczby potrafią wiele powiedzieć. Szczególnie wówczas, gdy się je zestawi obok siebie, na przykład tak: w roku 2009 w Niemczech dokładnie 38 117 kobiet poddało się laserowym zabiegom twarzy, w tym samym czasie zrobiło to 42 623 mężczyzn. *Co nam to mówi?*, zapytywał chętnie Jenssen, cytując takie dane w stołówce komendy policji.

Co się tyczy morderstw i umyślnych zabójstw, ich liczba spadła w porównaniu z rokiem poprzednim o 2,2 procent. Wskaźnik wykrywalności przestępstw wyniósł 95,9 procent, co dobrze świadczy o pracy wydziałów śledczych, źle zaś o inteligencji zwyczajnego kryminalisty. Niemal stuprocentowe prawdopodobieństwo udowodnienia morderstwa i wymierzenia surowej kary jest więc przez większość sprawców uznawane za akceptowalne. Być może właśnie dlatego, że wynosi ono tylko *niemal* sto procent, a statystyka ta nie dotyczy ich osobiście, lecz wyłącznie innych. Poza tym statystyki kryminalne zawierają dane o morderstwach „wykrytych”. Te niewykryte, by nie powiedzieć, morderstwa *udane*, pozostają natomiast w raju liczb nieujawnianych publicznie. Należy zatem oczekiwać, że ujmując rzecz procentowo, w nadchodzących latach zostanie popełniona i odpokutowana podobna liczba morderstw. Pewność ta brzmi jak złowrogie fatum.

Utonięcie Marthy Hayden było dla Jenssena klasycznym przypadkiem śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku, gdyż ani motyw, ani żadne poszlaki na nic innego nie wskazywały. Do tej wersji wydarzeń przekonał go pozostawiony na plaży rower. Przekonał on *wszystkich*. Mimo to „zgon podczas kąpieli” pozostawał jedynie hipotezą, opartą wyłącznie na fakcie odnalezienia roweru, i to akurat przez męża Marthy. Czysto hipotetycznie porzucenie roweru na plaży dopuszczało także wniosek, że jego właścicielka została uprowadzona przez istoty pozaziemskie, a teraz zabawia się na pokładzie statku kosmicznego z nieletnimi egzomorfami. Właściwie czemu nie?

Natomiast zniknięcie trzydziestoczteroletniej redaktorki Betty Hansen z wydawnictwa Moreany z całą pewnością nie było wypadkiem ani samobójstwem. Załoga helikoptera straży przybrzeżnej w trakcie rutynowego nocnego lotu dostrzegła około godziny 22:00 płonący wrak. Po przybyciu na miejsce straży pożarnej około 22:45 pozostało już tylko pokryć pianą tłące się części wykonane z tworzywa sztucznego. Piana zniszczyła przy tym cenne ślady w bezpośrednim sąsiedztwie samochodu. Resztek ludzkiego ciała nie odnaleziono.

Godzinę po rozpoczęciu porannej zmiany Jenssen znalazł się na terenie zamkniętej fabryki przetwórstwa rybnego. Była nieczynna od dekady i wywołała w nim wrażenie apokaliptycznego kąpieliska na Costa Brava. Bolał go każdy miesiąc, gdyż poprzedniego wieczoru usiłował w fitness klubie nadrobić trzytygodniową przerwę w treningach. Mimo tysiąca pięciuset miligramów ibuprofenu nie mógł normalnie chodzić, człapał na chwiejnych nogach i majtał przy tym rękami jak jakiś orangutan.

Biały drobny kurz zmienił się pod wpływem rozlanej wokół wraku piany gaśniczej w grudki szarej brei. Koledzy od zabezpieczania śladów pełzali w niej w poszukiwaniu resztek krwi, włosów, pozostałości tłuszczu lub zmienionych w popiół kości. Jenssen chwalił swą dalekowzroczność, że u progu kariery nie zdecydował się podjąć służby przy zabezpieczaniu śladów. Nie dlatego, że praca ta jest mało interesująca czy pozbawiona jakiegokolwiek sensu, o nie, męczące było w niej to, że ślady są zazwyczaj mikroskopijnie małe, znaleziony włos dorównuje wagą pniowi drzewa. Całe to grzebanie w skali nano pozbawione było zdaniem Jenssena wszelkiej haptycznej zmysłowości.

Jenssen zmierzył dystans do morza, naliczył czterdzieści dwa kroki. Stare szyny prowadziły po betonowej pochylni wprost do wody, gdzie rdzewiały szkielety starych platform, którymi transportowano na łód ładunki z rybackich kutrów. W dobrych latach, gdy ryb było jeszcze pod dostatkiem.

Po bezowocnych poszukiwaniach psy tropiące zabrano z powrotem do transportera. Kilku funkcjonariuszy nurkowało w umocnionym terenie przybrzeżnym, po południu mieli się tu zjawić zawiązani nurkowie z marynarki. I tak nic nie znajdują, Jenssen był o tym przekonany. Przysiadł na oponie od ciężarówki, którą poddano już ekspertyzie kryminalnoteknicznej, i ukradkiem wykonywał ćwiczenia stretchingowe, by odzyskać panowanie nad swymi ramionami. Nie miał wątpliwości, że nie uda się odnaleźć ani ciała, ani też żadnych śladów sprawcy czy czegokolwiek przydatnego dla wyjaśnienia sprawy. Ponownie wyjął z kieszeni zmięty arkusz papieru faksowego i przeczytał transkrypcję rozmowy przez telefon alarmowy.

O godzinie 21:16 Henry Hayden wybrał w swoim telefonie komórkowym numer alarmowy policji. Najpierw się upewnił, czy nie zgłoszono jakiegoś wypadku. Następnie poinformował, iż Bettina Hansen, redaktorka z jego wydawnictwa, nie pojawiła się z manuskryptem jego najnowszej powieści na umówionym spotkaniu. Dwukrotnie zadzwoniła do niego z samochodu. Raz, by zapytać go o drogę, drugi, by powiadomić o spóźnieniu. Od kilku godzin nie można się z nią skontaktować telefonicznie. Funkcjonariusz dyżurujący przy telefonie alarmowym wyjaśnił Henry'emu, że nie otrzymał żadnego meldunku o wypadku oraz że jeszcze za wcześnie, by wszcząć poszukiwania zaginionej. Reakcja absolutnie poprawna pod względem formalnym. Jenssen był pewien, że sprawdzenie billingów potwierdzi tylko zeznania Haydena.

Owo niecodzienne nagromadzenie podobieństw uznał za godne uwagi. W ciągu niespełna miesiąca zniknęły dwie kobiety, obie dobrze znały Haydena. Z jedną z nich był żonaty, z drugą współpracował. Czy jednak każdy nie postąpiłby na jego miejscu podobnie? – rozważał w myślach Jenssen. Kolejna zastanawiająca kwestia: obie kobiety zniknęły „w całości”, nie znaleziono żadnych śladów, żadnych włosów, żadnych części. Martha Hayden była wytrawną pływaczką. Jej śmierć jest przekonująca, żaden człowiek nie zdoła pokonać tak silnego prądu. Jakim jednak sposobem ta zdrowa, rozsądna redaktorka mogła aż tak zmylić drogę? Od nadbrzeżnej szosy dzieliło to miejsce pięć kilometrów najeżonej wyrwami piaszczystej drogi. Żadna tablica, żaden drogowskaz, żadna informacja w nawigacji samochodowej nie wskazują na istnienie na tym pustkowiu jakiegokolwiek restauracji. I gdzie się podziały jej zwłoki?

Jenssen wstał i minawszy kolegów, poczłapał w kierunku hangaru. Zrobił pięć kroków w głąb mrocznego wnętrza, odwrócił się i głośno krzyknął:

– NA POMOC!

Wszyscy przerwali pracę, zaczęli rozglądać się wokoło – nikt jednak nie zdołał go dostrzec. Oddalony zaledwie o pięć kroków, a mimo to niewidoczny, stwierdził Jenssen. Morderca prawdopodobnie nadszedł właśnie stąd.

\*\*\*

Po piątej daremnej próbie połączenia Honor Eisendraht zamówiła taksówkę i kazała się zawieźć spod siedziby wydawnictwa prosto do Willi Moreany'ego. Przez bramę ogrodową weszła do starego parku, guzik dzwonka do drzwi wciskała tak długo, aż w palcu wskazującym poczuła skurcz. Następnie obeszła dom dookoła i przez otwarte drzwi werandy weszła do biblioteki. Zmartwiona przetrząsała ogromny dom. Niezliczone pokoje były puste albo zastawione książkami i skrzyniami. Wykrzykiwała jego imię, nasłuchiwała.

W końcu znalazła Moreany'ego w sypialni na pierwszym piętrze. Leżał na boku w swoim

ogromnym kontynentalnym łożu, twarz miał zlaną potem, poszczególne oddechy dzieliły całe sekundy. Między prześcieradłami zauważyła napoczęte opakowanie morphantonu, brakowało trzech tabletek po dziesięć miligramów każda. Odwróciła Moreany'ego na plecy. Sapiąc, otworzył oczy, poznał ją, uśmiechnął się. Przyniosła wody, ostrożnie mu ją podała, pomogła mu wstać, wsparła chwiejącego się na nogach w drodze do łazienki. Moreany wyraźnie cierpiał ból. Był tak bardzo osłabiony, że musiała go przytrzymać, gdy korzystał z toalety. Po czterech filiżankach kawy jego stan nieco się poprawił. Spojrzał w jej stroskaną twarz.

– O wszystkim już wiem. Henry zadzwonił do mnie w nocy. Powieść także przepadła.

– *Przepadła?* – Przerażona Honor zakryła dłonią twarz.

– Betty miała manuskrypt przy sobie, w samochodzie.

– Nie! I nie ma żadnej kopii? Musiał przecież zrobić jakąś kopię.

Moreany potrząsnął głową.

– On zawsze pisze na maszynie. Widziałem manuskrypt. To koniec, Honor. Jeśli chcesz sobie teraz popłakać, bądź taka miła i podaj mi, proszę, najpierw moje angielskie herbatniki.

Honor znalazła opisaną blaszaną puszkę z herbatnikami w spiżarni pełnej zepsutych rarytasów. Wszystko okrywały delikatne całuny owadzych szczątków. Szynka hiszpańska pokryta błękitną warstwą pleśni, zmumifikowane kielbaski, zasuszone owoce, niebezpiecznie pękate puszki, deski regałów połączone niezliczonymi wydrążonymi tunelami. Bez wątpienia brakowało w domu kobiecej ręki. Honor nie miała wręcz odwagi otworzyć puszki z herbatnikami, na szczęście ciastka zachowały się w doskonałym stanie.

– Honor, widziałaś już może sępy na dachu? Mam nadzieję, że to wegetarianie. Nie wiem, jak długo jeszcze pociągnę.

Moreany po raz pierwszy zwrócił się do niej per ty. Honor chwyciła go za rękę i ją uściśnęła. Z rozkoszą przeżuwał herbatniki.

– Cóż, moja droga – rzekł, zamykając oczy – a teraz przejdźmy do dobrych wiadomości. Masz jakieś?

\*\*\*

Nieduże trzypokojowe mieszkanie było wysprzątane. We wszystkich pomieszczeniach unosiła się słaba woń konwalii oraz świeżego prania, rozwieszonego na stojaku w pokoju dziennym. Jenssen wędrował powoli przez wszystkie pokoje, przyglądał się meblom, przejrzał niewielką kolekcję weneckiego szkła, ubrania i buty. Na ścianie wisiał duży czarno-biały portret Betty, ukazujący ją z półprofilu, na jej blond włosach migotało światło. Przypomniawszy on Jenssenowi Lanę Turner, hollywoodzką gwiazdę z lat czterdziestych. Zrobił telefonem zdjęcie portretu. W kuchni wciąż stała na stole zastawa śniadaniowa, nadgryzione jabłko leżało obok na wpół przeczytanej gazety, na drzwiach lodówki wisiał magnetyczny kalendarz, w którym jedną z dat zakreślono czerwonym kółkiem. Flamastrem dopisano „ginekolog”. Jenssen zerknął na zegarek, była to data dzisiejsza.

Na niewielkim biurku w sypialni Betty Jenssen znalazł prywatne i służbowe fotografie. Na niektórych zdjęciach rozpoznał Henry'ego Haydena. Zrobiono je widocznie podczas odczytów i na targach książki. Jenssen nie znalazł komputera, jedynie router szerokopasmowy świadczył o tym, że miała dostęp do Internetu. Na stosie manuskryptów leżało niewypełnione zgłoszenie szkody. Ubezpieczyciel postawił ikсы przy opcjach kradzieży oraz rodzaju pojazdu. Jenssen wiedział już, że Betty Hansen zgłosiła kradzież samochodu, nie przedłożywszy kluczyków. Wiedział też, że wynajęła drugi, płacąc kartą kredytową Henry'ego Haydena. Pozostawało pytanie dlaczego.

Jenssen lubił odwiedzać mieszkania zmarłych. Powolna, pełna należytego respektu wędrowka po pokojach miała w sobie coś makabrycznie uroczystego, on zaś przypominał wówczas ateistę



kontemplującego w kościele nieobecność Boga. Coś tragicznego mogło się kryć w parze butów stojących obok sofy, czekających na uprzątnięcie przy najbliższej okazji, leżąca na łóżku otwarta książka była niczym zatrzymany zegar, każda notatka w kalendarzu jak wiadomość z zaświatów.

Przejęty melancholią pozostawionych rzeczy, Jenssen rozmyślał o obcej kobiecie, która tu mieszkała. Odgadł, że była kochanką Henry'ego Haydena, zanim jeszcze ujrzał na ścianie jej portret. Pasowała do niego. Była młoda i piękna, niewątpliwie posiadała porządne wykształcenie, odnosiła sukcesy, blisko z nim współpracowała. Większość małżeństw oraz najskrytszych romansów zawieranych jest w środowisku pracy. Była to jedynie mglista hipoteza, ledwie przeczucie, a mimo to Jenssen uważał, że zgony obu kobiet w jakiś tajemniczy sposób są z sobą związane i można je wyjaśnić pojedynczym motywem.

Henry Hayden nie zabił Betty Hansen. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Miał bezspornie najlepsze w świecie alibi. Czekał na nią w ogólnodostępnym lokalu, na oczach wszystkich, nawet rozmawiał z nią przez komórkę. Zadzwoił stojący na biurku staromodny telefon. Jenssen drgnął. Po chwili wahania podniósł słuchawkę. To asystentka z gabinetu ginekologicznego Hallonquist chciała uprzejmie przypomnieć o terminie wizyty.

– Kiedy?

– Dziś o piętnastej.

\*\*\*

Henry zauważył stojący na parkingu policyjny samochód. Z tyłu pojazdu widniała dyskretnie – lecz nie *dość* dyskretnie – przymocowana antena radiowa. Pozdrowił starego portiera i zapytał go o trapioną przez reumatyzm żonę. Jak zwykle czuła się mizernie. Następnie wszedł schodami na trzecie piętro, by móc czymś uzasadnić swe przyspieszone tętno.

Honor Eisendraht wyszła mu naprzeciw, jakby czekała na niego w korytarzu. Miała zaczerwienione oczy, nieco zmierzwioną fryzurę. Była ubrana w stosowny do sytuacji antracytowy kostium.

– Jest tu policja – szepnęła do Henry'ego – troje, przesłuchują *wszystkich*. Zapieczętowali biuro Betty. Moreany bardzo źle się czuje. Jak mogło do tego dojść?

– Czy pani jest już po, Honor?

– Jestem następna w kolejności. Gdy skończą z Moreanym. Henry, czy powieść rzeczywiście przepadła?

Skinał poważnie głową.

– Mogę ją zrekonstruować na podstawie moich notatek, ale to zabierze mnóstwo czasu. Jeśli Betty nie żyje, przepadł również manuskrypt.

– Sądzi pan, że ona jeszcze żyje?

Henry dostrzegł, jak drżą jej wargi. Wzruszony wziął Eisendraht w ramiona i delikatnie pogładził po plecach.

– Dopóki nie odnajdą jej ciała, nie uwierzę, że nie żyje. – Uwolnili się z uścisku. Honor otarła łzy.

– Henry, pan nie wierzy, że to *ja* zrobiłam?

– Że co pani *zrobiła*?

– To nie ja wysłałam zdjęcia USG.

– Pani? Na litość boską, nie, nawet przez myśl mi to nie przeszło! Wie pani, co sobie myślę? Myślę, że zrobił to ojciec jej dziecka.

Kiedy Henry wszedł do gabinetu, przesłuchanie Moreany'ego właśnie się zakończyło. Troje funkcjonariuszy policji kryminalnej stało niczym ostatnie figury w partii szachów. Poszarzały na twarzy, nieogolony Moreany siedział w Eames chair. Był zbyt słaby, by się podnieść, pomachał mu

tylko ręką.

– Henry, to państwo z policji kryminalnej. Proszę wybaczyć, zapomniałem państwa nazwisk.

Henry rozpoznał oposa, stała obok Jenssena. Tymczasem wydepilowała sobie brwi, niweczając tym nieprzerwaną linię nad nasadą nosa. Szczupłego bruneta o delikatnych rysach twarzy nie znał.

– Awner Blum – przedstawił się chłodno. – Prowadzę dochodzenie.

Henry nie potrafił ocenić, czy to dobra, czy może zła wiadomość. Podał wszystkim rękę, znów poczuł mocny uścisk dłoni Jenssena.

– Czy pojawiły się już jakieś... jak by to powiedzieć... wnioski? – zapytał Henry, spoglądając na wszystkich po kolei.

– Wciąż prowadzimy analizę – odparł wyraźnie rzeczowo Jenssen. – Sprawca bądź sprawcy podpalili samochód, by zatrzeć ślady. Interesuje nas przede wszystkim kwestia, czy było to przypadkowe, czy może celowe, zaplanowane działanie.

– Kto miałby to zaplanować? – Henry spojrzał pytająco w twarze obecnych. – Betty zmyliła drogę. Sama nie wiedziała, gdzie się znajduje, nikt tego nie wiedział.

– W tym właśnie rzecz, panie Hayden – wtrącił się do rozmowy Blum. Jenssen milczał.

– Sądzi pan, że ktoś jechał razem z nią samochodem?

– Na przykład. To możliwe, prawda?

– Kto to mógłby być?

Drzwi otwały się cicho, do pokoju weszła Honor Eisendraht. Henry zauważył, że opos ponownie zaczął węszyć.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Hayden, chętnie kontynuowalibyśmy przesłuchanie. – Jenssen zerknął na Moreany'ego. – Ma pan dla nas jakieś wolne pomieszczenie?

Nim Moreany zdołał odpowiedzieć, Henry uniósł dłoń.

– Chciałbym coś powiedzieć, coś, co dotyczy nas wszystkich. Niedawno straciłem żonę. – Henry przerwał na chwilę, by zebrać się w sobie. – Jak państwo może już wiedzą, razem z Betty przepadł manuskrypt mojej powieści, nad którą długo pracowałem.

Henry spojrzał na Moreany'ego, ten skinął głową.

– Już o tym poinformowałem policję.

– Parę dni temu – ciągnął Henry – spotkałem się z Betty w hotelu Cztery Pory Roku. Była... podminowana i wystraszona, nie była sobą. Bała się.

Funkcjonariusz wyciągnął dyktafon.

– Ma pan coś przeciwko, jeśli będę nagrywać?

– Absolutnie nie. Usiedliśmy więc w Oyster Bar i rozmawialiśmy o powieści. Mówiłem o moich trudnościach z pisaniem po śmierci Marthy. Ledwie mnie słuchała, zapytałem, co się z nią dzieje, i wtedy coś w niej pękło, wyrzuciła to z siebie. Powiedziała, że jest w ciąży.

Honor oparła się o ścianę. Zakręciło jej się w głowie.

– Czy podała jakieś nazwisko? – zapytał Jenssen, który czuł się wyraźnie nieswojo, prowadząc tę rozmowę w obecności świadków.

– Nie. Mówiła tylko o katastrofalnym błędzie, jaki popełniła, na przerwanie ciąży było już za późno.

– Czy myśli pan, że została zgwałcona? – zapytał opos.

– Nie wykluczałbym tego. W każdym razie mówiła o mężczyźnie, którego się obawiała. Jest niebezpieczny i nieobliczalny, zerwała z nim i bała się jego zemsty. Chyba bez przerwy do niej wydzwaniał i wygrażał, że prześle do wydawnictwa zdjęcia USG jej dziecka. Sądziła, że to on ukraść jej samochód.

– Razem z kluczami? – zapytał z niedowierzaniem Jenssen.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Kręcąc głową, Jenssen zaczął robić notatki.

– Radziłem Betty, by zgłosiła się na policję, zaproponowałem, żeby na kilka dni wprowadziła się do mnie, odmówiła. Potem poczuła mdłości, musiała pójść do toalety. Nie wróciła stamtąd, pojechałem więc do domu, by pracować nad powieścią. To wtedy widziałem ją po raz ostatni. Dziś mam wyrzuty sumienia, że od razu nie poszedłem na policję. Była w tarapatkach, groziło jej niebezpieczeństwo, nie powinienem był zostawiać jej samej.

– Mogę to potwierdzić – odezwała się Honor cichym głosem. Skuliła się, oparła o ścianę. – Tamtego dnia, to był wtorek, jedenaście dni temu, byłam przypadkiem w hotelowym lobby. Widziałam, jak Betty wchodzi do toalety. Wymiotowała i płakała. Szlochała. Pan Hayden wyszedł z Oyster Bar i opuścił hotel. Nie zauważył mnie.

Moreany z trudem się podniósł i ustąpił miejsca Honor. Usiadł za biurkiem i wykrzywił twarz w grymasie bólu.

– Przerwaliśmy ci, Henry.

– Chcę powiedzieć jeszcze tylko jedno – dodał Henry. – Jeśli Betty nie żyje, i to nie w wyniku, jak twierdzi pan Jenssen, przypadku, lecz morderstwa, trzeba znaleźć ojca jej dziecka.

W biurze Moreany'ego zapadła cisza jak w sali koncertowej, dało się słyszeć jedynie pojedyncze kasłanie.

Prowadzący dochodzenie Awner Blum kierował Referatem Dziewiątym do spraw Zabójstw, z premedytacją podzielonym na trzy wydziały. Cieszył się reputacją geniusza analizy kryminalnej, którą w filmach i telewizji określa się zazwyczaj mianem „profilingu”. Istotnie, jego współpracownicy już kilkakrotnie sporządzili tak dokładne profile sprawców, że skazani mordercy, którym udowodniono popełnienie przestępstwa, gratulowali mu zza kratki. Blum nie miał zielonego pojęcia o psychologii, dysponował za to nadludzkim wyczuciem w kwestii zarządzania zespołem ludzi. To dlatego był wręcz stworzony do kierowania wydziałem zabójstw. W stylu headhuntera rekrutował do swych szeregów najlepszych fachowców i osiągnął stuprocentową skuteczność w wykrywaniu przestępstw. Sukces ten udało mu się powtórzyć przez trzy kolejne lata. Blum był kobieciarzem i chętnie monologował, jego naszpikowane angielskimi cytatami wykłady na temat profilów sprawców dokuczliwie się niekiedy, zdaniem Jenssena, dłużyły; już samo ich słuchanie winno się traktować jak pracę w nadgodzinach. Największe sukcesy w ściganiu przestępców osiągnano dzięki porównywaniu profilów ofiary i sprawcy. Metoda dobrze się sprawdzała. Sporządzano możliwie kompletne biografie ofiar, a następnie szukano „punktów stycznych” z profilami potencjalnych sprawców.

Jak ustalili eksperci od analizy, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Betty Hansen rzeczywiście regularnie rozmawiała przez telefon z nieznanym. Jego tożsamość pozostawała jednak zagadką. Prepaidowa karta SIM jego telefonu została zarejestrowana pod zmyślnym nazwiskiem i fałszywym adresem. Zniknął też telefon Betty oraz jej notebook z zapisanymi wiadomościami e-mail. Nazwisko nieznanego nie pojawiało się ani w oprawnym w skórę terminarzu, ani też w prywatnej czy służbowej korespondencji.

W gabinecie ginekologicznym Jenssen rozmawiał z lekarką, która przeprowadziła badanie USG. Jej także Betty Hansen nie podała nazwiska ojca. Jego DNA nie sposób było określić bez pobrania fragmentu tkanki z pęcherza płodowego matki. Przepytano członków rodziny, przyjaciół, wszystkich kolegów z wydawnictwa oraz sąsiadów, nikt jednak nie potrafił podać istotnych informacji. W jej mieszkaniu znaleziono wyłącznie odciski palców samej Betty, Jenssena oraz jednej z sąsiadek. Jedynym użytecznym tropem był niejasny profil dynamiki dzwoniącego. Podążono nim zatem z najwyższą uwagą.

Jak wiadomo, firmy telekomunikacyjne przechowują dane na temat *kto gdzie z kim jak długo* rozmawiał jedynie przez sześć miesięcy. O wiele za krótko jak na potrzeby gruntownego policyjnego śledztwa, uważał Awner Blum. Przechowywanie wszelkich danych dla celów dochodzeniowych byłoby znacznie bardziej efektywne, gdyby nie było ograniczone czasowo, *każdy* posiadacz telefonu jest bowiem potencjalnym przestępcą i winien być w związku z tym odpowiednio zapobiegawczo traktowany. Wszystko po wsze czasy wie tylko National Security Agency, jednakże Amerykanie znani są z tego, że bardzo niechętnie dzielą się swoją cenną wiedzą.

Wyniki analizy billingów Jenssen uznał za nieszczególnie przydatne. Profil dynamiki tajemniczego rozmówcy w postaci przezroczystej folii nakleił na wiszącą na ścianie swego biura mapę, po czym zamówił ekstraduzą pizzę z tuńczykiem, z dodatkową porcją kaparów. Miejsce, godzina i czas trwania rozmów telefonicznych zostały oznaczone punktami. Rozproszyły się one w chmurę. Połączone kreskami, utworzyły abstrakcyjny wzór, ambitny pod względem estetycznym, lecz dla celów dochodzenia stanowiący prawdziwą katastrofę. Każdą rozmowę nawiązywano z innego miejsca. Niektóre prowadzono w obrębie miasta, zresztą niedaleko od mieszkania Betty Hansen. Większość

jednakże odbywała się w rzadko zaludnionych terenach, na przykład w położonych na uboczu lasach i rezerwatach przyrody rozrzuconych w promieniu trzystu kilometrów. Z tego też względu pozycja telefonu była określona bardzo niedokładnie. Nadto rozmówca włączał aparat tuż przed rozmową, po jej zakończeniu natychmiast go wyłączał. To dlatego nie sposób było wyznaczyć, któredy przemieszczał się po ulicach, na mapie nie było żadnych linii, a jedynie same punkty.

Specjalna jednostka prowadziła już intensywne poszukiwania owego miłośnika przyrody, leśnika lub myśliwego. Setki ludzi przeczesywały miejsca, w których dzwoniący wyłączał telefon. Wykorzystano nawet kamery termowizyjne i satelity, by odnaleźć jego tajemną kryjówkę, oddziały z psami szukały ziemnych jam. Natknięto się wyłącznie na kryjówki kłusowników oraz opuszczony obóz harcerski. Policja zatrzymała wielu niewinnych wędrowców, by sprawdzić ich telefony, poza tym akcja nie przyniosła żadnych rezultatów.

Jako że poszukiwania nieznanego prowadziły donikąd, zajęto się analizą *cold cases*, niewyjaśnionych przypadków morderstw o podobnym schemacie. Doszły nowe hipotezy oraz dodatkowi specjaliści, zespół śledczych się powiększał, a poszukiwania zataczały coraz szersze kręgi. Jenssen, który wiszącą w biurze mapę obrzucał tymczasem rzutkami, nie wierzył w teorię o człowieku z lasu. W owym partyzanckim pojawianiu się i znikaniu nieznanego rozmówcy dostrzegał znacznie bardziej relaksacyjną strategię. Zdaniem Jenssena tym tajemniczym mężczyzną mógł być wyłącznie Henry Hayden.

Na codziennej odprawie w sali konferencyjnej Awner Blum zaprezentował fotokopię nowego „profilu sprawcy”.

– Szukamy mężczyzny – zaczął – który od dłuższego czasu prowadzi podwójne życie. Jest wysportowany, w wieku od mniej więcej trzydziestu do czterdziestu pięciu lat, być może żonaty. Może mieć dzieci, prowadzi dyskretnie mieszczańskie życie. Mieszka w promieniu trzystu kilometrów stąd. Być może jest myśliwym, leśnikiem, w grę wchodzi nawet zawód policjanta albo zawodowego żołnierza, gdyż doskonale się maskuje i dobrze zna techniki lokalizacji. Szuka czegoś, czego brakuje mu w normalnym życiu. Być może okrada w wolnym czasie banki albo zabija ludzi, ewentualnie przed czymś ucieka.

– Niby przed czym? – zapytał ze swego miejsca na tyłach sali Jenssen.

– Przed własną przeszłością – odparł Blum. – Jakimś traumatycznym przeżyciem, które go prześladowa, albo przestępstwem. Nic nie pozostawia przypadkowi. W którymś momencie poznał swoją ofiarę. Musiał jej opowiedzieć jakąś nieprawdopodobną historię o sobie, na tyle wiarygodną, że kobieta z nikim o nim nie rozmawiała, nawet z najbliższymi przyjaciółmi i krewnymi. Musimy założyć, że nie znała jego prawdziwej tożsamości. Aż pewnego dnia albo nocy zachodzi z nim w ciążę. On tego nie chciał, sprawa staje się dlań zbyt niebezpieczna. W drodze na spotkanie ze świadkiem Haydenem siedzi obok niej w samochodzie. Zabija ją i pozbywa się ciała.

– Jak? – dopytywał się z tyłu sali Jenssen.

– Łódką albo statkiem. Morderstwa dokonano tuż nad brzegiem morza.

Jenssen podniósł się z miejsca.

– Za pozwoleniem, żadna kobieta nie jest aż tak głupia. Ofiara była redaktorką. A redaktorzy z racji swego zawodu czytają książki, analizują je i poszukują w nich błędów logicznych czy też niewłaściwych powiązań. To fachowcy od zmyślonych historii. Nic im nie umyka. Sądzę, że każdemu można coś wmówić, lecz nie da się tego robić bez końca. Skoro nasz mężczyzna zamierzał się ukrywać, a bez wątplenia tak właśnie było, dlaczego w takim razie w ogóle do niej telefonował?

Przemyślenia Jenssena wywołały na sali szmer niezadowolenia, niewzruszenie ciągnął jednak dalej:

– Myślę, że ten facet po prostu lubi spacerować. I dlaczego akurat on miałby przesać do wydawnictwa zdjęcia USG dziecka, skoro nikt nie miał się o tym dowiedzieć?

Awner Blum spojrział na zebranych.

– Czy to możliwe, by ofiara morderstwa sama wysłała te zdjęcia, by się go pozbyć?

– Na pewno nie, jeśli się go obawiała.

– Okay, Jenssen. – Blum był wyraźnie poirytowany, gdyż jako certyfikowany geniusz profilowania kryminalnego nie potrzebował bezproduktywnych sceptyków. – Proszę nam zdradzić, kto pańskim zdaniem jest owym nieznanym?

Jenssen mruknął coś pod nosem.

– Proszę? Niech pan mówi trochę głośniejsze, nie sposób pana zrozumieć.

– Powiedziałem, że być może go znamy.

– Być może?

Awner Blum zerknął na wiszący na ścianie zegar. Ten Jenssen grał mu na nerwach tym swoim „być może”. Był jeszcze młody i posiadał stosunkowo niewielkie doświadczenie jak na funkcjonariusza wydziału śledczego, do tego był powolny i nie potrafił grać zespołowo. Od pewnego czasu Blum rozważał jego przeniesienie. Uprzejme „zwerbowanie” go przez inny referat to doskonała metoda.

– Wszyscy znamy pańską teorię, Jenssen, i zastanawiamy się, czemu jej pan tak uparcie broni. Świadek Hayden siedział wówczas na pełnym gości tarasie restauracji. Nie ma, poza sławą, żadnego motywu, starał się, na ile tylko mógł, pomóc w wyjaśnieniu sprawy, zresztą rozmawiał z ofiarą tuż przed jej śmiercią ze swojego telefonu. *Jaki* w takim razie mógłby mieć pańskim zdaniem motyw?

– Seks – odparł Jenssen, odchrząknąwszy hałaśliwie. – Ofiara morderstwa Betty Hansen była jego kochanką. On jest ojcem jej dziecka. On albo ona, albo oboje razem zamordowali jego żonę Marthę. Coś jednak poszło przy tym nie tak.

\*\*\*

W klimatyzowanej ciszy swojego pokoju Gisbert Fasch zrozumiał, że był człowiekiem obciążonym problemami. Nie pojawiły się one dopiero w dniu wypadku, lecz znacznie wcześniej. Potwierdziła to jego matka Amalie, sporadycznie przychodząca do niego w odwiedziny. Zawsze był jedynakiem, wyjaśniła synowi, chociaż miał dwie starsze siostry. Dlatego połowę swego dzieciństwa spędził w ośrodku wychowawczym. Po tej oczyszczającej rozmowie Fasch zerwał z matką wszelki kontakt.

Ów dokuczliwy świst, jak mu wyjaśnił neurolog nazwiskiem Rosenheimer, nie przenika przez ściany, to *tinnitus*, zaburzenie słuchu spowodowane urazem mózgu. Notabene, uszkodził on także korę wzrokową, która dziwnym trafem mieści się w tylnej części mózgu, to przyczyna jego podwójnego widzenia. Obie dolegliwości nigdy nie ustępują, podobnie jak dożywnienie nóg, zmniejszona o połowę pojemność płuc oraz osiemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo wystąpienia napadów epilepsji w kolejnych szesnastu miesiącach. Ten Rosenheimer nie miał w sobie ani krzty współczucia. Gisbert z ochotą porozmawiałby z psychiatrą, ci jednak, jak wiadomo, nie odwiedzają chorych. Trzy tygodnie po wypadku nadal nie był w stanie samodzielnie opuścić łóżka. Nogi nie wisiały już na wyciągu, lecz zostały ułożone w kołnierzach z tworzywa sztucznego, z drenażu w jego klatce piersiowej sączyła się niewielka ilość klarownego płynu limfatycznego.

Gisbert Fasch nigdy nie czuł się szczęśliwszy. Świadomość, że może się cieszyć podarowanym mu życiem oraz wszelkimi możliwościami, jakie stwarza nowy początek, napełniała go radością i wdzięcznością, łatwiej też pozwalała znosić ból i szum w uszach. Często rozmyślał o człowieku, któremu to wszystko zawdzięczał. Na stoliku obok łóżka leżały trzy sezony *Rodziny Soprano*, przyniesione mu przez Henry'ego, oraz pismo z prokuratury, z którego wynikało, że prowadzono wobec niego postępowanie w sprawie nieumyślnego podpalenia. Spłonął cały jego dobytek. Jako

przyczynę pożaru podano elektryczną lokówkę, która się zapaliła, tkwiąc w silikonowej lalce marki „Miss Wong”. Wyglądało na to, że Fasch po wyjściu ze szpitala zostanie bez dachu nad głową i od razu trafi do więzienia. Przynajmniej ze sto razy przeczytał podkreślony akapit „Przyczyna pożaru” – mógłby przysiąc, że przed wyjściem z domu wyłączył umieszczoną w jej podbrzuszu lokówkę.

Rozległo się pukanie do drzwi, do środka zajrzała dyżurująca siostra. Jej szczupła twarz, czarna fryzura na pazia oraz podkreślone grubą kreską eye-linera pełne wyrazu oczy przypominały Faschowi dawną Miss Wong i noc za nocą pobudzały jego lokówkowe fantazje.

– Ma pan gościa.

Jenssen wszedł do pokoju z nietypowo dużą aktówką. W piersi Gisberta na chwilę zamarło serce, potem jednak poznał, że teczka była czarna, a nie, jak jego, brązowa. Policjant w sztruksowej marynarce uprzejmie się przedstawił, pokazał Faschowi odznakę, teczkę położył na stojącym przy ścianie stole. „Ten biedak nie ma ubezpieczenia zdrowotnego, a stać go na osobny pokój” – pomyślał Jenssen, odsuwając silną ręką białą zasłonę, by spojrzeć na wspaniałą park. Następnie rozejrzał się z uznaniem po dużym pokoju.

– Ładnie tu u pana.

Ten uprzejmy frazes mógł poprzedzać nad wyraz złą wiadomość albo też stanowić wprowadzenie do całkiem nowego tematu. W każdym razie zabrzmiał niezwykle osobiście w ustach nieznanego policjanta.

– Czy mogę raz jeszcze zobaczyć pańską legitymację? – zapytał Fasch.

Jenssen ponownie mu ją pokazał.

– Panie Fasch, nie musi pan nic mówić, jeśli pan tego nie chce. To nie jest przesłuchanie ani wysłuchanie, nie przyszedłem tu także z powodu pożaru w pańskim mieszkaniu. Chcę pana wypytać o pański wypadek samochodowy.

Fasch zerknął na czarną teczkę leżącą na stole za szerokimi ramionami stojącego przed nim mężczyzny.

– Czy nie ma tam przypadkiem moich notatek?

Jenssen uśmiechnął się chytrze.

– Koledzy badający wypadek znaleźli te dokumenty we wraku pańskiego samochodu. – Otworzył teczkę i podał Faschowi kopertę półcentymetrowej grubości. Fasch ją rozerwał. Ku swemu rozczarowaniu znalazł w środku jedynie katalog ksiązek wydawnictwa Moreany, kopię spisu nazwisk z sierocińca Sankt Renata z roku 1979 oraz kilka wyciętych fotografii Henry’ego. Jedna z nich pochodziła z „Country Living”, przedstawiała państwa Haydenów siedzących na sofie. Fasch zakreślił flamastrem konterfekt Henry’ego, co po pewnym czasie wyglądało zabawnie.

– Skąd pan zna pana Haydena?

Nierozsądnie byłoby zaprzeczać.

– Wyciągnął mnie z samochodu i przywiózł do szpitala. Ale to pan zapewne wie.

Jenssen przytaknął.

– Jak może pan to pamiętać? Stracił pan przecież przytomność.

– To prosty wniosek. Mężczyzna, który przywiózł mnie do szpitala, jest zarazem tym, który wyciągnął mnie z samochodu.

– Całkiem słusznie. A skąd się wziął na miejscu wypadku?

– Mogę pana zapewnić – odparł Fasch, przygotowany na to pytanie – że pan Hayden nie ponosi żadnej winy za ten wypadek.

– Wierzę panu. A zatem znalazł się tam zupełnie przypadkowo?

– Tak. Mówił pan, że to nie będzie przesłuchanie.

Atletycznie zbudowany policjant melancholijnym wzrokiem wyjrzał przez okno. On nigdy by nie dostał tak ładnego pokoju, gdyby kiedyś zachorował.

– Będę zupełnie szczery. Zaledwie godzinę po przywiezieniu pana na izbę przyjęć spotkałem pana Haydena w zakładzie medycyny sądowej, gdzie miał zidentyfikować ciało swojej żony.

– Utonęła, czytałem o tym.

– Zwłoki te nie należały jednak do niej.

– Czemu mi pan o tym opowiada?

– Kilka dni temu kolejna osoba padła ofiarą brutalnego morderstwa. Młoda kobieta, która dla wydawnictwa Moreany redagowała między innymi także powieści Henry’ego Haydena. Ładnie pisze ten Hayden, lubię jego styl. Dobrze pan go zna?

Fasch zdecydował się na pośrednią precyzję odpowiedzi.

– Któż dobrze zna człowieka?

– Pan jednak gromadził materiały na jego temat?

– Nie tylko, to znaczy już nie. Wszystko spłonęło, ale o tym też już pan wie.

– Zastanawiałem się – Jenssen przysunął sobie krzesło – co też pana zaciekawiło w przeszłości pana Haydena?

– Przebywaliśmy razem w Sankt Renata.

– To był sierociniec.

– Tak, dość dawne dzieje.

– Pisze pan coś na kształt jego biografii, prawda?

Gisberta Fascha dzieliła już tylko jedna odpowiedź, po której on i policjant zostaną przyjaciółmi. Być może zdołałby wówczas uniknąć przykrego procesu o podpalenie i razem z policją schwytać Henry’ego.

– W tej chwili pracuję nad własną biografią, usiłując powrócić do zdrowia.

Zapadło chwilowe milczenie. Jenssen ani przez sekundę nie wierzył w przypadkowe spotkanie obydwu mężczyzn. Rozumiał wszakże, że nie tędy droga. Ten drań nic mu nie powie, bądź co bądź zawdzięczał Haydenowi życie. Wynikało to jednoznacznie z protokołu przyjęcia go do szpitala. Dziwiło natomiast to, że w zakładzie medycyny sądowej Hayden ani słowem nie wspomniał o swym bezinteresownym uczynku.

– W takim razie pozostało mi tylko z całego serca życzyć panu szybkiego powrotu do zdrowia.

– Dziękuję.

Jenssen zabrał ze stołu teczkę. Wciąż była ciężka. Podał Faschowi dłoń na pożegnanie.

– Czy to wszystko?

– Tak.

– Nie odnalazła się przypadkiem moja brązowa teczka? – zapytał Fasch, ściskając dłoń Jenssena.

– Niestety nie. Mówi pan: brązowa?

– Brązowa, na pasku. Mniej więcej tej samej wielkości co pańska.

– Pewnie skutek zderzenia wpadła do morza.

– Tak się pewnie stało – odparł Fasch. – Nie była zapięta pasami.



Henry ujrzał tę postać przez kuchenne okno, gdy kroił bażanta. Przemknęła w półcieniu pomiędzy krzewami jeżyn w kierunku stodoły. Jedno skrzydło drzwi było uchylone, drugie otwarte na oścież. Obok niego na chłodnej podłodze kuchni wyłożył się spokojnie Poncho. Widocznie niczego nie zauważył. Henry odłożył na bok nóż i cofnął się, przestępując przez leżącego psa. Już trzeci raz w ciągu tygodnia dostrzegł intruza. Parę dni wcześniej wędrował po polach należących do jego trzydziestohektarowej posiadłości. Henry uznał go za spacerowicza, który nie zwrócił uwagi na to, że znalazł się na prywatnym terenie, jako że przejścia nie wzbraniało żadne ogrodzenie czy tablica. Kiedy Henry zauważył, że chodzi tam i z powrotem równoległe do domu, przyniósł z atelier lornetkę. Wtedy jednak wędrowiec zniknął. Dwa dni później pojawił się między topolami na podjeździe, ledwie sto metrów od domu. Oparty o drzewo, patrzył w stronę Henry'ego, jakby chciał nawiązać z nim kontakt. Nie był to Obradin, nie przypominał też z wyglądu policjanta Jenssena, barczystego blondyna. Nie mógł to być również ten biedak Fasch, który nadal przebywał w szpitalu. Henry pomachał do niego, on jednak wciąż stał bez ruchu przy topoli. Nie odpowiedział mu. Kiedy Henry ponownie sięgnął po lornetkę, postać zniknęła.

A teraz stała w ogrodzie.

Henry otworzył drzwi schowka na przedmioty domowego użytku, wziął niewielki topór i wyszedł przez drzwi prowadzące na taras po zachodniej stronie domu, którą o tej porze skrywał jeszcze cień. Chciał zakraść się od tyłu do stodoły. Poncho, dysząc, ruszył w ślad za nim. Pochylony skradał się wzdłuż ściany, kryjąc się za ułożonymi w stos dębowymi polanami długości łokcia.

Roje komarów tańczyły nad na poły pustymi beczkami na deszczówkę, które butwiały na tyłach stodoły. Henry wspiał się na zardzewiałą młocarnię, pokrytą ptasimi odchodami i dziwaczną peruką z gnijącej słomy. Sprężystym ruchem dostał się przez otwór do wnętrza. Poncho, merdając ogonem, pozostał na miejscu, by po chwili, gnany myśliwskim instynktem, obiec budynek dookoła.

Wewnątrz kołysała się zawieszona na kablu stara lampa, jaskółki opuściły swe gniazda i krążyły zaniepokojone pod drewnianym belkowaniem. Poncho wbiegł przez otwarte drzwi, przystanął, ziejąc, uniósłszy pysk, zaczął węszyć. Henry z toporem w dłoni zamarł w bezruchu. Nieszczerólnie zainteresowany Poncho biegał tam i z powrotem, w końcu uniósł nogę i oznakował jeden ze słupów. Henry opuścił topór.

– Halo?

Nikt nie odpowiedział, dał się słyszeć jedynie spłoszony trzepot jaskółek. Henry wyciągnął rękę i przytrzymał kołyszącą się lampę. Pewnie ją rozhuściło uderzenie ptasich skrzydeł. Po prawej stronie stał biały saab Marthy. Na zakurzonej masce widniały odciski kocich łap. Henry zauważył, że drzwi od strony kierowcy nie były domknięte. Przez boczną szybę samochodu wyraźnie było widać połowę twarzy Marthy oraz palce jej prawej dłoni. Jasne palce się poruszały. Henry upuścił topór i cofnął się dwa kroki. Połowa twarzy otworzyła usta, po czym ponownie je zamknęła, nie wydając żadnego dźwięku. Henry poczuł, jak tysiące małych mięśni napinają na skórze każdy jego włos.

Stał tak przez chwilę w niepewności. Tego typu sytuacje, jak wiadomo, odbierane są jako niezwykle krótkie, a zarazem nieskończenie długie. Henry uniósł nieśmiało dłoń na powitanie. Twarz za boczną szybą pozostała bez wyrazu, palce nieustannie przebiegały po szybie. Henry miał wrażenie, jakby brakującą połowę twarzy zakrywała niematerialna kruczoczarna chusta. Kiedy minęło przerażenie pierwszego spojrzenia, zamknął oczy i ponownie je otworzył. Twarz na chwilę zniknęła, po czym znów

się zmaterializowała wraz z bezrękimi, dotykającymi szyby palcami.

To nie była Martha. Zjawa nie była kompletna, nawet jej nie przypominała, była złudzeniem, a mimo to wydawała się równie rzeczywista jak samochód, w którym siedziała. Henry przemógł się i powoli podszedł ku wciąż widniejącej wewnątrz saaba twarzy. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Uderzyła go woń zawilgłego tworzywa sztucznego, wewnątrz samochodu było puste. Poncho wetknął swój włochaty łeb obok nogi Henry'ego i zaczął węszyć.

– Nic tu nie ma – rzekł cicho Henry, po czym zatrzasnął drzwi. Znów spojrzął przez szybę, twarz już się nie pojawiła. Podniósł topór z pokrytej sianem podłogi i zamknął za sobą drzwi do stodoły. Dla pewności obszedł miękką ziemię przy krzewach jeżyny w poszukiwaniu śladów stóp, lecz znalazł jedynie odciski wielkich łap Poncho.

Owinąwszy włosy ręcznikiem skręconym w turban, Sonja wyłoniła się naga z łazienki dla gości. Podeszła od tyłu do Henry'ego, który znów stał przy kuchennym blacie i oddzielał mięso bażanta od kości. Na jej nadgarstku połyskiwał smukły patek philippe, zakupiony niegdyś przez Henry'ego jako pożegnalny prezent dla Betty, zanim zamordował swoją żonę.

– Nie przeraż się – szepnęła, po czym zarzuciła ręce wokół jego bioder i przycisnęła piersi do jego pleców. Spędzili cudowne przedpołudnie. Razem z Obradinem wybrali się „Driną” na krótką wycieczkę wzdłuż wybrzeża. Obradin prawie w ogóle się nie odzywał.

– Czy już wiadomo, czym jest miłość – zapytała Sonja mrużącym tonem – czy przeanalizowano już ten temat?

Nie odpowiedział, nadal niezgrabnie wywijał nożem.

– Zastanawiam się, czy można zmierzyć jej intensywność, długość jej trwania oraz to, co po niej nastąpi? – Uwolniła się z uścisku, gdy poczuła wilgotny żar jego skóry. Koszula na jego plecach była całkiem mokra. – Mój Boże, cały jesteś zlany potem. – Jego twarz pokryły krople, przybrała odcień niezdrowej szarości. – Co się stało? – Przetarła mu dłonią czoło, jej ręka pachniała olejkiem różanym. Odłożył nóż, odwrócił się do niej.

– Moja żona siedzi w samochodzie.

Sonja mimowolnie sięgnęła po jedwabny ręcznik w kolorze szafranowym, przewieszony przez oparcie krzesła, stanęła na palcach i bojaźliwie wyjrzała ponad jego ramionami przez kuchenne okno.

– Gdzie?

– W stodole. Siedzi w stodole w swoim samochodzie. – Henry przytrzymał ją za ramię. – Nie zobaczysz jej. – Pod skórą jej ramienia wyczuł dobrze wytrenowany triceps. „Jest na to wszystko zbyt młoda”, pomyślał. – To tylko połowa twarzy oraz palce bez dłoni. Nie przypomina z wyglądu Marthy, ale ja wiem, że to ona. Nawiązuje ze mną kontakt.

– To jakaś halucynacja, Henry.

– Nazwij to, jak chcesz. Ja ją widzę, a ona widzi mnie.

Sonja była o głowę niższa od Henry'ego. Patrzyła na niego zatroskana, z koniuszka wystającego spod turbanu włosy spłynęła jej po policzku kropla wody, perląc się niczym łza.

– Oplakujesz ją – szepnęła.

Jakżeby mogło być inaczej? Być może żałoba nie była właściwym słowem, niemniej brakowało mu Marthy. Brakowało mu jej miłości, brakowało mu jej obecności i nic nie było w stanie jej zastąpić. Lecz czy o żałobie może mówić ktoś, kto pragnie przebaczenia i tęskni wyłącznie za spokojem i uwolnieniem się od poczucia winy? Czy morderca w ogóle ma prawo do żałoby po ofierze swego czynu? Betty razem z dzieckiem także znalazła się w miejscu, z którego nikt nie wraca, a Henry nie odczuwał smutku. Czy nie powinien, jeśli byłby zdolny do prawdziwej żałoby, oplakiwać także tych dwojga?

– Chodź. – Wziął Sonję za rękę. – Coś ci pokażę.

Odsunął ciężką komodę zagradzającą wejście na poddasze. Faktem, że pozostawiła głębokie rysy na parkiecie, zdawał się w ogóle nie przejmować. Sonja jak dotąd nie była jeszcze na górze. Wiedziała, że mieszkała tam Martha, i nie miała najmniejszej ochoty oglądać jej pokoi, tym bardziej że na parterze mieściły się dwie łazienki z hammamem, a także rozmaite pokoje gościnne, wyłożony boazerią pokój z kominkiem oraz atelier z oknami panoramicznymi.

– Czy to konieczne, Henry?

Nie odpowiedział.

– Czekaj. Zarzucę coś na siebie.

Henry zaczekał na schodach, aż wróciła z łazienki w szlafroku. Wyciągnął rękę, chwyciła ją i podążyła za nim po schodach w mrok pierwszego piętra.

Sonja z przerażenia zakryła usta dłońmi, ujrawszy zdemolowane poddasze. Sufit był całkowicie zniszczony, paski niebieskiej folii powiewały niczym morszczyń. Wszystkie ścianki działowe zostały przewrócone, wyrwana instalacja elektryczna i wodna, wszędzie wystawała wełna szklana. Przez pogruchotane dachówki i szczeliny na łaty dachowe kapał deszcz, pozostawiając na ścianach i deskach podłogi okropne białe plamy. Wokół leżały duże przepiłowane fragmenty belek.

– Ucierpiała co nieco statyczność. Słyszysz? – Henry zaczął podskakiwać, deski podłogowe zatrzeszczały. – Dawniej nie trzeszczały.

– Czy to ty? Czy ty to wszystko...

Henry wskazał na resztki drewnianej ściany.

– To był pokój Marthy. Najpierw tu się gnieździła. Potem pełzała powoli po całym poddaszu, aż... Chodź, pokażę ci, gdzie się teraz chowa.

Sonja cofnęła rękę.

– Kto się tam chowa?

– Kuna. Wciąż tam jest, ale dostanę ją w swoje ręce. Obedrę ją z skóry, rzucę na grilla, zjem... a potem do piachu.

Sonja zrobiła dwa kroki wstecz w kierunku podestu schodów.

– Kuna? Demolujesz cały dom z powodu jakiejś kuny?

– Szszsz! – Henry uniósł dłoń, zaczął nasłuchiwać.

– Nic nie słyszę – szepnęła. Zauważyła jego dziwnie odmieniony wzrok, wyciągniętą rękę. Wiatr szeleścił plastikową plandeką.

– To wiatr, Henry.

Skinął głową.

– Przestała. Ona wie, że tu jesteśmy.

– Zejdźmy z powrotem na dół, dobrze?

Henry przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

– Wiem, co sobie myślisz. Mnie też się czasem wydaje, że ona nie istnieje, w przeciwnym razie już dawno bym ją złapał. – Podwinął rękaw koszuli i pokazał ranę przy nadgarstku. – Prawie ją miałem. Ugryzła mnie.

Czubkiem buta odsunął na bok przepiłowaną listwę. Wznosił się tam mały czerwono-brunatny kopczyk z drobnymi kosmykami włosów. Henry przykucnął.

– To jej odchody. Czujesz to, Sonju? Powiedz mi, że to tylko urojenie.

Sonja zauważyła, jak porusza dolną szczęką.

– Potrzebujesz pomocy – szepnęła. – Sam sobie z tym nie poradzisz. Nikt tego nie potrafi. Chodź, wracajmy na dół.

– Boisz się mnie?

Odwróciła się i zeszła po schodach. On został na górze i patrzył za nią. Sonja zrzuciła szlafrok i zaczęła się szybko ubierać. Kiedy wyszła z łazienki, Henry ponownie zasłonił komodę wejście po schodach. Chciała mu pomóc, chciała go ratować, on jednak bez słowa wrócił do kuchni, by dokończyć oprawianie bażanta.

\*\*\*

Brzęczenie telefonu wyrwało Henry'ego z popołudniowej drzemki. To Fasch, dzwonił ze szpitala.

– Był tu niejaki pan Jenssen z policji kryminalnej. Wypytywał mnie o pana... Halo? Jest pan tam? – zapytał, zaniepokojony brakiem potwierdzającego „hmm” ze strony Henry'ego.

– Tak, jestem.

– Ten funkcjonariusz pracuje w wydziale zabójstw – ciągnął Fasch. – Chciał wiedzieć, czy na miejscu wypadku znalazł się pan zupełnie przypadkowo i skąd się znamy. Obawiam się, że jest pan w tarapatkach.

– Wie pan, że pana śledziłem – podjął rozmowę Fasch, gdy Henry usiadł przy jego łóżku. Zasłony w pokoju były zaciągnięte, na stoliku obok piętrzył się stos książek i czasopism. – Czekał pan na mnie za zakrętem, prawda?

Twarz Henry'ego pozostała obojętnie przyjazna.

– Dlaczego pan nie hamował? – odpowiedział pytaniem.

Fasch niepewnie się zaśmiał.

– Już mnie pan o to pytał. Sam nie wiem. Być może dlatego, że wszystko musi się kiedyś skończyć. Jakkolwiek było, spotkaliśmy się już wcześniej. Pewnie pan tego nie pamięta. – Fasch zauważył, że jego rozmówca przesunął ciężar ciała i założył nogę na nogę.

– Sankt Renata – rzekł cichym głosem Henry. – Zajmowałeś górne łóżko.

Fasch przymknął wzruszony powieki.

– Tylko do chwili, w której ty się zjawiłeś, Henry. Ale nie mówmy teraz o tych mrocznych czasach. – Sięgnął po zdjęcie portretowe wycięte z „Country Living”. – Wiem, że straciłeś żonę. – Henry skinął głową. – Przykro mi. To musiał być dla ciebie cios. Wyglądała na bardzo miłą i mądrą osobę. Wasz pies dobrze się miewa?

Henry spojrzał na fotografię, nic nie powiedział na temat zakreślonego wokół swej głowy kółka, odłożył ją z powrotem na łóżko.

– Poncho miewa się świetnie.

Fasch szukał po omacku włącznika, by podnieść nieco zagłówek elektrycznie sterowanego łóżka.

– Nie wiem, jak ci się kiedykolwiek odwdzięczę za ten pokój i wszystko, co dla mnie zrobiłeś. – Henry chciał coś odpowiedzieć, lecz Gisbert machnął tylko ręką. – Ten Jenssen opowiadał, że niedawno zamordowano kobietę, która redagowała twoje powieści. Usiłuje ustalić związek pomiędzy moim wypadkiem, śmiercią twojej żony i zgonem tej drugiej kobiety.

– Żaden związek nie istnieje.

– Od razu tak pomyślałem. On jednak w to wierzy. Kiedy policja zaczyna czegoś szukać, w końcu zawsze coś znajdzie. Miałem w samochodzie brązową teczkę. Było w niej wszystko, co udało mi się zebrać na twój temat. To zdjęcie... – Fasch położył dłoń na fotografii – było w brązowej teczce wśród moich dokumentów. Jenssen mi je zwrócił, twierdzi jednak, że żadnej teczki nie znalazł. Sądzę, że policja ma wszystko.

– Co znalazłeś na mój temat?

– Twoją przeszłość. Akta sądowe dotyczące twoich rodziców, twojej wędrówki po sierocińcach, potem wszystko na temat twojej kariery pisarskiej. Po prostu wszystko, co tylko udało mi się znaleźć.

– Po co? – zapytał Henry bez cienia oburzenia w głosie.

Fasch jeszcze bardziej pochylił tułów do przodu. Szyny usztywniające jego nogi cicho zatrzeszczały.

– Żeby cię zniszczyć, Henry. Bo byłem zazdrosny. Bo byłem nędznym, nikczemnym, żądnym zemsty nieudacznikiem. Bo nic nie zrobiłem ze swoim życiem, bo chciałem być taki jak ty, bo każdy chce być *kims*, musi coś osiągnąć. Byłem tak bardzo samotny, że przez ostatnie lata żyłem z Miss Wong, kobietą z silikonu.

Fasch, śmiejąc się, zakasłał, sięgnął po szklankę z wodą. Henry wstał i podał mu ją. Tamten opróżnił szklankę do dna.

– Byłem strasznie zazdrosny o twoje sukcesy. Zazdrość jest gorsza od raka, cierpiałem, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha. Chciałem ci zaszkodzić i udowodnić... – ostatni kwant prawdy z trudem precyzyjnie mu się na usta – że swoich powieści nie napisałeś sam. Czy potrafisz mi wybaczyć?

Fasch opadł na poduszki. Wyrzucił to z siebie. Wyczerpany zamknął oczy i odliczał w myślach do trzech. Nie pędził jednak przez zakręt drogi wprost na Henry'ego, widział jedynie błogą ciemność. Kiedy otworzył oczy, Henry stał przy oknie i spoglądał na park.

– Czy Miss Wong była przynajmniej ładna? – zapytał.

– Ładna? Wyglądała *fantastycznie*. Miała wymiary 90-60-90! Nic z niej nie zostało, spłonęła.

– Przykro mi.

– Ach, zapomnij, już od dawna nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. À propos, muszę jeszcze spłacić za nią kredyt. – Wskutek parsknięcia śmiechem z zainfekowanej tkanki płucnej Gisberta oderwał się zakrzep śluzu i wpadł do tchawicy. Fasch zaczął sinieć, Henry zadzwonił po pielęgniarkę. Młoda kobieta z fryzurą na pazia wbiegła do pokoju, nałożyła Faschowi maskę tlenową i opuściła elektrycznie sterowany zagłówek łóżka.

– Ma pan leżeć, panie Fasch – zganiła pacjenta, po czym wygładziła pościel. Henry spoglądał na jej kształtny tyłek, kiedy pochylała się nad łóżkiem. Chyba dostrzegła jego wzrok, gdyż wyprostowała się i poprawiła fartuch. – Potrzebuje pan jeszcze czegoś, panie Fasch? – Zanim Fasch zdążył odpowiedzieć, obrzuciła Henry'ego zaciekawionym spojrzeniem, po czym ruszyła ku drzwiom.

Obaj mężczyźni odczekali w milczeniu, aż wyszła z pokoju.

– Za każdym razem, gdy tu przychodzi, doświadczam bliskości śmierci. Miss Wong przy niej to wiejski babsztyl – wyznał Fasch i westchnął – ale przynajmniej mnie słuchała.

– Gisbert – rzekł Henry, siadając na krześle przy łóżku – co wiesz na mój temat?

Niż uformował się gdzieś na północnym Atlantyku na zachód od Wysp Owczych. Nietypowo jak na tę porę roku, kolumny ciepłego powietrza piętrzyły się w górę, zasysając wskutek spadku ciśnienia chłodniejsze powietrze. Zaczęły wiać pierwsze wiatry, unosząc z sobą miliony ton mikroskopijnych kropelek wody, które przemieniały się w lodowe kryształki i zaczynały wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Niż z coraz większą prędkością przemieszczał się na wschód. Już godzinę później morska służba meteorologiczna przekazała stacjom radiowym szkockiego wybrzeża pierwsze ostrzeżenie przed sztormem.

Henry usadowił się w ogrodzie swej posiadłości pod rozłożystym konarem czereśni i wycelował osiemdziesięciopięciomilimetrowy obiektyw swego canona w otwarte drzwi stodoły. Odganiał z twarzy komary i czekał. Postać we wnętrzu stodoły zachowywała się neutralnie. Nie poruszała się, jakby przystanęła na własnym cieniu. Ciało nie było przezroczyste, odbijały się od niego pojedyncze świetlne refleksy. Niezmiennie brakowało jej połowy twarzy. Henry wielokrotnie naciskał spust migawki. Na wyświetlaczu aparatu, jak można się było spodziewać, pojawiały się zdjęcia drzwi stodoły bez śladu jakiegokolwiek postaci.

Henry od samego początku był przekonany, że nawet najnowocześniejszym cyfrowym aparatem nie zdoła sfotografować urojeń, właśnie dlatego, że to urojenia. Nawet urojenia można jednak wymazać. Całkiem niedawno wyczytał w specjalistycznym magazynie, że osoby po amputacji, cierpiące na bóle fantomowe, odczuwają ulgę po założeniu protezy. Mózg akceptuje sztuczną kończynę i wstrzymuje wysyłanie meldunków o bólu. Najwyraźniej zadowala się nawet rozwiązaniami prowizorycznymi.

Tym właśnie – przyznać trzeba: prostym – tokiem myślowym podążał Henry, fotografując swoje halucynacje, by w końcu przekonać samego siebie o ich nieistnieniu. „Kiedy mój mózg wreszcie zrozumie to, co ja już wiem – pomyślał – być może halucynacje się rozwiążą”.

Poncho tymczasem drzemał w cieniu niczym meksykański dróżnik. Niekiedy tylko otwierał jedno oko, na wypadek gdyby coś jednak się działo, po czym na powrót je zamykał. W jego świecie nie istniały żadne prowizoryczne rozwiązania ani żadne projekcje, lecz wyłącznie rzeczy przyjemne bądź nieprzyjemne. Henry umocował aparat na statywie, opóźnienie samowyzwalacza nastawił na dziesięć sekund, po czym odwrócił się plecami do drzwi stodoły. Zamknął oczy i czekał, aż usłyszy trzask opadającego lustra.

Na pokładzie „Driny” Obradin odebrał przez przenośne radio komunikat o nadciągającym sztormie w chwili, gdy uruchamiał nowy silnik diesla. Barometr pokazywał wzrost ciśnienia o trzy hektopaskale w ciągu minionej godziny, szykowała się nagła zmiana aury. Sztorm z huraganowymi porywami wiatru wziął kurs na południową część Morza Północnego, zimny front dotarł właśnie do Wysp Szetlandzkich. Ruch statków w porcie Stavanger został wstrzymany. W ciągu najbliższej nocy sztorm uderzy w wybrzeże z największą siłą. Diesel zaskoczył, wyrzucając szary obłok sadzy, po czym zaczął miarowo terkotać. Obradin zerknął na wskaźnik ciśnienia oleju, po czym przyłożył dłoń do burty. Silnik Volvo prawie nie powodował wibracji drewnianego poszycia. Fantastyczna maszyna, uznał Obradin, lecz z całą pewnością nie została zakupiona za wygraną jego żony w lotto.

W tym samym czasie Jenssen umocował nylonową linę do betonowego słupka i ostrożnie opuścił się w dół przez krawędź umocnionego pobocza drogi. Dotarł do skalnego występu, skąd mógł kontynuować zejście aż do szczeliny, w której leżał brązowy przedmiot dostrzeżony uprzednio

z poziomu ulicy. Położył się na brzuchu i zajął w ciemne zagłębienie. Na połyskującej skóropodobnej powierzchni rozpoznał okucie przypominające zmatowiony mosiądz, a na nim uchwyt. Jenssen wyciągnął triumfująco swe umięśnione ramię w kierunku szczeliny, koniuszki palców dzieliła od uchwytu mniej więcej szerokość dłoni. Usiadł, zdjął sportowy but razem ze skarpetą i spróbował dosięgnąć teczki nogą. I to mu się jednak nie udało, gdyż jego łydka była zbyt gruba, by się zmieścić w wąskiej szczelinie. Z góry dobiegł go odgłos samochodu mijającego właśnie zakręt drogi, na którym Fasch uległ wypadkowi. Przeklinając, Jenssen zaczął się rozglądać za jakimś kijem. W pobliżu szczeliny nie znalazł niczego odpowiedniego, wegetacja była tam bardzo skąpa. W odległości jakichś pięciu metrów w bok dostrzegł krzew, którego uschnięte gałęzie wydawały się należytej długości. Przewiązał się liną w pasie, sprawdził jej naprężenie, po czym rozpoczął chwiejną wspinaczkę wzdłuż skalnej ściany.

Zadzwoił telefon. Głos Honor Eisendraht był ochryply ze zdenerwowania.

– Znaleźliśmy pański manuskrypt, panie Hayden, znaleźliśmy go!

Henry położył canona na ziemi.

– Gdzie?

– Na małym pendrivie w gabinecie Betty. Proszę sobie wyobrazić, policja kryminalna dopiero dzisiaj rano opuściła biuro. Ten pendrive leżał w szklanej misie na jej biurku. Skopiowała pański manuskrypt, strona po stronie. Nie posiadaliśmy się z radości, szczególnie Moreany. Specjalnie przyjedzie do wydawnictwa. *Biały mrok* – czy to jego tytuł?

Henry przygryzł wargi, tarł palcami płatek małżowiny usznej.

– To tytuł roboczy. Uratowała mi pani życie, Honor – cieszył się jak tylko potrafił – to wspaniałe wieści. – Spojrzał przez ramię w kierunku stodoły. Zjawa zniknęła.

– Cieszę się razem z panem, Henry. Natychmiast każe go wydrukować, jeśli się pan zgodzi.

– Nie! – krzyknął Henry. – Proszę z tym poczekać do mojego przyjazdu. – Przez chwilę rozważał coś w myślach. – Przyjadę do wydawnictwa dzisiaj wieczorem. Kiedy tylko pożegnam obecnych u mnie gości.

Honor zaniemówiła na chwilę.

– Chce pan jechać podczas sztormu?

– Jakiego sztormu?

\*\*\*

Teczka drgnęła. Jenssen ostrożnie pociągnął gałązkę, której zakrzywiony koniec zaczepił za mosiężne okucie. Pot spływał mu do oczu. Bardzo rzadko spotykana jaszczurka wspinała się po kamieniach, Jenssen nie zwrócił jednak na nią uwagi. Gałązka pękła.

– Fuck! – ryknął Jenssen na całe gardło. – Fuck fuck fuck! – Policjant cisnął nią w szczelinę i uderzył pięścią o kamień. Kwadrans zajęło mu wyciągnięcie tego kawałka drewna, zawzięcie tkwiącego w systemie korzeniowym krzewu. Choć gałąź dawno już obumarła, broniła się przed tym wszystkimi uschniętymi włóknami – tylko po to, by pęknąć teraz jak zapałka.

Jenssen zdjął koszulę i poczuł bijący od strony morza powiew zimnego powietrza. Na horyzoncie piętrzyły się kordyliery ciemnych chmur. Ponownie przywarł do piaszczystej skały, znów wsunął rękę w szczelinę, wypuścił z płuc powietrze, by zyskać choćby centymetr, szarpnął za uchwyt i wyciągnął teczkę ze szczeliny. Była to damska torebka ze sztucznej skóry. Jej zawartość całkiem przegniła, martwe owady rozsypały się na wietrze w drobny pył.

Henry odkręcił kanister i wlał pół litra dziewięćdziesięcioośmiooktanowej benzyny do teczki z dokumentami Fascha. Zakręcił kanister, odstawił go na bok, zapalił zapałkę, lecz zgasła zdmuchnięta przez wiatr. Udało mu się dopiero za czwartym razem. Torba zapłonęła z głuchym hukiem, wyrzucając w górę czarną chmurę dymu. Patrzył, aż skóra całkiem szerniała, podmuchy wiatru

podsycały płomień. Pies zerwał się z drzemki dróżnika, niespokojnie biegał dokoła, oszczekując przy tym wiatr.

Krzewy jeżyn ugiwały się już do samej ziemi, obłoki gnały po niebie ponad dachem domu. Henry zauważył, że okna dachowe są otwarte, sztorm dopełni dzieła zniszczenia, które sam rozpoczął. *Domyślasz się, jak to się zakończy?* – brzmiała ostatnia wiadomość od Marthy, przestroga, a ściśle biorąc wizja, mówiąca, że wszystko, czego się tkniemy, musimy też w jakiś sposób zakończyć.

\*\*\*

Po spowodowanej przez sztorm niszczycielskiej powodzi w styczniu przed piętnastu laty nieustannie ulepszano system zapobiegania katastrofom. Orkan uderzył wówczas w miejscowość pogrążoną w błogim letargu. Najpierw uniósł rybackie kutry w basenie portowym, miotał nimi na wszystkie strony, po czym spiętrzył je w groteskowe góry śmieci. Zdewastował historyczne domy wzniesione wokół portu, kasztanowce przed domem parafialnym rwał z ziemi jak kaczeńce. Napierające masy wody, które sztorm włókł za sobą niby jakiś całun, przeorały ulice i porwały z sobą nagrobki z małego cmentarza.

Kiedy nadjechał Henry, ostatnie okna przy głównej ulicy zabezpieczano właśnie płytami wiórowymi. Dwie godziny przed zachodem słońca zapadł już mrok. Zaczął padać rześisty deszcz, towarzyszyły mu porywy szkwału o sile siedmiu, ośmiu stopni. Mężczyźni na ciężarówkach musieli się mocno trzymać, gdy rozrzucali worki z piaskiem przed wejściami do domów. Henry zatrzymał się przy blokadzie ulicy, gdzie burmistrz Elenor Reens stała w mundurze ochotniczej straży pożarnej. Opuścił nieco szybę w samochodzie, deszcz spryskał mu twarz.

– Potrzebujecie pomocy?

– Przyda się każda para rąk. – Elenor wskazała na ulicę w dole. – Niech pan pomoże żonie Obradina uszczelnić okna.

– Gdzie Sonja?

– Jest dla pana za młoda. – Elenor postukała po dachu samochodu i machnęła ręką.

Helga zmagala się samotnie ze sklepową witryną. Była niskiego wzrostu, miała zbyt krótkie i za słabe ręce, by poradzić sobie z umieszczeniem ciężkich płyt wiórowych we właściwej pozycji. Henry wysiadł z samochodu, deszcz momentalnie go przemoczył. Chwycił płytę, osłonił ją przed wiatrem.

– Gdzie Obradin?! – krzyknął.

Helga wzruszyła ramionami, coś odkrzyknęła, jednak nie zrozumiał jej słów. Po dwóch nieudanych próbach przesunęli razem płytę na miejsce mocowania. Helga zasunęła żelazne rygle. Henry wyciągnął z samochodu szczekającego psa i zaprowadzi go do sklepu. Wystraszony czmychnął do kąta i skulił się jak szczenię. Henry zauważył, że sklepowa lada była pusta i uprzątnięta.

– Co się dzieje? Gdzie Obradin?

– Jak to gdzie? Na swojej ukochanej! – Helga otarła twarz grzbietem dłoni, trudno powiedzieć, czy były to krople deszczu, czy może łzy. – Ten wariat znów zaczął pić. Cały czas spędza na tym cholernym kutrze i dłubie przy nowym silniku, jakby nic innego w świecie nie istniało. On mnie zostawi, czuję to.

„Drina” tańczyła na falach w welonie białej piany, pod wpływem falowania morza maszt wychylał się na boki jak metronom, paliły się lampy topowe i burtowe, pracował silnik. Henry biegł po molo skulony, by sztorm nie zmiotł go do wody. Kuter przytwierdzono do drewnianych słupków wysokości człowieka zaledwie dwiema linami. Między burtą a mołem tryskały fontanny wody. Henry dotarł do jednego ze słupków, przytrzymał się go mocno, po czym na czworakach przepelzł po drewnianym stellingu na pokład rozkołysanej łodzi.

Obradin leżał obok silnika w wodoodpornym kombinezonie. Do maszynowni wdarło się już sporo wody. Henry odwrócił go na plecy.



– Zrzuc cumy, przyjacielu, odpływamy! – wybełkotał Obradin zupełnie odurzony. Do twarzy i piersi kleiły mu się resztki obiadu z dużą ilością cebuli i sałaty.

Henry uniósł jego tułów, powitało go wulkaniczne beknięcie. Dłonią wymierzył mu kilka policzków.

– Nie bądź głupcem, zejdź na ląd. Nie unieszczęśliwiaj własnej żony.

– A co ona wie o nieszczęściu?! Powiedz jej, że jutro wrócę.

Potok wody wdarł się do maszynowni, powieki Obradina znów opadły. Henry potrząsnął nim.

– Nie będzie żadnego jutra, opoju. Orkan dopiero nadciąga, nie zdołasz wrócić żywy!

Henry usiłował podnieść Obradina. Postawny mężczyzna z łatwością go od siebie odepchnął jednym ruchem ramienia, Henry uderzył plecami w silnik. Obradin na krótką chwilę oprzytomniał, groźnie się wyprostował i zacisnął pięść.

– Jesteśmy kwita, Henry! Dałeś, dostałeś. Nic ci już nie jestem winien.

Po tych słowach przewrócił oczami i opadł twardo na plecy, jego głowa zanurzyła się w wodzie.

Doniosłe ostatnie słowo. Henry roztrząsał je w myślach. Byli kwita. Śmierć Obradina wyeliminowałaby przykrą resztkę ryzyka, wroga tkwiącego w szczególności, nieprzemysłane słowo, drobnostkę, o której się zapomina, niepozorny błąd niweczający wszystko. Obradin utonie, a wraz z nim element ludzki. Nikt nie dostrzeże związku jego śmierci ze zniknięciem Betty. Wystarczyło, że Henry zejdzie z pokładu i zda się na wyrok losu. Jak dotąd nigdy go jeszcze nie zawiódł. Zamiast tak zrobić, zdjął pasek, przewiązał nim tułów Obradina i w ten sposób ściągnął go z pokładu. Trzeba to nazwać sporadycznym dobrym uczynkiem, o którym sam Henry wiedział, że nieuchronnie prowadzi do kary i nie jest niczym innym jak tylko krótką przerwą w działaniu zła.

Orkan siał spustoszenie przez dwie godziny. Co minutę z radiostacji dochodziły meldunki meteorologiczne: ++ *Porywisty szkwał do 120 km/h, z północy, 10 do 11, skręcający na zachód; Skagerrak z zachodu 12, skręcający na północny wschód, słabnący 11 ++*. Henry, wyczerpany, położył się obok chrapiącego Obradina na łóżku polowym w domu parafialnym, gdzie urządzono coś w rodzaju prowizorycznego lazaretu. Zewnętrzne mury budynku były wzmocnione żelbetem, okna i drzwi zabezpieczone aluminiowymi żaluzjami, można by w nim przetrwać nalot alianców, nawet go nie zauważając. Czasem drżała ziemia, lecz poza tym panowała nuda jak w poczekalni do lekarza. Kobiety paplały, mężczyźni szeptali, dzieci płakały, psy ziajały, od czasu do czasu rozbrzmiewał monotony głos z radiostacji... *Skagerrak z zachodu 11, skręcający na północny wschód, słabnący 10...* Byłby to dobry moment, by umrzeć, lecz on, Henry Wielki, wcale nie umarł, umierali wyłącznie inni.

Ubrana w mundur straży pożarnej Elenor Reens podawała kawę i herbatniki. Henry pomyślał o Sonji i o swym psie. Znużenie zamknęło mu powieki, jak przez mgłę widział Elenor z dzbankiem kawy i z tą jej przekłętą troskliwością, dążeniem do szczęścia i sprawiedliwości, z tym dlań niepojętym pragnieniem życia w zgodzie ze wszystkimi. Czuł wilgoć przemoczonych spodni i odrętwiałość skóry na twarzy. Zamknął oczy i wszedł do domu swych rodziców. Powoli wspiął się po schodach, jak wówczas jego ojciec, przez szczelinę pod drzwiami dostrzegł światło palące się w pokoju dziecięcym, dosłyszał szelest, otworzył drzwi, ujrzał zmoczony materac, mały Henry znów usiłował ukryć mokrą pościel. Pod przymkniętymi powiekami poczuł złość, szarpnął chłopca, wyciągnął go spod łóżka.

– Czemu się przede mną chowasz? Dlaczego nie jesteś w szkole? Czemu co noc robisz do łóżka? Gdzie twoja przekłeta matka?

Połamane belki dachowe, do których przyczepiły się strzepy wełny izolacyjnej, kłuły pojedynczo w bezchmurne niebo. Cała więźba zniknęła, porwana wiatrem. Niezliczone resztki leżały rozrzucone po ogrodzie. Drewno, gałęzie, liście, odpryski, cegły, wyrwane z korzeniami rośliny i mnóstwo szkła. Wśród tego gruzowiska Henry znalazł martwą kunę. Zwierzę leżało pomiędzy kamieniami ze złamanym karkiem. Henry zakopał je w ziemi, by nie pożarł go pies.

Reszta budynku, nie licząc kilku rozbitych okien, choć uszkodzona, ocalała. Było to pożegnanie na raty. Najpierw Martha, potem Betty, teraz kuna. Henry nie widział powodu, by tu pozostać. Sprzeda dom, z pewnością za niską cenę, lecz wciąż z pewnym zyskiem. Nadszedł czas, by zacząć wszystko od nowa.

Poncho, węsząc, biegał dokoła i jak oszalały merdał ogonem. Twórcza siła niszczycielskiego sztormu wykreowała nowe, ciekawe zapachy, zbombardowane miasto ze swym aromatem spustoszenia i rozkładu musi być dla psów istnym eldorado. Wiatr uszkodził ścianę szczytową stodoły, jej fragmenty spadły na saaba Marthy i zdeformowały dach karoserii. Pękła przednia szyba, drzwi od strony kierowcy były otwarte.

– Chodź, usiądź obok mnie.

Henry odwrócił się za głosem. Był to głos Marthy, czysty i miękki, jak przez wszystkie lata trwania ich małżeństwa. Nigdy nie mówiła głośno, także i teraz. Martha nie siedziała w samochodzie, co wcale Henry'ego nie zdziwiło, niematerialne zjawiska nie są bądź co bądź przywiązane do konkretnego miejsca.

– Mam już dość udawania pisarza – odparł spokojnym, lecz stanowczym głosem, halucynacje bowiem należy traktować z respektem, zarazem jednak nie wolno ich rozpieszczać. – To było *twoje* życzenie, zrobiłem to dla ciebie, zrobiłem to chętnie, lecz ty już nie istniejesz. Nie chcę już dłużej być pisarzem.

– Co zamierzasz?

– Nic konkretnego. Zakończyć to.

\*\*\*

Henry wyczytał w regionalnej gazecie, że orkan wyrządził znacznie mniejsze szkody, niż się tego obawiano. W historii towarzystw reasekuracyjnych dzień ów zapisał się jako prawdziwe święto zapobiegania katastrofom naturalnym. Można tylko pogratulować akcjonariuszom. W większości straty ponieśli maluczcy, którzy nie mogą sobie pozwolić na kosztowne ubezpieczenia. Zniszczonych lub uszkodzonych zostało wiele łodzi rybackich, niektóre doki, budynki szkolne oraz mosty w pasie przybrzeżnym. Bez znaczenia dla międzynarodowego koncernu.

Wśród doniesień lokalnych Henry znalazł następującą informację:

„...na szczególnie dotkniętym przez sztorm odcinku wybrzeża ochotnicy z ochrony wybrzeża odkryli wczoraj wrak samochodu osobowego, a w nim zwłoki kobiety. Policja kryminalna przejęła już dochodzenie”.

A więc ją odnaleziono. Henry próbował sobie wyobrazić, jak zareaguje biedny Jensen, kiedy się dowie, czyje to zwłoki i czyj to samochód. Prawdopodobnie będzie zaskoczony. Ciało Marthy z pewnością znajdowało się w bardziej zaawansowanym stadium biologicznego rozkładu niż u owej tęgiej topielicy, którą Henry widział w zakładzie medycyny sądowej. Sztorm jako przyczyna wypadku został chyba tym samym wykluczony.

Henry nie liczył się z tym, że zostanie szybko poinformowany o śmierci swej żony. Policja, jak wiadomo, szuka najpierw najbardziej przekonującego wyjaśnienia, by przygotować strategię działania. Za podstawę każdej zbrodni służy matriks niewidzialnych powiązań, lecz klucz do odkrycia jej motywu i przebiegu posiada jedynie sprawca. Poszukiwanie w pełni przekonującego wyjaśnienia trochę potrwa i z pewnością zaprowadzi donikąd, gdyż śmierć Marthy w samochodzie Betty była po prostu niepomyślnym zdarzeniem, nieszczęśliwym splotem okoliczności. A takowe „niepomyślne zdarzenie” nie podlega zasadzie logicznej przyczynowości. Na rozwikłanie tej zagadki zmarnowane zostanie mnóstwo nadgodzin, skutkiem zaś będzie jedynie frustracja i złość. Dopiero wtedy funkcjonariusze śledczy pojawią się u Henry’ego, by go wypytać o rzecz najcenniejszą w dochodzeniu prawdy: o wiedzę samego sprawcy. Tylko Henry mógł wszystko wyjaśnić i tylko on jeden nie był do tego skłonny. Z tego względu Henry miał dość czasu, by się przygotować. Zamierzał zastosować wypróbowaną taktykę, z pomocą której człowiek ratuje się z najgorszych nawet tarapatów, i w mądry sposób udawać głupiego.

Następne dni Henry spędził na porządkowaniu ogrodu. Tak jak przewidywał, nic się nie wydarzyło. Oszacował poniesione w domu straty, powiadomił ubezpieczyciela oraz nawiązał kontakt z architektem. A potem zmarł Moreany.

Claus Moreany umarł w weneckim szpitalu. Przedtem jednak, leżąc w szpitalnym łóżku, poślubił swoją sekretarkę Honor Eisendraht i zapisał jej w testamencie wydawnictwo oraz cały swój osobisty majątek. Honor poleciła przetransportować zwłoki oraz przygotować miejsce pochówku w mauzoleum rodziny Moreany. Pogrzeb miał się odbyć tydzień później w gronie współpracowników, przyjaciół i autorów. Tymczasem Honor Moreany objęła komisaryczny zarząd nad wydawnictwem, nim dopełnione zostaną wszelkie prawne kwestie spadkowe. Nadal urzędowała w swoim gabinecie z dracaną, gdzie stał bisley z poufnymi dokumentami, bez których nie sposób kierować firmą. Niezwłocznie zlikwidowała swoje niewielkie mieszkanie i przeniosła się razem z papugą do willi zmarłego męża, gdzie najpierw poleciła zdezynfekować spiżarnię. Jako że cechowało ją zamiłowanie do porządku, bezzwłocznie przystąpiła do sortowania piętrzących się stosów nieprzeczytanej korespondencji, tworzących w gabinecie istne stalagmity. Listy ułożyła według daty otrzymania, a następnie otwierała je po kolei azteckim nożem ofiarnym, który znalazła w skromnym sekretarzyku Roentgena.

Dwa dni przed pogrzebem w wydawnictwie pojawił się Henry Hayden. Miał na sobie ciemny garnitur. Na powitanie ucałował rękę Honor i zaproponował przejście na „ty”. Wypili herbatę Gunpowder, rozmawiali przez chwilę o zmarłym. Honor opowiedziała o ich ostatnich wspólnie spędzonych dniach w Wenecji. Kiedy jego wątroba odmówiła posłuszeństwa, Moreany oświadczył się jej w Ospedale Giovanni e Paulo. Henry siedział w Eames chair i z przejęciem słuchał jej słów. Było mu wstyd, że nie odwiedził po raz ostatni swego przyjaciela i protektora.

Honor położyła dłonie na jego dłoniach.

– Zostało mu tak niewiele czasu, a wydarzyło się tak wiele strasznego. Nikt nie potrafi tego pojąć. Największym dla niego prezentem była twoja powieść, którą udało się nam odnaleźć.

– Przeczytałaś ją?

Honor, uśmiechając się, skinęła głową.

– Wiem, że tego nie chciałeś. Claus ją wydrukował i zabrał z sobą do Wenecji. Przeczytaliśmy ją razem. Jest wspaniała, Henry. To wielka literatura.

– A zakończenie? Co o nim sądzisz?

Nastąpiła dłuższa przerwa.

– To zadziwiające – odparła wreszcie Honor. – Znalazłam je przypadkiem w poczcie.

Wstała, podeszła do biurka Moreany'ego, odsunęła szufladę i wyjęła brązową kopertę. Wyciągnęła gruby na pół palca plik kartek zapisanych na maszynie. Henry od razu rozpoznał czcionkę – tekst wystukano na maszynie należącej do Marthy.

– Przeczytanie *tego* było bardzo dziwnym doznaniem.

Podawała mu kartki. Henry siedział wciśnięty w fotel, poczerwieniał aż po same uszy. Miał wrażenie, jakby przyłożono mu do twarzy gorącą mokrą chustkę. Na pierwszej stronie widniała skreślona ręką Marthy... jak by to ująć?... notatka.

*Drogi Henry, ukochany mężu, ratuję Ciebie i to zakończenie, gdyż nie zniósłabym świadomości, że zostawiłam Cię z pustymi rękoma. Nie wiem, co się stało i co się dziś stanie, lecz jasne barwy, bijące od Ciebie od dnia naszego pierwszego spotkania, przybrały teraz monochromatyczny kolor granitowej czerni. Boję się o Ciebie.*

W tym miejscu musimy się na chwilę zatrzymać, gdyż Henry zaczął tak gwałtownie szlochać, że mimo najlepszych chęci nie potrafił czytać dalej.

*Cokolwiek Cię skłania, by zniweczyć to, co kochasz, nigdy nie czułam się dotknięta przez Twoją irytację. Ochroniasz mnie, rozumiesz mnie, pozwalasz mi istnieć. Odrzuciłeś to piękne zakończenie Twojej powieści, by pójść za głosem swojego demona na mroczne spotkanie. Uzupelniam je za Ciebie, przechowuję dla Ciebie i posyłam Moreany'emu. Z wyrazami czułego przywiązania, Martha.*

Często miewamy fałszywe wyobrażenia o rzeczach, których nigdy wcześniej nie doświadczyliśmy. A kiedy już ich doświadczamy, często okazują się zaskakująco znajome. Honor nigdy jeszcze nie widziała pogrążonego we łzach dorosłego mężczyzny. Henry płakał długo i rzewnie, jak dziecko wołające za matką. Gdyby Honor nie wyjęła mu delikatnie z rąk manuskryptu, pewnie przemieniłby go w akwarelę. Zostawiła go samego, zamknąwszy za sobą drzwi do gabinetu.

Kiedy późną porą zaprzeszłej nocy odkryła wśród nieprzeczytanej poczty Moreany'ego ów ostatni rozdział, w pierwszej chwili pomyślała, że to pomyłka, tym bardziej że słowa Marthy skierowane były wyłącznie do Henry'ego. A jednak na kopercie wypisała swym drobnym odręcznym pismem prywatny adres Moreany'ego. O pomyłce nie mogło być mowy. Dla ezoterycznie rozwiniętego intelektu Honor związek pomiędzy zniknięciem Marthy a tym czule złowieszczym listem pożegnalnym był nie do podważenia. Martha pisała o nieszczęsnym zepsuciu i mrocznym spotkaniu Henry'ego z demonem, jej list krył w sobie coś niepokojącego. Honor powiadomiłaby policję, gdyby nie była kierownikiem wydawnictwa, a Henry Hayden jej złotym bożkiem. Końcowy rozdział powieści stanowił czek gotówkowy i miał tym samym pierwszeństwo nad wątpliwościami natury moralnej. Dlatego Honor Moreany, z domu Eisendraht, zamiast u funkcjonariusza policji poszukała rady w arkanach tarota. Wypadła karta jedenasta, sprawiedliwość. No proszę. Niektóre wątpliwości rozwiewają się same.

\*\*\*

Istnieją pogrzeby, podczas których żałobnicy wystawiają na pokaz fałszywą pokorę i konsternację. Winę za owo bigoteryjne przedstawienie nierzadko ponosi sam zmarły, otaczający się za życia nie najlepszym towarzystwem, ot, po prostu znał niewłaściwych ludzi. Claus Moreany został pochowany tak, jak żył. Z respektem, bez patosu, żegnany wśród szczyrych łez. Tamtego pochmurnego dnia wczesnej jesieni zebrało się na niewielkim cmentarzu liczne grono. Około trzystu osób stało wzdłuż dróżki prowadzącej z kaplicy do mauzoleum, wiele nie miało z sobą parasola. Kiedy przenoszono trumnę, zaczęło padać.

Henry zauważył Jenssena stojącego w towarzystwie kilku funkcjonariuszy policji. Jako jedyni nie byli ubrani w ciemne stroje, co skłaniało do wniosku, że przybyli służbowo. „Czemu nie? – pomyślał. – To dobry dzień, by rozmawiać o śmierci”. Między starymi platanami stał Gisbert Fasch. Nieśmiało pomachał do niego kulą, gdy ich spojrzenia się spotkały. Wyraźnie przytył, po ogolonej stronie głowy podrosły mu włosy. Minęła niemal godzina, nim ostatni żałobnicy złożyli na grobie kwiaty, po czym

tłum ruszył w kierunku cmentarnej bramy, gdzie czekała kolumna pojazdów mająca zawieźć gości na zorganizowaną w siedzibie wydawnictwa stypę.

– Znaleźliśmy pańską żonę – szepnął Jenssen, przechodząc obok Henry’ego. Zaraz jednak uświadomił sobie brak szacunku cechujący to powitanie, gdyż zamilkł, być może pod wpływem spojrzenia Henry’ego.

– Jest pan pewien, że tym razem to właściwa osoba? – zapytał Henry.

Przełożony Jenssena, wspomniany geniusz analizy przypadku, wtrącił się do rozmowy:

– Nazywam się Awner Blum, jestem kierownikiem wydziału zabójstw i chciałbym przeprosić za nieco zbyt bezpośredni sposób bycia mojego współpracownika.

Henry przystanął.

– Naprawdę znaleźliście moją żonę?

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Bardzo mi przykro, ale tak właśnie jest. Została zidentyfikowana.

– Nie przeze mnie. Czy ona nie żyje?

– Niestety tak. Wyrazy współczucia.

– Gdzie? Gdzie ją znaleźliście?

– To nie *my* ją znaleźliśmy. Została znaleziona. Ale o tym powinniśmy chyba porozmawiać nie tutaj i nie teraz, lecz w spokoju na komendzie, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

– Gdzie ona teraz jest?

– W zakładzie medycyny sądowej.

Honor Moreany zawróciła z czoła konduktu żałobników i podeszła do Henry’ego oraz policjantów.

– Co się stało?

– Znaleźli Marthę.

Honor spojrzała w twarze policjantów.

– I z taką informacją przychodzicie panowie *tutaj*?

– Wszystko wyjaśnimy w spokoju na komendzie policji, panie Hayden. To nie potrwa długo.

Honor objęła Henry’ego i mocno go uściskała.

– Idź, Henry. Claus by tego chciał.

Henry ucałował jej rękę, po czym spojrzał na Jenssena.

– Którędy?

– Tędy proszę. – Mężczyźni ruszyli ku bocznej bramie cmentarza.

Henry podchwycił poirytowane spojrzenia żałobników.

– Wygląda to na aresztowanie. Tego panowie chcieli?

– W żadnym razie. Nasze spotkanie tutaj jest podyktowane wyłącznie względami czasowymi, panie Hayden. Potrzebujemy pańskiej pomocy, to nie jest aresztowanie ani żadne przesłuchanie.

Było to iście pokazowe przedstawienie. Równie dobrze mogliby zaczekać na niego przy wyjściu, przy kolumnie samochodów. Znaczący policyjny przewidywania zechcą zauważyć, iż ani Blum, ani Jenssen nie wspomnieli, że Martha nie żyje, ani też gdzie, jak i kiedy została znaleziona. Widocznie zdecydowali, że każdą odrobinę wiedzy na ten temat wyciągną od Henry’ego. *Be my guest, motherfuckers*, pomyślał Henry. Był na to świetnie przygotowany.

Jenssen przystanął, gdy zauważył, że Gisbert Fasch ruszył spieszenie za nimi, na ile pozwalały mu na to jego zeszytywniałe nogi. Wyszedł mu naprzeciw i zamienił z nim kilka słów, podczas gdy Henry w eskorcie trzech policjantów opuścił teren cmentarza i wsiadł do białego audi A6. Fasch pozostał na cmentarzu. Henry nigdy więcej go nie zobaczył.

Nie mieli nic.

Sam cień przeczucia, choćby i drobinka poszlaki sprawiłyby, że ów marny, odprawiony na cmentarzu rytuał zastraszenia okazałyby się niepotrzebny. Nie mieli nic, nic nie wiedzieli, byli do niczego. Wykonywali jedynie swoją pracę i chcieli wyłącznie wyników. Wyjaśnienie zbrodni jest równie uciążliwym zajęciem jak jej popełnienie, z tą różnicą, że opłacane są także przerwy.

– Kiedy ukaże się pańska nowa powieść? – dopytywał się Jenssen podczas jazdy samochodem. Wyraźnie starał się naprawić swój niestosowny błąd.

– Przed targami książki.

– Można zapytać, o czym traktuje?

– Tak, można. – Henry patrzył przez okno na przemykające mu przed oczami symetryczne szare fasady domów. To będzie długa, trudna walka. Przyjechali we czterech, by od samego początku rejestrować każdy odruch, każde słowo i każdą sprzeczność. Przez resztę drogi, jakieś piętnaście kilometrów, nie zamieniono już ani słowa.

Mur z czerwonej cegły zwieńczony drutem kolczastym ciągnął się wzdłuż całej ulicy, przy której mieściła się komenda policji. Pierwotnie, jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej, były to koszary, zespół budynków, mury i natowskie ogrodzenie z drutu wciąż kryły w sobie urok przegranego oblężenia. Kiedy podniósł się szlaban, Henry rzekł cicho:

– Sankt Renata.

„Pomieszczenie konferencyjne”, jak je nazywano, było komorą gazową z wywietrznikami. Henry dostrzegł na wyłożonej linoleum podłodze plamy po kawie, przypominały skupiska pleśni. Pośrodku pomieszczenia stała duża składana tablica, przykryta myszată zasłoną. Henry usiadł na tapicerowanym obrotowym krześle, zlustrował wzrokiem tablicę, Jenssen podał mu kawę. Pozostawienie go samego przed zakrytą tablicą stanowiło bez wątpienia fazę numer jeden procedury inkwizycyjnej. Od czasów średniowiecza wiadomo, że samo pokazanie narzędzi tortur wystarcza do złamania oporu delikwenta.

– Mamy mnóstwo odpowiedzi, dla których wciąż nie znaleźliśmy właściwych pytań – odezwał się Awner Blum. Nie był to niezręczny początek rozmowy, uznał Henry, popijając kawę, gorącą, lecz wyjątkowo słabą. – Pewnie się pan dziwi, dlaczego zaprosiliśmy pana na tutejszą komendę, panie Hayden.

– Wcale nie, panie Blum, w głębi serca czuję smutek, że mnie pan tak zwodzi w kwestii prawdy. Co się stało z moją żoną?

Blum wymienił z Jenssenem krótkie spojrzenie.

– Powodem tego jest zagadka, z jaką się nigdy jeszcze w mojej karierze nie spotkałem. Potrzebujemy pańskiej pomocy. Znał pan swoją żonę lepiej niż ktokolwiek inny.

– A więc zbrodnia.

– Czemu pan tak sądzi, panie Hayden?

– Sądzę tak, ponieważ siedzimy tu, na komendzie, a pan jest z wydziału zabójstw. Czy może się mylę?

– Niezupelnie. Faktem jest, że pańska żona nie umarła śmiercią naturalną. Niewykluczone jest także samobójstwo.

Henry zerknął na Jenssena, który przyjaźnie się uśmiechał i również sączył słabą kawę. Czy on

także obudził się dziś z rana u boku kobiety? Czytał gazetę, wyjął z pralki mokre pranie i przez sześć minut gotował sobie na śniadanie jajko? Czy może wolał jeść jajka gotowane przez cztery minuty? Co odróżnia policjantów od przestępców, ludzi cywilizowanych od niecywilizowanych poza grubiaństwem ich instynktów oraz czasem gotowania jaj na śniadanie?

– Mówiłem już panu Jenssenowi, że w przypadku mojej żony samobójstwo nie wchodzi w rachubę. Ona była szczęśliwa. My byliśmy szczęśliwi. Nigdy by mnie nie zostawiła samego. – Ponownie zapadła cisza. – Czy to jakiś quiz? – zapytał Henry. – Mam zgadywać, jak umarła moja żona?

Jenssen odstawił kubek z kawą.

– Znalazł pan na plaży jej rower oraz przybory kąpielowe.

– Już to przerabialiśmy. Moje wspomnienie tego zdarzenia zaczyna blaknąć, ale owszem, tak właśnie było.

– Pańska żona nie utonęła przy plaży, lecz trzydzieści kilometrów dalej na wschód – ciągnął Jenssen. Mężczyźni wpatrywali się w Henry'ego, jak analizuje tę informację. Henry ujrzał w myślach kamper zaparkowany w pobliżu klifu oraz nagie brytyjskie dzieci obrzucające się szyszkami.

– Jak to możliwe?

– My także zadajemy sobie to pytanie. Pańska żona siedziała w samochodzie. Była zapięta pasami. Runęła ze stromego klifu do morza.

Henry zerwał się z krzesła.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Jej samochód wciąż stoi w stodole.

– To nie był jej samochód. – Blum podszedł do tablicy i jednym szarpnięciem zerwał z niej zasłonę. – Ten samochód należał do pani Bettiny Hansen, pańskiej redaktorki.

Fotografie były kolorowe i przerażająco dokładne. Subaru z boku i od przodu. Nadzarty przez ryby tyłów Marthy tkwił przypięty pasami na siedzeniu kierowcy, czaszkę zakrywały jedynie strzępy skóry, bezmięsne usta były otwarte, zęby zachowały się w doskonałym stanie. Henry przymknął powieki. Znowu powróciły obrazy. Ujrzał, jak bezgłośnie krzycząc, tłucze o szyby, usiłuje otworzyć drzwi, a do jej płuc wdziera się przeraźliwie zimna woda. Zobaczył śmierć Marthy.

Funkcjonariusze dali mu czas. Bez słowa przyglądał się zdjęciom, po czym odwrócił się i wyjrzał przez okno na ponury dziedziniec.

Jenssen odchrząknął.

– Obsunięcie się ziemi na klifowym wybrzeżu wytworzyło falę, która wyrzuciła samochód na powierzchnię, między skały, jeśli to pana interesuje.

– Do kogo, mówi pan, należy ten samochód?

– Do pani Bettiny Hansen, pańskiej redaktorki.

Henry odwrócił się i spojrzał w twarze mężczyzn. Wyglądali jak głuchoniemi, którzy po raz pierwszy słyszą arię Królowej Nocy.

– To odpowiedź – rzekł cicho – a jak brzmi pytanie?

– Pytanie brzmi: Czy potrafi pan wyjaśnić, dlaczego pańska zmarła żona siedzi w samochodzie zaginionej redaktorki?

– Nie pojmuję, jak to możliwe. Byłby pan łaskaw z powrotem zasłonić te zdjęcia? To bardzo bolesne.

Blum spojrzał na Jenssena, ten zakrył fotografie.

– Czy pańska żona i pańska redaktorka się znały?

– Spotkały się. Na koktajl party w ogrodzie mojego zmarłego tymczasem wydawcy. – Kątem oka

Henry zauważył, że jeden z funkcjonariuszy sięgnął do kieszeni marynarki, lecz dłoni już z niej nie wyjął. Z pewnością włączył ukryty dyktafon.

– Czasem chodziły razem pływać. – Henry wyczuł, jak atmosfera w pomieszczeniu powoli gęstnieje. – Nigdy mnie przy tym nie było. Martha opowiadała mi, że Betty nie pływała zbyt dobrze. Musicie panowie wiedzieć, że pływanie i wędrówki były pasją Marthy.

Jenssen wyjął długopis.

– Będzie panu przeszkadzać, jeśli zacznę robić notatki?

– W żadnym razie. Nasze życie było, rzec by można, bardzo uporządkowane. Piszę nocami. To pora, gdy przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły. Rankiem śpię dłużej, moja żona chodziła wtedy popływać albo wybierała się na wędrówki.

– Dokąd? Miała utarte szlaki?

– To nie w jej stylu. Zawsze wybierała je całkiem spontanicznie. Chętnie wędrowała ustronnymi ścieżkami, na których nie spotyka się ludzi. Kochała przyrodę, samotność... Ma pan mapę?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym Jenssen wybiegł z pomieszczenia i po chwili wrócił z podziurawioną przez rzutki mapą. Henry się przyglądał, jak funkcjonariusze starannie ją rozkładają na podłodze. Zauważył nakreślone na niej linie i punkty.

– Proszę zignorować dziury, panie Hayden. Wie pan, dokąd pańska żona lubiła wędrować?

– Oczywiście – odparł Henry i przykucnął – dużo mi o tym opowiadała. – Wskazywał na rozmaite regiony. – Na przykład ten las, gdzie zaznaczono dużo punktów, często do niego chodziła. Musi tam być cudownie.

Funkcjonariuszy ogarnął radosny nastrój.

– A tu? – Blum wskazał na teren w pobliżu klifowego wybrzeża.

– Martha uwielbiała morze i nie cierpiała na zawroty głowy. Lubiała wędrować blisko morza, tuż nad samą przepaścią, nie mogłem na to patrzeć. Chciałem jej sprezentować telefon, żeby mnie wezwała w razie konieczności, ale nie chciała. Nie zносиła komórek.

– No i mamy naszego tajemniczego rozmówcę! – triumfował Blum w męskiej toalecie.

– W takim razie – odparł Jenssen, koncentrując się na oddawaniu moczu – Martha Hayden byłaby też ojcem dziecka prowadzącym podwójne życie, potrafiącym się doskonale ukrywać i świetnie znającym techniki lokalizacji?

Blum właśnie osuszał ręce.

– Jenssen, żeby odnosić sukcesy jako funkcjonariusz policji kryminalnej, musi pan umieć zarzucać myślowe modele. Abstrahować. Byliśmy w błędzie. Właśnie pojawiły się nowe fakty.

Jenssen przemył ręce, czego by nie zrobił, gdyby obok nie stał jego przełożony.

– Dlaczego – zapytał – dzwoni do redaktorki, zamiast, dajmy na to, do własnego męża? Co chciała z nią omówić? I dlaczego w tajemnicy?

Blum położył dłoń na kłamce.

– Zostaliśmy powołani, żeby to wyjaśnić. Pan pewnie nie, zgadza się, Jenssen?

Kiedy obaj mężczyźni wrócili z toalety, Henry zdjął zasłonę z tablicy i znów przyglądał się zdjęciom.

– Nie wierzę, że moja żona runęła w tym samochodzie do morza. Jesteście panowie pewni, że to samochód Betty? Mówiła mi, że jej auto skradziono.

– To jej samochód, panie Hayden, i ta kwestia także bardzo nas zajmuje. Zgłosiła kradzież pojazdu, nie potrafiła jednak oddać kluczyków, oczywiście że nie, wiemy już, że tkwią w stacyjce. W rozmowie z ubezpieczycielem podała... – Jenssen zerknął do dokumentów – ...że nie chce za samochód żadnych pieniędzy.



– To dziwne. Mówiła mi, że ten mężczyzna...

Blum machnął ręką.

– Gdyby samochód został skradziony, miałaby przynajmniej jeden z kluczyków.

Błogosławiony niech będzie ten kluczyk! Nie po raz pierwszy Henry dziękował pomocnej dłoni losu, który bez względu na osobę ingeruje, by dokonać niewielkich korekt, dzięki czemu sytuacje beznadziejne przemieniają się w triumfy. On, który wszystko przemyślał, nie spodziewał się, że taka drobnostka jak samochodowy kluczyk będzie mieć aż takie znaczenie. I okaże się tak bardzo pomocna. Dla przestępców wszelkiej maści, a z całą pewnością także dla oszustów ubezpieczeniowych, to przestroga, że przy fabrykowaniu legend nie ma żadnych błahostek, lecz wyłącznie równie istotne detale.

– Nam również trudno uwierzyć w istnienie owego tajemniczego mężczyzny, o którym pan wspomniał.

– Ale ona była w ciąży – odparł Henry. – Kto w takim razie jest ojcem?

Jenssen chciał coś powiedzieć, lecz Blum ponownie mu przerwał.

– Liczyliśmy na pańską pomoc w tej kwestii.

– Pomoc? Nie zdradziła mi, kto nim jest. Czy komukolwiek to wyjawiała? Tego nie wiem.

– Nie pytał jej pan?

– Oczywiście, że pytałem. Mówiła tylko, że to niebezpieczny człowiek.

– Nie miała na myśli pana, prawda?

Henry się roześmiał.

– Pan mnie przecenia, panie Jenssen. Nie wiem, czy to bezczelność, czy może tylko komplement.

Henry uznał, że nadszedł czas, by wtajemniczyć owych panów w sekret i wyjawić, co *naprawdę* wydarzyło się nad klifem. Awner Blum wypowiedział czarodziejskie słowo, stwarzające po temu sposobność.

– A więc pańska żona i pańska redaktorka często chodziły razem się kąpać.

– Tak i nie. To moja żona była moją redaktorką. – Henry zrobił znaczącą pauzę. – Codziennie czytała każde napisane przeze mnie słowo. Dostrzegała to, czego ja nie zauważałem. Bez niej nie ukończyłbym żadnej z moich powieści. Sądzę, że Betty cierpiała z tego powodu.

Zamyślony Blum uformował z palców kulę ziemską.

– A co, jeśli mogę wtrącić dodatkowe pytanie, redagowała pańska redaktorka?

– Nic. Nie miała do tego kompetencji, rozpierała ją zbyt duża ambicja, nie ufałem jej. Kiedy powieść była ukończona, zawoziłem ją do wydawnictwa. Betty czytała gotowy manuskrypt.

– Za co jej w takim razie płacono?

Pytanie, które mógł zadać wyłącznie urzędnik. Henry uśmiechnął się wyrozumiale, cóż bowiem biurokraci rozumieją z literatury?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, wiele Betty zawdzięczam, może nawet wszystko, gdyż to ona odkryła moją pierwszą powieść. *Frank Ellis*, nie wiem, czy ją pan czytał.

– Ja nie – odparł Blum – ale czytał ją kolega Jenssen. To nasz mól książkowy, nawet dziś na jej wspomnienie popada w zachwyt, zgadza się, Jenssen?

Jenssen z przymusem skinął głową. Henry zauważył, że ten biedak nie cierpiał, gdy go wystawiano na pokaz jak tresowanego niedźwiadka. „Oto motyw zabójstwa – pomyślał Henry. – Dalej, Jenssen, rozwał tego psa ze służbowej broni i wyrzuć go na dziedziniec. Masz moje błogosławieństwo”.

– Martha rozmawiała czasem z panią Hansen o postępach mojej pracy – podjął Henry. – Prawdopodobnie podczas wspólnych kąpiei. Betty przekazywała te informacje swemu szefowi Moreany'emu i podawała za własny wkład redakcyjny. Zauważyłem to i poczułem oburzenie. Byłem

wściekły! Jak *można* uznawać za własne twórcze dokonania innych osób?! Jednak moja żona tylko się śmiała i powtarzała: „Zostaw ją. Każdy żyje, jak potrafi, każdy człowiek jest w czymś dobry”. Taka właśnie była Martha. W każdym dostrzegała wyłącznie dobro. – Henry ponownie spojrzął na umieszczone na tablicy zdjęcia rozkładających się szczątków swojej żony. – Teraz uważam, że to był błąd.

– Zeznał pan, że pańska powieść zaginęła. Tymczasem została odnaleziona.

– Powieść była ukończona, ustalono termin publikacji. Po zaginięciu mojej żony oddałem Betty oryginał manuskryptu. Miała go przekazać Moreany’emu. Nie zrobiła tego. Manuskrypt musiał spłonąć w jej samochodzie. Czy wiadomo już, co się z nią stało?

„Nigdy nie zdołacie jej odnaleźć i dobrze o tym wiecie” – pomyślał Henry. Nawet on nie znał miejsca, w którym Obradin ją zakopał.

Jenssen znalazł w końcu stosowne pytanie do całego mnóstwa pojawiających się zewsząd odpowiedzi.

– I jak pan ją odnalazł? Powieść?

– Nie ja ją znalazłem. Odkryła ją przypadkiem Honor Eisendraht, kierująca obecnie wydawnictwem. Na pendrivie. Pani Hansen po kryjomu skopiowała manuskrypt. Dlaczego to zrobiła, nie wiem.

Trumna miała niewielkie wymiary, wykonano ją z nieheblowanego sosnowego drewna. Po bokach zamocowano cztery żelazne okucia. Henry zdecydował, że szczątki jego żony zostaną poddane kremacji. Martha by sobie tego życzyła. Tym sposobem nie pozostanie po niej nic prócz ulotnego ciepła i popiołu. Ciężka stalowa płyta się uniosła, z wnętrza buchnęła fala gorąca. Elektrycznie sterowany podajnik wsunął trumnę do pieca. Drewno natychmiast się zapaliło, blask białego światła oślepił Henry'ego. Stalowa płyta opadła, zamykając piec. Włączyła się dmuchawa, sterowane komputerowo urządzenie rozpoczęło całkowicie zautomatyzowany proces kremacji. Henry uznał, że w owym procesie krył się pewien rodzaj pietyzmu, gdyż nie uczestniczył w nim żaden człowiek.

Pogrzeb Marthy odbył się niedaleko mauzoleum rodziny Moreany. Zgodnie z regulaminem cmentarza grabarze przenieśli urnę do dołu w ziemi, który uprzednio starannie wykopano i zabezpieczono kwadratowym drewnianym kołnierzem, przykrytym następnie zieloną matą sztucznej trawy. Na kamieniu z czarnego granitu widniało jedynie nazwisko, bez dat. Nie zamieszczono żadnego nekrologu, Henry nikogo nie zaprosił, sam szedł za urną na miejsce pochówku. Był to pogrzeb niemalże anonimowy. Jako że Henry nigdy nie interesował się Bogiem ani życiem pośmiertnym, nie uczestniczył w nim żaden ksiądz, nikt nie wygłosił mowy pogrzebowej. Jedynie jakaś obca kobieta z konewką przystanąła na chwilę, po czym ruszyła dalej na grób swego zmarłego męża.

Gdy Henry stanął z urną przed dołem w ziemi, owładnęło nim ogromne zmęczenie, zastanawiał się, co ma począć z resztą swego życia. Jego występ gościnny w roli pisarza dobiegł końca. Sonja nie odezwała się od dnia sztormu. Musiała zrozumieć, że związek z mężczyzną jego pokroju nie ma przyszłości, że na zawsze pozostanie jedynie epizodem. Henry'emu udało się dokonać morderstwa doskonałego, a teraz znów został sam. Nie ukaże się żadna nowa powieść, żadna kobieta nie będzie się go spodziewać, dziecko nie wróci ze szkoły, a w domu nikt oprócz psa nie będzie na niego czekać. Nawet policja prędzej czy później straci nim zainteresowanie. Henry sobie uzmysłowił, że nie zostawi po sobie nic poza na wskroś zabawną historią udawania – komu jednak miałby ją opowiadać? Nie pozostało mu nic innego, jak tylko zniknąć. Grabarze przystąpili do zasypywania niewielkiego dołu, Henry przyglądał się ich pracy.

Przy cmentarnej bramie czekał Jenssen, stał obok niewielkiego roweru Marthy. Ocalił go przed zniszczeniem, gdyż ze względu na przepełnienie policyjnej przechowalni dowodów rzeczowych usuwano z niej przedmioty pozbawione prawnego znaczenia. Henry nie zapytał Jenssena, skąd wiedział o pogrzebie Marthy, bądź co bądź policjantowi płaci się za to, by znał ruchy i aktywność podejrzanego, oczekuje się wręcz, że będzie wiedział więcej niż to w ogóle możliwe. Razem włożyli rower oraz przybory kąpielowe Marthy do bagażnika maserati.

– Czy znalazł pan nowe pytania do pańskich odpowiedzi? – zapytał Henry drwiącym tonem, zamykając klapę bagażnika.

Jenssen przecesał włosy, rękaw koszuli naprężył się na jego monumentalnym bicepsie.

– Nie rozumiem pana, Hayden. Próbuję, lecz bez powodzenia.

– A co tu można rozumieć?

– Traci pan żonę. Patrzy pan na te przerażające zdjęcia i zachowuje pan absolutny spokój. Nawet nie uronił pan jednej łzy.

– Kiedy płaczę, nic nie widzę.

Jenssen machnął ręką.

– Ratuje pan życie mężczyźnie, który najwyraźniej pana śledzi, i słowem o tym nie wspomina, lecz opłaca jego pobyt w szpitalu. Przecież wcale go pan nie zna. Czemu pan to robi?

Henry zdjął ciemną marynarkę i wrzucił ją do samochodu. Podszedł dwa kroki do Jenssena.

– Jest pan przecież myśliwym, Jenssen. Poluje pan na ludzi. Czemu, do diabła, pan nie strzela?

Jenssen cofnął nogę, pochylił do przodu ramiona.

– Nie poluję na ludzi. Szukam prawdy.

– *We mnie?!* – wykrzyczał mu w twarz Henry. – *We mnie nie ma żadnej prawdy. Prawdę pożarły ryby, prawda spłonęła w piecu, prawda przemieniła się w popiół.* – Henry odzyskał panowanie nad sobą. – *Uważa mnie pan za mordercę. Z chęcią by mnie pan schwytał, a co pan robi? Próbuje mnie pan zrozumieć. Jeśli chce pan polować, niech pan poluje. Jeśli chce pan zrozumieć, niech pan zacznie od siebie. Ale od razu panu mówię: nie znajdzie pan żadnej prawdy.* – Henry wrócił do samochodu. – *Kto woła na zwierzyne, płoszy ją. Powróci dopiero wtedy, gdy poczuje się bezpieczna.*

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik. Jenssen położył swą szeroką dłoń na dachu i nachylił się.

– Gdzie jest pańska matka?

\*\*\*

Osiedle pograżyło się w letargu przemysłowego upadku, jaki nastąpił wraz z zamknięciem ogromnej fabryki blachy falistej w latach siedemdziesiątych. Popołudniowe słońce oświetlało skierowane na zachód fasady zachowanych domów mieszkalnych. Większość z nich została opuszczona, tylko gdzieniegdzie rosły jeszcze sięgające piersi żywopłoty, a trawniki w przydomowych ogródkach były przyszczyżone. Równoległe do ulicy biegła linia zamkniętej kolejki wąskotorowej, oddzielając ją od zdziczałych pól uprawnych oraz hałd gruzu i nadkładu. Pomiedzy dylami rósł szczaw, pojedyncze brzozy oraz dzikie wino.

Żelazna bramka z numerem 25 była zamknięta na kłódkę. Za ogrodzeniem pleniły się kwitnące krzewy, dróżka prowadząca do domu była całkowicie zarośnięta.

– Jeśli interesuje się pan botaniką, z pewnością coś pan tu dla siebie znajdzie – rzekł Henry, otwierając kłódkę. – Nie ma pan przypadkiem przy sobie maczety?

Jenssen od razu zauważył połyskujący nowy wkład zamka. Mężczyźni torowali sobie drogę przez ogród, w wysokiej trawie zaszeleściło jakieś zwierzę. Jenssen zwrócił uwagę na porośnięte zwały ziemi.

– Tam, z tyłu, żyła bestia. – Henry wskazał na niską szopę pomiędzy krzewami leszczyny. Jenssen przystanął i osłonił dłonią oczy, słońce o tej porze dnia zwieszało się znacznie niżej niż podczas ich pierwszego spotkania w maju. – *Bawiłem się w środku, gdy byłem mały. Ta szopa była moim pałacem. Piękna i Bestia, czytał pan?*

Jenssen zastanawiał się przez chwilę.

– Obejrzałem jedynie film.

Henry przedzierał się w kierunku wejścia do domu, zabitego masywnymi płytami wiórowymi. Do jego garnituru pogrzebowego przyczepiał się łopian, w ogóle na to nie zważał.

– Niech pan zgadnie, kim byłem.

– Bestią?

Henry się roześmiał i wyciągnął z kieszeni klucz na łańcuszku.

– Tak sobie pomyślałem, że pan to powie. Piękna. Byłem Piękna.

Jenssen chciał zapytać, kto był Bestią, a jednak tego poniechał. Także zamek tkwiący w płycie wiórowej był nowy. Henry otworzył go i zdjął płytę z drzwi. Jenssen dotknął swojego hecklera & kocha, odpiął kaburę. Drzwi wejściowe nosiły wyraźne ślady uderzeń, miały też pionowe pęknięcia. Jenssen

rozpoznał resztki wyblakłego policyjnego stempla zakrywającego starą dziurkę od klucza.

Henry otworzył niezamknięte drzwi.

– Jest pan pierwszym gościem od bardzo długiego czasu. Witam w domu.

Przez otwarte drzwi do wnętrza wpadło nieco słonecznego światła. Pozostała część domu była pogrążona w ciemnościach. Jenssen wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki małą ledową latarkę. Przy drzwiach jastrych podłogi pozostawał nienaruszony, jednak trzy kroki dalej podłoga była zerwana, na resztkach muru i starych stalowych dźwigarach leżały jedynie grube deski.

– Dom kupiłem siedem lat temu. Stał się własnością miasta, lecz nikt w nim potem nie zamieszkał, dlatego był odpowiednio tani. Jak i cała okolica.

Henry jak kot zręcznie balansował po podłogowych deskach.

– Niech pan uważa, gdzie stawia stopy.

Jenssen poświecił w szpary pomiędzy deskami.

– Czy na dole jest piwnica?

Henry zamarł w bezruchu.

– To kotłownia. Niemuirowana, tylko glina i ziemia.

Jenssen oświetlił wnętrze kuchni. Także i tam podłoga została zerwana aż do miejsca, gdzie stał piec, przy każdym kroku chrzęściły pod stopami drobne pancerzyki owadów.

– Chce pan zobaczyć schody? – zapytał stojący za jego plecami Henry.

Jenssen ruszył za nim przez pełne zakamarków pomieszczenie, które przypuszczalnie służyło niegdyś za jadalnię. Dotarli do wąskich schodów z poręczą, niewiele szerszą od jego ramion. Na stopniach nadal leżał stary dywan ze sztucznych włókien. Jenssen spojrział w górę schodów. Były strome i nie dłuższe niż trzy metry.

– To tutaj? – zapytał.

Henry minął go i wszedł po schodach, odwrócił się.

– Mój ojciec tam właśnie leżał, gdzie pan teraz stoi.

Jenssen oświetlił go od dołu. Kiedy tylko poruszył promieniem świetlnym, kontury Henry'ego się rozmyły.

– A więc to pan zobaczył?

– Stałem dokładnie w tym miejscu.

Jenssen przesuwiał snopem światła w dół i w górę schodów.

– To było tego samego dnia, gdy zniknęła pańska matka?

– Jak już mówiłem, przez długi czas uważałem, że matka po prostu odeszła, by zamieszkać gdzieś indziej. Czekałem na jej powrót. W tym właśnie domu. Ale ona nigdy nie wróciła, nie dała żadnego znaku życia. To było ponad trzydzieści lat temu.

Jenssen wszedł po schodach.

– Mówił pan, że stał na górze. Dlaczego właśnie tu?

– Na górze jest mój pokój. Proszę za mną.

Henry otworzył niewielkie drzwi. Jenssen przystanął obok i poświecił latarką. Podłoga była nietknięta. Pod zabitym deskami oknem stało dziecięce łóżko. Pościel była starannie obleczone, szerniała od pleśni i mysich odchodów.

– Mój ojciec wszedł po mnie na górę. Ale ja się schowałem.

– Gdzie?

– Pod łóżkiem.

– Dlaczego?

– Był wściekły i rozczarowany. Wyciągnął mnie spod łóżka i zapytał, czy wiem, że jestem

skurwysynem.

– Skurwysynem?

– Tak, skurwysynem.

– Co pan odpowiedział?

Henry się roześmiał.

– Jak wspomniałem, miałem wtedy dziewięć lat. W tak młodym wieku człowiek nie wie jeszcze, co to znaczy. Pomyślałem, że coś złego. Ojciec mi to wyjaśnił. „Henry, rzekł cicho i uprzejmie, jesteś skurwysynem, bo jesteś synem kurwy. Nie jesteś moim dzieckiem”. Od razu zrozumiałem.

Jenssen podrapał się za uchem.

– I nadal pan w to wierzy?

– Oczywiście, że nie. Dziś rozumiem, że był na mnie wściekły, że nie jestem jego dzieckiem, a to odkrycie z pewnością było dla niego bolesne. Wtedy jednak jeszcze tego nie wiedziałem.

– Mimo to nazywa go pan ojcem.

– Innego nie mam.

– Dlaczego przyszedł tamtej nocy do pańskiego pokoju?

– Przyszedł po mnie. Ciągnął mnie aż do schodów. Uczepiłem się poręczy, szarpał z całej siły, rozdarł mi piżamę, była cała mokra, bo moczyłem się w łóżku. Stracił równowagę, runął po schodach w dół. Już się nie podniósł.

– I co pan zrobił?

Henry się roześmiał.

– Wróciłem do łóżka. Chce pan jeszcze obejrzeć piwnicę?

Kiedy przedzierali się przez ogród w kierunku ulicy, Jenssen raz jeszcze przystanął. Postawił stopę na jednym z porośniętych ziemnych kopców.

– Co to?

Henry strzepywał z rękawa kurz i resztki łopianu.

– Dołki. Przekopałem wszystko, wszędzie jej szukałem. Nigdy jednak nie odnalazłem mojej matki.

Do parkingu przed cmentarzem dotarli już po zmierzchu. Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu, potem Jenssen otworzył drzwi.

– Panie Hayden, wie pan, gdzie jest teraz Betty Hansen?

– Gdybym to wiedział, nie byłoby mnie tutaj.

– A gdzie by pan był?

– W domu, z moją żoną.

\*\*\*

Henry Hayden zniknął bez śladu, zanim ukazała się jego powieść. Książka, wbrew oczekiwaniom, nie stała się bestsellerem. Krytycy pisali, że zakończenie jest dziwne i wzbudza mieszane uczucia. Rok po zniknięciu Haydena Obradin Basarić otrzymał od nieznanego pocztówkę, subtelnym pismem skreślono na niej brązowym atramentem:

Lepiej zawsze sam niż nigdy.